# TRZY DNI

# W MAJMACZYNIE.

*Kiachta, w Czerwcu r. 1879.*

Co to jest Majmaczyn i gdzie leży, o tém, zdaje się, że nie potrzeba wcale wspominać, gdyż każdy czytelnik, który się uczył geografii, pamięta obok nazw: Pekinu, Nankinu i Szanghaju, nazwę i położenie tego handlowego miasteczka. Wypada mi więc tylko powiedzieć słów kilka o jego fizyognomii i o charakterze mieszkańców, co tém chętniéj uczynię, że, o ile mi wiadomo, nic dotąd z piérwszéj ręki o Chinach do nas nie doszło. A jednak warto coś wiedzieć o tym kraju, którego mieszkańcy zaczynają wchodzić na widownię historyi świata. Dla Amerykanów istnieje już pierwszorzędnéj ważności „kwestya żółta" (chińska), a za lat jakich kilkadziesiąt będzie już ona może wikłała socyalne i ekonomiczne stosunki Europy.

Objechaliśmy wokoło południową część Bajkału, i po drodze po większéj części pustynnéj przyjeżdżamy do Troickosawska. Nazwa trochę trudna, ale cóż robić; to miasto powiatowe, będące niegdyś forteczką, umiał założyciel jego, Kroat, będący na służbie rosyjskiéj, Sawa Władysławicz, ochrzcić tak, aby ani Św. Trójcy, ani jemu nie stała się krzywda. Myślał biédak, że wymówienie wyrazu, które byłoby zdolne Francuza do samobójstwa doprowadzić, będzie łatwe dla ust Rosyanina. Ale się omylił. Ludność redukuje tę nazwę do najkrótszéj postaci i mówi po prostu „Troick," tak że tylko ludzie piśmienni wspominają Sawę.

Bądź co bądź choć Troickosawsk ma kilka razy większą przestrzeń i ludność od leżącéj o pół mili od niego Kiachty, choć jest siedliskiem władz rządowych, a Kiachta dotychczas nawet nazwą miasta nie została zaszczyconą, to jednak w Europie o powiatowém mieście wiedzą tylko specyalni geografowie, a „Słobodzę" zna każdy uczeń trzeciéj klasy, ba, nawet każdy pijący herbatę.

Rzeczywiście Kiachta zawdzięcza teraz swe istnienie i bogactwo herbacie. Dawniéj było inaczéj. Z Rosyi szła do Chin ogromna masa sukna, złego i drogiego. Ale gdy i Anglicy zaczęli zaopatrywać Chiny w sukno i inne wyroby europejskie, handel ten upadł. Potém zrównanie cła herbaty na granicach chińskiéj i europejskiéj poderwało najważniejszą arteryą ożywczą i dało przewagę morskiemu handlowi angielskiemu. Cóż więc dziwnego, że Anglicy i wolność handlu mają tu tylu nieprzyjaciół osobistych! Pomimo to jednak Kiachta istnieje i ma się nieźle, ma się téż dobrze i Majmaczyn.

Wejdźmy do niego.

Granicę chińską stanowi parkan z desek, taki sam, jak u nas oddzielający podwórza. Przejechaliśmy przez bramę otwartą, bez pasportu, albowiem wolno oddalać się o 50 wiorst w obie strony od granicy bez żadnych świadectw. Jesteśmy w Chinach, w Mongolii. Oglądamy się na wszystkie strony, chcąc dostrzedz różnicy pomiędzy ziemią chińską a innemi. Nie ma w tém sensu żadnego, ale ulegamy parciu wyobrażeń o oryginalności Chin, niemal w dzieciństwie nabytych. Napróżno! Okolica jałowa, jak i za Troickosawskiem, taka mniéj więcéj jak za Szczakową.

Po za ogromnemi kupami śmieci, obok których siedzą prawie zupełnie obnażeni, niezmiernie brudni Chińczycy, widać szare, niewysokie ściany, przezwane dwiema drewnianemi bramami, z dachami wklęsłemi, z napisami na przyklejonych do ścian arkuszach czerwonego papiéru. Na górnéj belce jest napis najwidoczniejszy, złożony z czterech wielkich liter. Zdaje mi się, iż jest to znane *om mani badme hą*. Bramy są i tu otwarte, ale przed niemi na 10 czy 15 kroków stoją małe parkany, tak że widok ulicy jest z zewnątrz zasłonięty, i do bramy trzeba wjeżdżać z boku.

Minęliśmy bramę...

Czy to kraina za Lety potokiem
Czy miast wielka mumia......?

Doprawdy im daléj idziemy, tém więcéj nas widok oszałamia, tem więcéj nam się zdaje, że śnimy. Czy to świat bajek, czy muzeum starożytnéj sztuki!

Najprzód widzimy tylko wązką, węższą niż nasza Kozia ulicę, ograniczoną jednostajnemi szaremi ścianami z gliny zmieszanéj ze słomą. Ulica jest także pokryta warstwą gliny i ma pośrodku wgłębienie dla odpływu wód. Z nad ścian widać drewniane smoki, ozdabiające dachy. Cisza śmiertelna, jakby w dopiéro co odkopaném z pod lawy mieście. Słychać tylko stuk podków naszego konia, o glinę ulicy. Wdali tylko przemknął się Chińczyk.

Oto brama boczna, mniejsza, ale téj saméj architektury co wrota miasta. Chcemy się przed nią zatrzymać, ale nasz Wirgiliusz, isprawnik troickosawski, powiada, że tu nie warto. Rzucamy więc chciwy wzrok przez bramę. To podwórze i dom, jednostka miasta chińskiego. Z prawéj strony zabudowanie mieszkalne, drzwi i okna wielkie z ozdobnych ram złożone, zaklejone przeświecającym papiérem zamiast szkła. Takie wrota napotykamy co kilkanaście kroków, a na ścianach domów od ulicy nic, ani okien, ani drzwi, tylko narysowane są czarną farbą wielkie koła, obejmujące jakąś literę chińską, podobną do dwóch osób całujących się.

Przewodnik prowadzi nas do świątyni. Trzeba przejść do niéj przez podwórze policyi. Na lewo jest brama do mieszkania eżarguczeja, oberpolicmajstra czy téż prezydenta Majmaczyna, przedstawiciela władzy Bogdychana w tém miejscu, a więc pana życia i śmierci majmaczyńczyków. Choć więc ranga jego nie wysoka, tak że przy urzędowych spotkaniach z wysokimi urzędnikami rosyjskimi, przysyłają jakiegoś dygnitarza z Urgi, stolicy Mongolii, jednakże eżarguczéj zna swą wielkość i godność, raz jako rozkazodawca tego miejsca, a powtóre jako Chińczyk. Płonneby więc były, jak nas zapewniał nasz przewodnik, usiłowania zobaczenia jego oblicza: barbarzyńcom z zachodu trzeba pokazać, że to nie tak łatwo dostać się do urzędnika Państwa Środkowego; a jeśliby nawet pozwolił na audyencyą ze względu na to, że może czego kiedyś i od isprawnika potrzebować, to jednak ceremonie wstępne potrwałyby kilka godzin. Zrzekamy się więc zobaczenia oblicza przedstawiciela tego, którego nawet mimowolne zobaczenie jest karane śmiercią, i idziemy oglądać więcéj dostępnych bogów. Ale oto wyszedł ktoś ze drzwi w głębi podwórza eżargunejowskiego. Idzie ku nam krokiem powolnym, poważnym; za nim drugi Chińczyk... Może eżarguczéj po nas posyła? O radości, o zaszczycie! Lecz nagle Chińczyk skręca na prawo, wchodzi we drzwi w boczném skrzydle i znika w nich. Był to *sam* pan sekretarz eżarguczeja oraz jego tłómacz. Na liczne nasze towarzystwo ani spojrzał, choć podszedł ku nam na kilka kroków, jak gdyby chciał udawać, że idzie na nasze spotkanie i potém pokazać figę.

— Pokażcie nam więźniów, rzekł isprawnik do chińskich policyantów, wylegających się na łóżkach obok urzędu policyjnego.

Przyprowadzono nam dwa indywidua okropnie brudne, w czarnych jak sadze koszulach i spodniach, z łańcuchami przykutemi do szyi. Każde ogniwo łańcucha ma z ćwierć łokcia długości, ze trzy, albo cztery cale szerokości i pół, jeśli nie więcéj, grubości. Ciężar wię nie ladajaki, bo łańcuch spada z szyi aż na ziemię.

— Za co siedzą ci ludzie, zapytałem po rusko-chińsku. Próbkę tego dyalektu podam poniżéj.

— Za kradzież.

— Czy się przyznali?

— A któryż złodziéj się przyzna, przecież mu miłe życie.

— Więc straciłby życie gdyby się przyznał, zapytałem, gdyż zdawało mi się, że nie rozumiem.

Chińczyk pokazał giestem odcięcie głowy.

— Kto go widział jak kradł? pytałem daléj.

— Nikt, odrzekł z ironicznym uśmiechem Chińczyk; gdyby go widzieli... tu znów pociągnął palcem po gardle.

— Więc za co jest okuty?

— Bo ludzie mówią, że ukradł. Jest on biedak i pijak, więc posądzenie ma za sobą cechy prawdy.

Spojrzałem na tego biedaka. Uśmiechał się jakby go wcale los jego nie obchodził. Twarz miał obrzękłą, niesympatyczną, pijacko-ulicznikowską, ale nie zbrodniczą. Wyciągnął rękę po jałmużnę, z miną na pół błagalną, na wpół drwiącą, a dla dania silniejszego bodźca naszéj litości, puścił łachmany, które trzymał w garści, i niedyskretnie w obec dam, które nam towarzyszyły, obnażył się od pasa do stóp. Wszyscy chińczycy, a z nimi i więzień śmiać się drwiąco zaczęli, alem ja się nie śmiał pomimo humorystycznego zakłopotania aktorki irkuckiéj będącéj w naszém towarzystwie. Na prawém udzie więźnia pokazała się wielka, ropiąca się rana, któréjby dłonią nie można było zakryć. Głębokość jéj wynosiła prawie pół cala. Tak, podejrzanego o kradzież poczęstowano na śledztwie wstępném. A ten hultaj jeszcze się śmieje!

— Pokażcie teraz tych... rzekł przewodnik, rysując w powietrzu koło naokoło szyi.

— Tych nie ma, rzekł policyant.

— Szkoda, rzekł przewodnik, obróciwszy się do nas, zobaczylibyście państwo więźniów z deskami na szyi, aby się nie mogli położyć, ani oprzéć o ścianę. Jest także, dla jeszcze cięższych przestępców klatka, która nie pozwala więźniowi nietylko się położyć, ale nawet usiąść. Pokażcie wszystkie narzędzia tortury, rzekł do policyantów.

— Nie chcemy, nie chcemy, zawołały damy, zakrywając oczy dłoniami, i tak pozbawiony zostałem widoku przedmiotów sprawiających wprawdzie przykre wrażenie i oburzających uczucie ludzkości, ale charakterystycznych i malujących dobrze uczucia i obyczaje chińczyków. Zresztą i to, com widział, dosyć jest charakterystyczném.

Wchodzimy teraz na terytoryum świątyni. Najprzód niewielkie podwórko, przedzielone prawie na dwie części bramą na środku sto-

jącą. Z prawéj strony od wejścia stoją dwa wielkie lakierowane słupy zakończone gałkami złotemi, na które podczas uroczystości wciągają się chorągwie. Obok nich dwa ze strasznemi pyskami smoki i tablice z długiemi napisami. Druga strona bramy służy w razie potrzeby za teatr. Układają się na niéj na kilka stóp od ziemi deski, i tym sposobem tworzy się scena, na któréj występują amatorowie, artyści. Publiczność przypatruje się bezpłatnie ich grze improwizowanéj, stojąc na podwórku, oddzieloném nizkiemi sztachetami od podwórza świątyni. Gra bywa po większéj części improwizowana i często ma za przedmiot satyrę na niektórych widzów, szczególniéj cudzoziemców, których wtedy publiczność wytyka palcami i śmieje się do upadłego. Wiém to tylko z opowiadania, gdyż podczas naszéj bytności nie było teatru.

— Kogda budu poigrò? spytał po rusko-chińsku nasz przewodnik (Kiedy będą grali).

— Kada budu poiglo? rzekł jakiś oberwus, którego nam przedstawiono jako najzdolniejszego artystę. Aaa?!! Teli denà bùdu poiglò. (Za trzy dni będą grali).

Ponieważ Chińczycy nie lubią odstępować od swoich zwyczajów, więc daremne byłyby prośby, aby teraz zagrali.

Zwróciliśmy się ku świątyni. Zdumienie nasze i ciekawość wzrosły. Gubiliśmy się w mnogości szczegółów frontu i skrzydeł miniaturowego gmachu.

Tymczasem napadły na nas z wielkim hałasem małe, kudłate psy. Tak były zajadłe, że aż rzuciły się do naszych nóg, i tylko skórze butów zawdzięczam, żem nie był pokąsany. Chińczycy zamiast ich powstrzymać, śmieli się. Dopiéro kilka uderzeń obcasami powstrzymało zajadłość psów i wesołość ich panów. Widocznie ci ostatni chcieli nas wystraszyć z podwórza świątyni.

Drzwi od sztachet były zamknięte. Prosimy, aby nam otworzono. Jakiś młody Chińczyk opiera się, krzyczy, dowodzi, że nie wolno w każdéj chwili puszczać do świątyni, że i Chińczyków nie codzień puszczają do cerkwi w Kiachcie. Widząc, że z nim niepodobna sobie dać rady, poszukał nasz przewodnik szczupłego, siwego Chińczyka. spełniającego, jak się zdaje, funkcyą zakrystyana. Ten natychmiast gotów był otworzyć, ale rzucił się ku niemu tłum towarzyszący nam i krzykami swemi tego dokonał, że się starzec zawahał. Jednakże dwa papiérki rublowe, wciśnięte mu w rękę, przechyliły szalę zwycięztwa na naszę stronę. Starzec otworzył drzwi.

W środku placyku stoi grupa kwiatów w doniczkach, za nią są drzwi świątyni. Właściwie mówiąc cała fasada składa się z drzwi. Otworzono środkowe. O trzy łokcie od nich stoi długi stół zastawio-

ny rozmaitego kształtu naczyniami i przedmiotami, których znaczenia nikt nie mógł nam wytłómaczyć. Z boków stołu stoją, po dwie z każdéj strony, ogromne statuy, wysokie na 7—8 stóp a tak grube, że zaledwie dwie osoby mogą je objąć. Zrobione są z gliny i wymalowane jaskrawemi kolorami. Mają to być bohatérowie. Po za tym stołem, w głębi, jest główny ołtarz, na którym się mieści, według słów starca, siedząca statua Konfucego (chińczycy wymawiają Kąfuce). Tu panuje zupełny zmrok, oświecany tylko jakby dogorywającym kagańcem, stojącym na wysokim świeczniku. Kąfuce ma minę poważną, surową, brodę długą, białą. Wokoło stoi, lub wisi ogromna ilość rozmaitych przedmiotów: naczynia, kwiaty, statuetki, materye jedwabne, wstęgi, napisy. Oko gubi się w wielkiéj ich ilości, nagromadzonéj w charakterystycznéj dla chińczyków ciasnocie, a migotanie słabego światła w kagańcu, przy zupełnym prawie mroku, usposabia umysł do fantastyczności. W jednym szeregu z Kąfucym, ale w osobnych niszach stoją po obu stronach znowu gliniani bohatérowie oraz bogowie, czy téż symbole pokoju, wojny, sprawiedliwości i td. Pierwszy ma minę spasłego safanduły, drugi—srogiego i obrzydliwego kata. O znaczeniu innych trudno się było dopytać z powodu braku tłómacza.

Wielkich posągów jest z pięćdziesiąt, małych jeszcze więcéj; naczyń i innych przedmiotów kilkaset, a to wszystko ustawione na przestrzeni średniego salonu mieszkań europejskich. Twórcy chińskiéj świątyni (nie Kąfuce ani Budda, lecz ci co ich myśli eksploatują) osiągnęli swój cel. Ciemnością, mnogością różnokształtnych i różnobarwnych przedmiotów, fizyognomiami bogów czy świętych, zgrupowanych w ciasnocie, wywołują oszołomienie i przestrach. Patrząc obojętnie, nie mogłem się opędzić pewnemu wrażeniu wstrętu, a jedna z dam towarzyszących, gdy doszła do boga wojny, uciekła, zakrywszy oczy, drżąc cała. Można więc sobie wyobrazić jakie to wrażenie sprawia na wierzących, témbardziéj, gdy odprawianie nabożeństwa i dźwięk gongów zupełnie z głowy rozsądek wypędzi. Odurzony umysł korzy się przed czémś nieznaném, odwaga i samodzielność niknie, a kieszeń otwiera się.

Wprost téj świątyni, po za bramą teatralną i słupami stoi świątynia żeńska. Nie jest ona przeznaczona dla kobiét, bo tych w Majmaczynie nie ma, lecz posiada bóstwa płci żeńskiéj. Posąg bogini, stojący na głównym ołtarzu, jest daleko mniejszym od postaci naturalnéj. Naokoło mniéj aparatów niż w świątyni męzkiéj, ale za to, z boków, w osobnych oddziałach stoją dwa kolosalne konie niezgrabnie, jak wszystko chińskie, lecz starannie z gliny odrobione, wyrywające się z cugli trzymającym go ludziom. Gdy wszyscy wyszli i sam

się z dwoma Chińczykami zostałem, rzekłem: om mani badmę hą! Chińczycy zdziwili się, zaczęli coś szeptać do siebie, i następnie jeden z nich zaczął coś do mnie mówić, ale tak niewyraźnie, żem nic nie zrozumiał.

Gyśmy wychodzili z żeńskiéj świątyni, któréj obejrzenie powinniśmy poczytywać za szczęście, gdyż rzadko komu udaje się do niéj przystęp pozyskać, tłum Chińczyków tak się powiększył, że nieledwie trzeba było przezeń się przebijać. Śmieli się i drwili z nas, wytykając palcami. Lecz opuśćmy to podwórze, aby wejść do mieszkania prywatnego.

Przewodnik wybrał dla naszych odwiedzin dom hurtownika, kupca Fu-zy. Od ulicy ściany gliniane i brama z napisami, w podwórzu gdzie nas znów spotykają czarne zajadłe psy, znajduje się z jednéj strony parkan, z drugiéj—mieszkanie, w głębi—magazyn. Tylko tylne i boczne ściany mieszkania są gliniane, grube, przednia złożona jest z cienkich desek, pomalowanych na kolor brunatny. Przeważną jéj część stanowią okna. Każde z nich zaczyna się u drzwi a kończy przy ścianie bocznéj, tj. idzie przez całą długość pokoju. Co do wysokości, to zaczynają się na 2 stopy od podłogi i idą prawie do samego sufitu. Teraz latem na ramach z cienkich pałeczek złożonych, naciągnięty jest przeświecający papiér, a w niektórych miejscach ustawione są stale różnobarwne szkła; zimą wstawia się wszędzie szkło. Wnętrze czyni jednocześnie wrażenie muzeum, budy szarlatanów i gabinetu bankiera. Przy jednéj ze ścian bocznych mieści się podwyższenie w guście tarasu, całą szerokość izby zajmujące, pokryte czerwoném suknem. Jest to wspólne łóżko dla wszystkich. W głowach leżą zwinięte na dzień materace. W dzień siedzą Chińczycy tylko na suknie. Tuż przy łóżku, stoi gliniane miseczkowate ognisko z ciągle tlejącém zarzewiem, obok dwie małe ławeczki. Miejsce przy oknie zajmuje stół do pisania, nad nim wisi chiński kalendarz i teczka z wystającemi z niéj listami, w kopertach z czerwonemi paskami. Na stole stoi przybór do pisania, składający się z kamienia do rozcierania tuszu i podstawki do pędzelków. Z drugiéj strony stoi komoda zastawiona oryginalnemi lichtarzami, wazonikami, filiżankami porcelanowemi, ekranami i rozmaitemi drobnostkami. Przy komodzie znowu stolik. Nad łóżkiem świeci wielki złoty napis, mający zawiérać nazwisko właściciela czy téż zdanie w rodzaju: „szczęście i pokój dobrym ludziom“, które ma zastępować firmę. Nigdzie nie ma ani kawałka swobodnéj ściany. Wszędzie ciasnota. W pokoju panuje przyciemniona atmosfera, zarówno z powodu okien nie przepuszczających czystego światła, jak i ścian oraz mebli posiadających przeważnie brudno-brunatny kolor. Tylko tu i owdzie

błyśnie to złoty napis, to bronzowa ozdoba, to porcelana i szkło pokryte malowidłami, lub wreszcie mosiężne fajeczki. Przytém atmosfera ma jakiś trudny do określenia mdły zapach. W ogóle całość nie wydaje się pokojem mieszkalnym, lecz jakby miejscem dla zabawy dzieci.

W podwórzu na spotkanie nasze wybiegło z dziesięciu Chińczyków, wytrzeszczających na nas ciekawe oczy. Wprowadzili nas do gospodarza, siedzącego na brzegu łóżka z nogą podwiniętą pod drugą, którą bujał swobodnie, paląc długą, całą mosiężną fajeczkę z maleńką stambułką. Natychmiast wstał z łóżka i przyjął nas grzecznie. Subjekt przyniósł w téj chwili papiérosy, i usadzono nas na ławeczkach i łóżku. Inny subjekt postawił na łóżku, obok ogniska okrągłe pudełko przedzielone koncentrycznie i radyonalnie na kilkanaście przegródek, z których każda zawiérała jakieś łakotki. Były tam oryginalne owoce zupełnie okrągłe, mające skorupkę jak migdały, pod którą znajduje się mięsisty owoc podobny do śliwki, zawiérający znów jako pestkę orzech twardy, także jadalny; były rozmaite owoce suszone i smarzone w cukrze, suche ciasteczka na rycynowym bez zapachu oleju, posypane jakiemiś tłustemi białemi nasionami, podobnemi do mrówczych jajek, wreszcie cukierki z wielką ilością mąki i imbir w cukrze. Tylko owe dziwne orzechy i owoce suszone odpowiadały naszemu smakowi, próbowaliśmy jednak wszystkiego po kolei, dla poznania chińskich łakotek. Gospodarz i subiekci zachęcali do jedzenia, pokazując palcami i mówiąc.

— Kuszajte! Milosti prosim! Szybko cholose:

(Jedzcie, bądźcie łaskawi, bardzo dobre!)

Podczas jedzenia wszczęła się rozmowa. P. Isprawnik przedstawił nas jako przybocznych urzędników General-Gubernatora. Rzeczywiście dwóch z naszego towarzystwa należało do jego świty. Sprawiło to dobre wrażenie. Gospodarz zaczął się wypytywać o nazwiska i urząd każdego z osobna, a odpowiedzi na te zapytanie były dość trudne z powodu, że Chińczycy rozumieją mało wyrazów.

— Jewo ciewo? (Co on za jeden) rzekł, wskazując na urzędnika do szczególnych poruczeń.

Odpowiedziałem. Chińczyk nie zrozumiał.

— Ne ponimaj—rzekł.

— Pisachu—objaśniłem po rusko-chińsku, naśladując ręką ruch pisania, bo wytłómaczenie owego urzędu za dużo czasu wymagałoby.

— Aaa!! Sekeletal! (sekretarz). A jewo ciewo—rzekł wskazując na drugiego.

— Doktór.

— Aaa!!—A jewo ciewo?

Był to aktor teatru irkuckiego, który się do naszego towarzystwa przyłączył.

— Aktor—rzekłem.

— Ciewo?

— W teatr poigro—objaśniłem.

Chińczyk się skrzywił, bo aktorzy zaliczają się w Chinach do ostatniéj warstwy ludności, mieszczącéj w sobie pomiędzy innemi katów i prostytutki. Widocznie nieprzyjemną mu była jego obecność, témbardziéj, że się ciągle śmiał.

— Wasza ciewo?—zapytał znowu Chińczyk zwracając się do mnie.

Odpowiedziałem, że i ja jestem „pisachu" (do pisania).

— Potém Chińczyk pytał w dalszym ciągu jewo ciewo? wskazując na damy, a gdy się dowiedział, że to są „chaziejka (żona) sekeletal" itd., zaczął znów pytać po kolei.

— Kako jewo pozowi? (jak się nazywa).

Wniesiono herbatę w filiżankach bez uszek, ale ze względu na to, że nie jesteśmy Chińczykami, podano nam cukier i łyżeczki.

Gdym pił herbatę, zatrzepotał skrzydłami i wydał krzyk nad moją głową ptak. Rzuciłem okiem na jego klatkę i doznałem wielce przykrego wrażenia. Nie jest to klatka, lecz kwadrat z czterech pałeczek zrobiony; na dolnéj siedzi piękny skrzydlaty więzień przykuty do swéj klatki za pomocą obróżki na szyi. W naszych klatkach ptaki niezbyt wesołą mają fizyognomią, ale u Chińczyków wyglądają jak męczennicy. Sznurek zaledwie na stopę pozwala im się oddalić od grzędy. Takich klatek było dwie. Gdym się do któréj z nich przybliżył, ptak wpadał w wielki przestrach i usiłował zerwać się ze sznurka; obecność jednak Chińczyków znosiły spokojnie i nawet dawały się głaskać. Widocznie tak one jak i psy widzą w każdym ubranym po europejsku barbarzyńcę.

W krótce wyszliśmy żegnani uprzejmie przez Chińczyków proszących, aby ich jeszcze odwiedzić. Jednakże ton tego zapraszania miał pewien charakter urzędowy, etykietalny, wcale z serca nie płynący. Jeśli w tym razie szczera gościnność Chińczyków mogła tylko podpadać wątpliwości, to rozchwiała się ona zupełnie przy dalszych wizytach, szczególniéj na drugi i trzeci dzień, kiedyśmy chodzili po Majmaczynie bez naszego przewodnika i nie przedstawiali się jako wysocy urzędnicy. Gdyśmy zajechali gdzie przed bramę, wychodzili zawsze licznie na nasze przyjęcie, z uśmiechem na twarzy, z grzesznemi wyrazami; ale przyjemna mina i rozmowność znikały, gdy po kilku wyrazach dowiedzieli się, że nie mamy zamiaru nic u nich ku-

pić. Szczególniéj komiczna scena była u jakiegoś krezusa majmaczyńskiego. Wybiegło na nasze spotkanie dwóch spasionych, wydelikatniałych na twarzy Chińczyków, z wielkim pocztem subiektów, i wszyscy kłaniali się tak nizko, jak rządcy hotelów zagranicznych. Zapytano się zaraz czego sobie życzymy. Gdym odpowiedział, że nam potrzeba pewnéj materyi jedwabnéj, znikła w téj chwili ich uprzejmość, powiedzieli tylko, że nie ma i, odwróciwszy się do nas tyłem, odeszli gniewnie jakby oszukani. Byli to hurtowni kupcy herbaty, którzy dowiedziawszy się, że nic u nich nie kupimy, nie uważali za stosowne zatrzymać nas u siebie, lub przynajmniéj taić się z niechęcią dla nas.

Zrezygnowawszy tedy z odwiedzania „wielkich“ świata majmaczyńskiego, zaczęliśmy chodzić do detalistów, aby kupnem za kilka rubli, pozyskać możność bliższego wejrzenia w ich życie. Zauważyłem tylko, że inaczéj przyjmowano nas tam gdzie zażądaliśmy przedmiotu za kilkanaście rubli, a inaczéj tam gdzie za kilka, inaczéj przed kupnem, podczas targowania się, a inaczéj po kupnie. Wtedy nie przerywali nam rozmowy ciągłemi zapytaniami.

— Ciewo bolsze nada? (Czego więcéj potrzeba?) a gdy po kilku odmównych odpowiedziach przekonywali się, że nic już więcéj nie kupimy, stawali się milczącymi, oddalali się od nas, szukali czegoś; w ogóle zachowywali się tak, jakby chcieli powiedzieć: czego tu jeszcze siedzicie.

W jednym tylko sklepie byliśmy od początku do końca uprzejmie przyjmowani. Było to u Tianchu-sin‘a, mającego filią swego handlu w Irkucku i Wierchnieudyńsku. Przedstawiliśmy się mu jako stali kundmani, a przytém zażądaliśmy jakiegoś towaru. Dość powodów, aby był dla nas grzecznym. Ponieważ w sklepie żądanego przedmiotu nie było, więc posłał niby do swego składu, a właściwie do sąsiada, i tymczasem zabawiał nas rozmową, tj. zapytaniami „kako pozowi“ itd. czynionemi z uprzejmym uśmiechem, który mu wcale z twarzy nie schodził. Podczas téj ciekawéj rozmowy dostrzegłem jakieś oryginalne kosze prostokątne, mające u góry kopuły z czarnego papiéru oraz szyje jak butelki. Na zapytanie co to jest? odpowiedział, że naczynia do wódki. Robią się one tak, że kosz wylepia się od zewnątrz jakimś nieprzemakalnym papiérem, z którego się téż robi górne sklepienie i szyjka. Na dowód, że butla taka nieprzemaka, pokazał nam napełnioną wódką, prosząc, abyśmy i wódki spróbowali. Był to jakiś fermentujący miód, z znacznym dodatkiém nieoczyszczonéj wódki. Widząc z naszych min, że nam ten nektar nie smakuje, zapytał się czy nie chcemy *maj-goj-lo.* Przystaliśmy. Przyniesiono nam tę najlepszą wódkę chińską, w maleńkich fi-

liżankach porcelanowych, ogrzaną co najmniéj do 60°, albowiem Chińczycy zawsze piją gorącą wódkę. Piliśmy chwaląc, albowiem rzeczywiście okazała się dobrą. Po dwóch filiżankach, zawiérających tyle płynu ile jeden kieliszek do madery, uczuliśmy się silnie pobudzeni, jakby po starym węgrzynie. Potrzebując wódki na podróż w dzikich okolicach, spytaliśmy się czy nam téj maj-goj-lo nie odstąpi. „Milosti prosim", rzekł i kazał przynieść kamionkę półgarncową. Wiedząc co to są Chińczycy, chcieliśmy skosztować, czy nam dali tę samę, ale Fiau-chu-sin oburzył się, schwycił kamionkę i kazał ją odnieść, obrażony naszém niedowierzaniem, wołając:

— *Nasza nie obmanu, wasza, taluski* (ruski) *obmanu, nasza ciestno tołgowa, obmanu nie budu.*" (My nie oszukujemy, wy Rosyanie oszukujecie, my uczciwie handlujemy, oszukiwać nie będziemy).

Oto, pomyślałem porządny Chińczyk, i przeprosiwszy go oraz zapłaciwszy, kazałem zanieść kamionkę do pożyczonego nam przez jednego z krezusów kiachtyńskich powozu. Chińczyk udobruchał się, uśmiech powrócił na zagniewaną twarz, pożegnał się z nami bardzo grzecznie i prosił, abyśmy go, powracając z Dauryi, odwiedzili. W kilka godzin potém spróbowaliśmy *maj-goj-lo*, i okazało się, że oburzenie Chińczyka było tylko komedyą. Dał nam wódkę tak cuchnącą, że niepodobna było jéj przełknąć, a nawet chłopi i żołnierze, którycheśmy nią częstowali, przyzwyczajeni do najobrzydliwszéj wódki nieoczyszczonéj, krzywili się pijąc ją. Tianchusin więc także nie darmo był uprzejmym.

Wracając do domu, spotkaliśmy na jednéj z ulic owego więźnia z łańcuchem u szyi, niosącego na głowie kosz węgli. Krok za krokiem szedł za nim policyant.

— A to co? zapytaliśmy policyanta.

— *Niciewo tołgowa budu.*

— Jakto? przecież to złodziéj, powinien siedziéć w więzieniu.

— *Niciewo.*

Taka lakoniczna odpowiedź Chińczyków, nie umiejących się wyjęzyczyć po rosyjsku, ma oznaczać, że jedno drugiemu nie przeszkadza, albo téż, tak być powinno—*all right.*

Nie poprzestałem jednak na téj odpowiedzi i badałem daléj. Chińczyk przyparty do ściany wyjaśnił:

— *Kuszachu nietu—tołgowa nie budu—nietu diengi nietu chaleb,* (Jedzenia nie ma—gdyby nie handlował, nie miałby pieniędzy na kupienie chleba). *Niciewo!* zakończył, machnąwszy ręką.

Widocznie więc ekonomiczna policya majmaczyńska nie daje więźniom jadła i pozostawia ich własnemu przemysłowi.

— A rubel? rzekłem przypominając mu, żeśmy wczoraj dali więźniowi rubla.

— *Niiciewoo!*— odparł policyant z naiwną niecierpliwością, i kułakiem oraz jakiemiś wyrazami zmusił do oddalenia się od nas więźnia, który postawiwszy koszyk na ziemi znowu się zabierał do pokazania rany.

Barbarzyńska, zacofana, zatęchła fizycznie i moralnie, niegościnna atmosfera oraz *fides punica*, tak mnie zniechęciły do Majmaczyna, że już trzeciego dnia mego pobytu na pograniczu chińskiém, straciłem chęć do zwiedzania tego miasta, i tylko rozumowanie, że mając tak mało czasu na poznanie Chińczyków nie należy go samowolnie skracać zaprowadziło mnie na grunt mongolski. Może jeszcze coś nowego zauważę,—myślałem.

Ale nic godnego widzenia pod oczy mi nie podpadało. Zobaczyłem tylko kilku Mongołów na włochatych, dwugarbowych wielbłądach, silnie kołyszących się podczas chodu. Jeźdźcy siedzieli na nich znakomicie, a prawdziwie rycerska ich postawa kazała zapomnieć o brudnéj odzieży. Mongołowie słyną także z jazdy konnéj. Widok ich pogodził mnie trochę z Majmaczynem, bo Mongołów poznałem jako ludzi dobrych, szczerych. Jednakże przypomniałem sobie opowiadania i opisy jak ich Chińczycy okropnie eksploatują, i to jeszcze pogorszyło moję opinią o Majmaczynie. Wkrótce potém zobaczyłem taką scenę. Na placu leżała krowa konająca. Naokoło niéj usiadło kilkudziesięciu Chińczyków, śledzących ciekawém okiem śmiertelne jéj drgania i śmiejących się wesoło za każdym gwałtowniejszym jéj ruchem. Gdy wydała ostatni dech, jacyś półnadzy ludzie odciągnęli ją za miasto, a widzowie, gwarząc wesoło i naśladując jéj ruchy, rozeszli się po swych sklepach. To dopełniło miarki mego oburzenia i wstrętu i wolałem całe poobiedzie nudzić się w Troickosawsku, aniżeli zajrzéć do tego zabytku ciemięztwa, tyranii, nielitościwéj eksploatacyi, próżniactwa, gnuśności, zastoju i najgłupszéj dumy.

Może zdanie moje o Chińczykach wyda się komuś za surowém, surowszém, aniżeli na to zasługują z powodu faktów obserwowanych przezemnie w Majmaczynie, a przytém za pośpieszném, gdyż wydaném po trzydniowéj obserwacyi. Ale ja znam Chińczyków nietylko z Majmaczyna. Jest ich może przeszło stu w Irkucku, i przez ciąg kilku miesięcy, prawie codziennie bywałem u nich lub oni u mnie. Mogłem więc ich dobrze poznać. W Majmaczynie tylko potwierdziły się i ukrzepiły pojęcia, jakie o nich powziąłem. Zauważyłem więc już dawno, że nawet najlepiéj znajomi, którzy co kilka dni do mnie przychodzili i przesiadywali całemi godzinami, przyjmowali mnie

u siebie tak samo jak kupcy majmaczyńscy. Widziałem zawsze, że patrzą na mnie z dumą jak na barbarzyńcę i tolerują tylko o tyle, o ile mogą obedrzéć. Daléj, jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Chińczycy są pijawkami Mongołów, że każdego umieją tak oplątać siecią długów, iż całe życie jest ich niewolnikiem, czemu naturalnie pomaga chińska administracya.

Lecz zanim zajmę się ich stroną moralną, pomieszczę tu kilka szczegółów o powierzchowności Chińczyków. Przedewszystkiém wspomnieć muszę, że nie są oni wcale podobni do Chińczyków malowanych na szyldach i paczkach herbaty, nie mówiąc co do twarzy, bo to byłoby zbytniém wymaganiem, ale co do ubioru. Nawet osoby na oryginalnych pudełkach chińskich są tylko karykaturami. Nie mają ani butów z końcami cienkiemi i zagiętemi do góry, ani kapeluszy stożkowatych, śpiczastych. Najpospolitsze ubranie składa się z butów z szerokiemi tępemi nosami, zrobionych z materyi jedwabnéj lub bawełnianéj, szytéj u góry, zkąd może powstać na końcu jakaś nierówność odstająca, lecz niezagięty łukowato-ostry, długi koniec; z szarawarów wąziutkich u dołu a nadzwyczaj szerokich u góry, z kapoty ze stojącym kołnierzem, bez stanu, i daleko krótszego kaftana bez rękawów, który się nosi na kapocie. W lecie kaftana nie noszą. Na głowie albo czarna krymka, albo pilśniowy kapelusz, szczelnie do głowy przystający, a więc nie stożkowaty, lecz zupełnie u góry zaokrąglony, z krajami podwiniętemi, obszytemi paskami wzorzystemi; niektórzy wreszcie noszą na głowie krymki pilśniowe miseczkowate, zupełnie okrągłe, jak wielka dęta piłka, któréj jedna połowa została wepchnięta w drugą. Do ozdoby głowy zaliczyć także wypada warkocz, spadający od ciemienia po kaftanie prawie do kostek. Naturalnie włosy ich nie są tak długie, lecz przedłużają je. wplatając czarne sznurki. W Irkucku podczas największych mrozów nie noszą futer, lecz całe ubranie watowane, nawet szarawary, O kilka cali dłuższe od rąk rękawy zabezpieczają od mrozu ich palce, a na uszy nakładają miękkim puchem wewnątrz wybite, z wierzchu ozdobnie wyszywane pudełka, podobne do połówki pudełka aptekarskiego, z góry na dół wraz z pokrywką przeciętego. Tak odziani, śmieją się z sybirskich mrozów.

Najpospolitszą materyą, z któréj całe ubranie ich jest zrobione, jest niebieska *daba*, gruba i tania materya bawełniana, dostawiana przez Rosyan i Anglików. Noszą téż swoję czywończę i sukno, ale to ostatnie bardzo rzadko. Daba jest także głównym materyałem odzieży Mongołów rosyjskich i chińskich. Co do kolorów, to najpospolitszy jest niebieski, ale bywa téż, choć rzadko, szary i czarny. Zdaje mi się, że tylko dla *tego* Chiny można nazywać państwem nie-

bieskiém, gdyż urzędownie nazywają się one państwem środkowém, a żaden Chińczyk, zapytany jakiéj jest narodowości, nie mieni się członkiem ani państwa środkowego, ani tém bardziéj niebieskiego, lecz powiada, że jest z téj prowincyi (w Irkucku i Majmaczynie odpowiadają zawsze szansinski, z prowincyi Szan-sin). Powiem tu mimochodem, iż rosyjska nazwa *kitajec* uważa się za obelżywą, nadaną Chińczykom przez zwycięskich Mandżurów, a na pograniczu w znaczeniu chiński, Chińczyk, używa się wyrazów „nikański" „Nikaniec", co ma oznaczać dzielnego wojownika. O ironio!

Chińczycy mają w swéj postaci coś zniewieściałego, kobiécego, dziecinnego, pomimo ogorzałéj pod słońcem mongolskiém do tego stopnia twarzy, że przybrała kolor staréj miedzi. Ruchy ich są delikatne, niepozbawione gracyi, zdradzające pewne wychowanie;—powolne, nieprzymuszone, podobne do ruchów dobrze wychowanéj kobiéty flegmatyczki. Tak gesta jak i mowa są u Chińczyków zawsze na pasku woli, nawet u subiektów najnędzniejszego sklepiku. Możnaby wziąć któregokolwiek z irkuckich lub majmaczyńskich chłopców, używanych do zamiatania sklepu chińskiego, lub wywożenia śmieci, ubrać w nową odzież i przedstawiać w Europie, jako młodzieńca z arystokratycznego domu, a spisałby się daleko jeszcze lepiéj niż ów syn trębacza z fary poznańskiéj w humoresce Wilkońskiego. Zarzucanoby mu może tylko zbytnią miękkość, papinkowatość.

O wielkiéj słynnéj pracowitości Chińczyków nic powiedzieć nie mogę. Sądząc po Chińczykach w Irkucku, zdawałoby się, iż są próżniacy. Ile razy odwiedzałem ich mieszkania, zastawałem ich rozmawiających, śpiących, jedzących, palących w milczeniu jednę po drugiéj fajkę, w którą wchodzi tyle tytuniu ile w łupinę laskowego orzecha. Prawda! kilka razy widziałem ich przy robocie. Gospodarz czy prokurent siedział na kanapie, obok niego starszy subiekt, z prawéj, lewéj i przeciwnéj strony stołu młodzi subiekci. Na stole stało naczynie z masą szaro-brunatną, upstrzoną żółtemi jak wosk i białemi kawałkami. Każdy z rycerzy okrągłego stołu brał drewnianą łopatką po kawałku téj masy, nakładał na plasterek ciasta i zalepiał go w piéróg. Byłem kilka razy świadkiem podobnéj manipulacyi, i w skutek tego zrzekłem się skosztowania chińskiego obiadu. Zraziła mnie także woń, panująca we wszystkich mieszkaniach chińskich, któréj wstrętność przechodzi wszelkie pojęcie. Często jest tak silną, że zmusza do ucieczki najodważniejszego. Wychwalana czystość chińska także wiele pozostawia do życzenia. Jest u nich *porządek*, ale nie *czystość*. Widziałem jednak jak jedli obiad i gdybym nie czytał o skromném pożywieniu Chińczyków, o zadawalnianiu się lada czém, to nie mógłbym się tego domyśléć. I owszem zauważyłem

niejaki zbytek, stosunkowo do majątku subiektów. Najprzód podają na śniadanie o godzinie 10 rano nieodłączną wódkę, grzaną w małych dzbankach cynowych, potém następują owe piérogi z octem chińskim, ciemnego koloru, robionym z chleba, przypominającym soje; dalej kawałki mięsa, zmieszane z kawałkami kapusty, następnie jakaś potrawa z ogórków i placki na oleju. Obiad około 7-méj jest jeszcze obfitszy. Po przełknięciu kilku kąsków, zjadają ogromną masę rozłupanego gotowanego pieprzu, który na osobnym talerzyku podają. Ogromnie byłem zdziwiony, gdy w mojéj obecności zjadło dwóch Chińczyków cały spodek pieprzu, którego mały kawałeczek wywołał nieznośne plucie w moich ustach.

Pewnego razu zajrzałem do spichrza chińskiego i znalazłem tam mały zapas mięsa i ryb. Widocznie więc nie kontentują się „garścią ryżu.“ Ci, którzy używają opium, wydają nań kilkanaście rubli na miesiąc. Wszyscy téż prawie bywają od czasu do czasu w teatrze irkuckim, biorąc do spółki lożę. Nie żyją więc bardzo skromnie subiekci sklepiku, zawiérającego towaru najwyżéj za 300 rubli. Jakiż dochód może dawać taki handel właścicielowi i 6—10 subiektom? Nie posądzam ich jednak o życie nad stan. Cała ich natura przeczy temu. Widocznie mają inne dochody, tajne, z kupna kradzionego złota, którém się prawie wszyscy zajmują. Może téż mają inne jeszcze zajęcia, nie lubiące światła? Choć ruch towarów w ich sklepach jest bardzo mały, jednakże od czasu do czasu przedsiębiorą podróże, ogromnie drogie w Syberyi. Właśnie są to wycieczki po złoto, lub dla odwiezienia go do Chin.

Cóż wtedy mają robić pozostali w domu, jeśli nie próżnować, odwiedzać się, przyjmować chłopów (przybyłych z kopalni złota) i wywiadywać się czy kto nie wpadł na ich trop. Przy takim stanie rzeczy bezczynność ich jest uzasadnioną, choć więc, jak się zdaje, dalecy są od ideału pracowitości i skromności, jaki nam zgodnie przedstawiają wszyscy znający Chińczyków; to jednak nie możemy ztąd wnosić, że poświęcając się innéj gałęzi przemysłu, wymagającéj nie jakichiś sztuczek, lecz rzeczywistéj pracy, nie byliby pracownikami tak niezmordowanymi jak *Kuli* i tak jak on zadawalniającymi się „garścią ryżu.“ Wszakże dla sprzedania trzech funtów herbaty, biegnie niejeden Chińczyk całą milę, przy upale, lub mrozie trzydziestostopniowym, chociaż zarobek jego nie może przewyższyć 20 kopiejek, gdyż własnego towaru nie posiada, lecz kupuje go u bogatszych! Zabiegłość ich dowodzi, że są zdolni do trudów, gdy widzą jakiś cel.

Ze wszystkich szczegółów życia Chińczyków widać, że chcą i umieją zastosowywać się do wszelkich okoliczności. Nie Rosyanie ich języka, ale Chińczycy rosyjskiego się uczą. Tak samo rzecz się

ma co do Mongołów. Dla ułatwienia tym ostatnim pamiętania firm i osób, przyjmują Chińczycy imiona mongolskie; niektórzy nadają sobie nazwiska rosyjskie. Na drodze np. spotkałem Chińczyka, który się mianował Sukniow. Myślałem, iż żartuje ze mnie, ale późniéj przekonałem się, że wszyscy go znają pod tém nazwiskiem. Zdaje mi się nawet, że i religią zastosowują do okoliczności, gdyż według Pallasa świątynia bohatérów w Majmaczynie jest poświęcona czci Geserchana, Heraklesa i Achillesa mongolskiego, którego posąg (nie zaś Konfucego) zajmuje główny ołtarz; pagoda zaś żeńska ma być świątynią wcielenia buddyjskiego, co zapewne więcéj ma służyć dla przypodobania się Mongołom przyjeżdżającym do Majmaczyna, niż potrzebom religijnym zamieszkałych w niém Chińczyków. Jeśliby komisarz kiachtyński zażądał, aby wybudowali pagodę i umieścili na głównym ołtarzu Chrystusa na krzyżu, lub obraz Bogarodzicy, to kto wié czyby i tego nie uczynili.

Jedném słowem, przy całym swoim nadzwyczajnym konserwatyzmie, Chińczyk jest człowiekiem umiejącym się zastosować do wszelkich warunków, a ponieważ adoptacya jest jednym z najważniejszych czynników walki o byt, więc historya Chin jeszcze nie jest skończona i śmieszni ludzie z warkoczami może odegrają w historyi świata rolę, nie koniecznie świetną, ale zapewne niemałą. Rząd Bogdy-chana widocznie już zupełnie zwalił mur chiński i wypuszcza kalisów do Ameryki oraz kupców do Rosyi. Ci ostatni pomimo trudności pasportowych w coraz większéj liczbie osiedlają się w miastach i wioskach sybirskich, trochę dla handlu wyrobami chińskiemi, a głównie dla skupywania kradzionego złota. Pociąga ich téż ta okoliczność, że w Rosyi używają większéj wolności i że według traktatów żadnych nie płacą podatków, z którego to prawa, mówiąc nawiasem, korzystają w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, gdyż w sklepikach swych niektórzy prowadzą, wyłączoną z pod powyższéj ulgi sprzedaż rosyjskich towarów i tym sposobem czynią konkurencyą z sobą niemożliwą dla poddanych rosyjskich. W skutek tego od lat pięciu liczba chińskich mieszkańców Irkucka wzrosła dziesięć razy, a w wielu wsiach założone zostały ich sklepiki. Jeśli tak daléj pójdzie, to spodziewać się należy, że za lat dziesięć zaczną zakładać sklepiki w Rosyi Europejskiéj, a za lat pięćdziesiąt we Francyi. Z téj strony niebezpieczeństwo nie byłoby wielkie, bo chociaż sklepikarz chiński z powodu swéj zdolności i oryginalności, któraby mu z początku w Europie wielu klientów jednała, zagarniałby powoli drobny handel, jednakże na groźne objawy długoby potrzeba czekać. Ale jeżeli rząd państwa środkowego zmądrzeje i chcąc się pozbyć swych szajek rozbójniczych, towarzystw tajnych, buntów ciągłych, mają-

cych źródło nie w jakichś wysokich ideach, lecz w braku chleba, pozwoli, a nawet forytować będzie ciągłą emigracyą ludu roboczego do Syberyi, a naturalnie ztamtąd do Europy, to na zachodzie może powstać nowa groźna kwestya, taka, jaka już niepokoi Amerykę, „kwestya żółta.“ Konkurencya robotnika europejskiego z milionami głodnego ludu, któremu życie w więzieniach angielskich w Honkong jest daleko znośniejsze niż swobodne w ojczyźnie ludu, który prawie przez całe życie nie zmienia ubrania i gnieździ się dziesiątkami w komórkach, któreby były za ciasne dla jednego Europejczyka, ludu rozsądnego, akuratnego, praktycznego, myślącego jedynie tylko o zarobku i zdecydowanego na wszystkie środki do niego prowadzące, konkurencya taka nie mogłaby być korzystną dla Europejczyka.

Kwestya to jeszcze bardzo daleka, najprzód z powodu znacznego kosztu komunikacyi przez pustynię Gobi, z środkowemi najbardziéj zaludnionemi częściami Chin; daléj z przyczyny trudności, jakie stawiają chcącym pojechać do Rosyi organy rządowe i wreszcie z powodu prawa, że kobiécie chińskiéj nie wolno ani na krok przestąpić granicy ojczyzny pod karą śmierci. Nietylko w Irkucku, ale i w Majmaczynie nie ma ani jednéj Chinki. Prawo to, mające jak mówią polegać na przepowiedni, że Chiny zginą z ręki człowieka urodzonego z cudzoziemca i Chinki na cudzéj ziemi, jest nie lada tamą dla emigracyi. Nadto, jak wiadomo, panuje u Chińczyków przesąd, że zwłoki ich muszą być chowane w ojczyźnie, aby pozyskać zbawienie. Wszystkie te jednak zawady mogą runąć, tak jak zniesiony został kordon trzymający zdala od Chin cudzoziemców, i gdy rząd chiński zechce tylko, mongolska lawa, może małemi, na pozór nic nie znaczącemi strumykami popłynąć do Europy, tą samą drogą co niegdyś Hunnowie, i pokojowemi środkami wywołać większe zmiany aniżeli zbrojne hordy Attyli.

Kiedy świdrak napadnie miliardami na tamy holenderskie, żadna siła i żaden rozum nie zdoła ocalić od zniszczenia słupów podwodnych; gdy kropla wody spada ciągle i często w jedno miejsce, żaden kamień jéj się nie oprze, a przeciwko szarańczy skutkują tylko takie środki, które jednocześnie gubią i roślinność. Chińczyk ma siłę świdraka, kropli wody i szarańczy. On działa stale, bo taka jest jego natura wiekowém wychowaniem nabyta, działa nieznacznie, bo dla dopięcia celu umié się do wszystkiego zastosować, działa jednolicie gromadą, bo duch stowarzyszenia nigdzie nie doszedł do takiego stopnia jak u nich, i nigdzie jednostki nie są tak podobne jedne do drugich pod względem działań i celów jak u Chińczyków; może wreszcie działać milionami, bo na miliony liczy się nadmiar ludności w Państwie Środkowém.

Walkę o byt, jakkolwiek mającą swe źródło w zwierzęcym instynkcie zachowawczym i około niego ostatecznie się obracającą, uczyniła cywilizacya nadzwyczaj różnostronną i skomplikowaną, rozwinąwszy wiele takich kierunków działalności, z których często trudno domyślić się owego źródła. Kierunki te znane w ogóle pod nazwą wyższych, zwykle nie mają natychmiastowego lub wyraźnego pożytku na celu, a choć jasną jest rzeczą, iż bliższa lub dalsza przyszłość wielkie z nich korzyści osiągnie, dziś są wykonywane tylko wskutek wyższych cywilizacyjnych instynktów, często wprost przeciwnych interesowi jednostki. Dla Chińczyka cała ta sfera wcale nie istnieje, on wcale nie ma dla niéj zmysłu. On szuka tylko prostéj, zaraz dającéj się zastosować korzyści i, oprócz zadawalniających pierwsze, najprostsze zwierzęce instynkty, innych potrzeb on nie ma. Jest to materyalista praktyczny w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu, niezdolny nawet wznieść się do wysokości greckiego epikureizmu, jest to człowiek *grubo i drobnostkowo* praktyczny.

Kładę nacisk na ostatnie wyrazy. I Europejczycy są praktyczni, do tego stopnia, iż na każdém polu przemysłu daleko prześcignęli Chińczyków i zarówno w sile ekonomicznéj jak i militarnéj mają nad nimi niepomierną przewagę; ale Europejczycy nie negują niepraktycznych w danéj chwili kierunków, którym właśnie swą siłę zawdzięczają, i propagują je dla przyszłych pokoleń, działają w imię postępu. Idea ta jest tak silną i tak zakorzenioną w Europie, że nawet najwięksi egoiści nie wyłączają się od jéj rozwijania pod warunkiem, że sobie byt zabezpieczą.

W Chinach praktyczność jest inną. Tam nietylko nie wyrobiło się pojęcie, iż trzeba sprzyjać nowym ideom pożytecznym dla przyszłości, ale nawet nie ma zmysłu do nowych pomysłów, dających się natychmiast urzeczywistnić z wielkim pożytkiem. Czy konserwatyzm ich jest tak silny, czy nierozwijana wyobraźnia tak słabą, że nie umieją sobie przedstawić abstrakcyjnie jak będzie się miało to czego nie widzieli? Pod tym względem są w zupełném niemowlęctwie. Gdy dziesiątki Rosyan przesiedliły się do Chin, aby wprost na miejscu kupować i wysyłać herbatę, Chińczycy nie odważyli się założyć faktoryi w Moskwie, któraby im po daleko niższych cenach sukno i tkaniny bawełniane dostarczała. Policmajster troickosawski opowiadał mi, że służąc w kraju usuryjskim namawiał kupców chińskich, aby sami wysyłali do Szanghai kapustę morską, poławianą przy brzegach rosyjskich, na któréj właściciele okrętów niemieckich robią znakomite interesa. Choć kapusta ta nic prawie nie kosztuje na miejscu, a w Chinach jako delikates za bardzo wysoką cenę bywa sprzedawaną, o czém namawiani najlepiéj wiedzieli, jednakże nie mogli

się zdecydować na ten nowy dla nich handel. Wreszcie, gdy coraz więcéj okrętów niemieckich przybywać zaczęło, a co ważniejsza, gdy doradca zaręczył im, że straty bierze na siebie, wysłali do spółki mały ładunek za kilkaset rubli. Podczas ładowania i po odpłynięciu statku byli w ciągłym strachu i wypytywali się każdego, czy statek nie zatonie, czy posłani spólnicy i ci co mają ich pilnować (sic!) nie uciekną, czy jaka wojna nie wybuchnie podczas której okręt zabiorą i t. d. I tak się zachowywali ludzie, którzy o tysiące wiorst przybyli do obcego kraju, obracają dziesiątkami tysięcy i przez to samo morze sprowadzają herbatę i materye jedwabne. Doprawdy dla umysłu Europejczyka jest to zupełnie niepojęte!... Dopiéro, gdy za każdy rubel dostali dziesięć, stali się śmielsi, ale pomimo to przy nowéj wysyłce drżeli ze strachu i wypytywali się ludzi nic nie mogących o tém wiedzieć, czy właśnie teraz nie stracą. Taki sam wstręt do nowości i jéj obawa panuje na wszelkich innych polach: tak np. godna zajęcia człowieka praktycznego umiejętność jak medycyna obraca się w kółku astrologiczno-szarlatańskiém, że nie wsponę już o innych naukach, których uprawianie polega na porównywaniu tego co przed tysiącami lat samodzielnie napisano.

Umysł i działalność Chińczyka otwarte są jedynie dla potrzeb takich jakie czuje dziecko, dla powszedniości, a cała postępowość jego redukuje się do postępowego zwiększania majątku. I na tém też polu Chińczyk jest mistrzem. Nie patrząc w dal, gdzie nic wzroku jego nie odciąga, widzi za to wszystko dokładnie około siebie. Tu się jego rozsądek wyćwiczył do mikroskopowéj czułości. Na polu życia powszedniego, drobnostkowego nikt mu nie dorówna, bo on jest jego wcieleniem. To stanowi jego słabość i siłę.

Właśnie dla tego może on być strasznym dla Europy. Na powszedniości oparte są fundamenta naszego bytu i gdyby przyszło do walki o byt z Chińczykami, to trzebaby było walczyć takiemi jak oni środkami: zrzec się wszelkich dalszych widoków, ograniczyć swe potrzeby do minimum, pozbyć się wszelkich zasad moralności i honoru, wszelkiéj nadziei postępu. Naturalnie, los ten spotkałby najrzód tylko klasę najniższą i wywoławszy taniość pracy możeby się podobał tak jak w Ameryce niektórym pracodawcom; ale gdyby to nie wywołało natychmiast gwałtownego przewrotu w Europie, to przyszłaby koléj i na klasę wyższą. Cała nasza wyższość cywilizacyjna nicby tu nie pomogła, bo jak teraz z owoców jéj korzystają głównie nie ci, którzy są jéj podstawą, lecz ci, którzy mogą je kupić, tak też po pewnym czasie razem z kapitałem, czyli co na jedno wychodzi z władzą nad środkami codziennéj potrzeby, przeszłyby one w ręce Chińczyków. Wszelka działalność, nie będąca bezpośre-

dniém staraniem się o chleb powszedni, byłaby wyłączoną, i dla tego téż więcéj miałby szans utrzymania się w walce o byt pierwszy lepszy prostak niż człowiek genialny, którego powszedniość nie rozumié i nie znosi. Choćby więc może Chińczycy, przy najlepszych dla siebie warunkach, nie zdołali, nawet po upływie wieku lub dwóch stuleci, wyprzéć Europejczyków, to jednak wszelkiemu postępowi położonyby został koniec i zapanowałaby chińszczyzna. Jeśliby do takiego stanu rzeczy dojść mogło, t. j. gdyby klasa robocza, najpierwiéj nieszczęściem dotknięta, nie mogła tak wystąpić jak w Ameryce i puszczona została przez zaślepioną siłę do poddania się obcemu napływowi, to po krótszym czy dłuższym przeciągu czasu, klasy wyższe, choćby nie dla idei postępu, ale dla ocalenia samych siebie, uczułyby się zmuszonemi do użycia przeciwko przypierającemu ich żywiołowi środków, przed któremi wzdraga się uczucie ludzkie: przeciwko podkopującym ich byt i cywilizacyą na pokojowém polu Chińczykom, mieliby tylko armaty i bagnety. Ta ultima ratio pozostałaby zawsze skuteczną, bo Chińczycy umieją odstraszać swych nieprzyjaciół tylko drewnianemi smokami i posiadają tyle odwagi co wyobraźni i zdolności abstrakcyjnéj. Ale aby uniknąć konieczności barbarzyńskiéj walki rasowéj, należałoby przedsięwziąć łagodniejsze środki obrony, skoro tylko chińszczyzna grozić nam zacznie.

Kwestya to, powtarzam, bardzo odległa i żadnemi śladami nie daje uczuć swéj ciężkości atmosferze europejskiéj. Ale przed laty kilkunastu daleką się zdawała i Ameryce. Ze stanowiska więc ciasnéj praktyczności zbytecznėm byłoby ją poruszać, ale na szczęście w Europie nietylko to ma wartość co natychmiastową korzyść przynosi. Komu zresztą przykład kwestyi żółtéj w Ameryce nie dość się zdaje pouczającym, i kto pewny jest, iż ani żegluga przez ocean Północny, ani kolej żelazna do Azyi środkowéj nie mogą sprowadzić do nas Chińczyków, może uwagi moje, z któremi opuszczałem Majmaczyn, przyjąć tylko za szkic etnologiczny, mający na celu scharakteryzowanie ludności chińskiéj, na północy od pustyni Gobi mieszkającéj.

*B. R.*

# SIŁA JAKO RUCH.

## STUDYUM Z FILOZOFII FIZYKI.

(*Dokończenie*).

### IV.

### Ewolucya sił fizycznych.

Jeżeli wywody nasze, w poprzednich rozdziałach zawarte, są słuszne, w takim razie zyskaliśmy podstawę dla właściwego pojęcia wszystkich sił przyrody. Przyciąganie powszechne, rozumiane jako wynik mechanicznego do siebie stosunku ciał i eteru, daje nam zarazem tło do naszkicowania sobie roli sił innych.

Wszystkie one będą tylko modyfikacyą, tylko różną, specyalną formą przejawu tego samego stosunku: ciał i eteru. Wszystkie będą rodzajem ruchu, rodzajem, którego stopień określi nam skala form i przejść od ruchu mas do ruchu cząstek.

Ciążenie występuje jako wynik ruchu całych mas i powszechnego, masowego że tak powiem nacisku eteru, podczas, gdy inne siły zależą tylko od ruchu *pewnéj liczby ich cząstek.*

Dla tego to, ze wszystkich sił, jedno tylko ciążenie zachowuje się tak, jak gdyby działało w stosunku prostym do mas.

Ciążenie jest walką wszystkich innych sił. Jest dla nich tém, czém pierwsza mgławica dla słońca i planet, czém pierwsza komórka dla roślin i zwierząt, czém dotykanie dla innych zmysłów, czém wrażliwość w ogóle dla wszystkich innych sił duchowych.

Siły fizyczne musiały mieć swoję ewolucyą i swój rozwój; skoro go mają siły duchowe i społeczne. I w nich musiał istnieć postęp od prostoty do różnorodności. Inaczéj, musielibyśmy przyjąć granice bezwzględne między siłami, a tych nigdzie nauka nie wykrywa.

Owszem—wykrywa tylko przejścia, nie linijne wprawdzie, ale gałęziste.

Takim pniem wspólnym dla sił jest ciążenie.

Prawdopodobnie był czas w którym istniały tylko minimalne masy, mniéj więcéj równe, zwane *atomami eteru*.

*Wówczas nie było jeszcze ciążenia.*

Atom nie stawiał oporu atomowi, ani też nie łączyły się one z sobą; uderzały się tylko i odbijały, bez straty, bez zmiany, a raczéj z jedną tylko zmianą: kierunku ruchu. I gdybyśmy ten stosunek pierwotny, hipotetyczny, wzięli bezwzględnie, to musiałby on pozostać wiecznym.

Lecz tak go brać nie możemy. Atomy, o których mówić warto, nie były bezwzględnie proste, ale składały się z cząsteczek jeszcze mniejszych, obdarzonych zaledwie śladami możności ruchu. Ta słaba możność ruchu była zerem odnośnie do danéj chwili i nie powodowała żadnéj straty dla ruchu całych mas atomowych, który też wówczas mógł być uważany za stały nietylko co do ilości, lecz i co do natury. Odnośnie jednak do całego szeregu wieków i epok, taż sama słaba możność ruchu wewnętrznego była przyczyną powstania ciążenia, powstania wszystkich innych sił, wszystkich zjawisk.

Atom, który w skutek różnorodności ruchów innych atomów wystawiony był na większą ilość uderzeń, przejmował je na swe cząstki. Atomy uderzające zwolna osłabiały swą prędkość; i nareszcie, po upływie nieznanych okresów czasu, padały stopniowo na ów atom wybrany, powiększając jego masę mocą własnéj bezwładności i pod naciskiem ruchu atomów otaczających.

Wyobrażając sobie pewną liczbę takich atomów wybranych, wystawionych na maximalne ilości uderzeń, będziemy mieli tyleż ognisk kosmicznych, tyleż zarodków ciał i światów, których tajemnicą była: *zamiana ruchu mas na ruch cząstek*.

Wówczas to zaczęło powstawać *ciążenie*.

Atomy, padające na pierwsze molekuły, padały tak, jak gdyby były przez nie przyciągane; molekuły te, czyli drobiny, zachowywały się względem siebie tak, jak gdyby się przyciągały, co wszystko pierwéj było niemożebném w tłumie jednorodnych, nie zmieniających natury swego ruchu atomów. Te uderzały się tylko i odbijały, z chwilą zaś ukazania się drobin, zaczęła się *ewolucya zjawisk ciążenia*.

W tém miejscu słyszę głos czytelnika, który mówi:

— Przepraszam; jakim sposobem dopiéro teraz miało powstawać ciążenie, skoro już pierwéj, owe atomy pierwotne miały być wedle teoryi *złożone*, to znaczy musiały objawiać w swych cząstkach *spójność*, która jest przecież jedną z form ciążenia? Nie jest że to przyjąć w założeniu to, czego się chce dowieść we wnioskach?

— Dojechałeś mi, czytelniku, jak to mówią do żywego; ale to nic, lubię także zarzuty, *clara pacta faciunt claros amices*: pozwól zatém, że się wytłómaczę.

A najprzód przypomnę, że wiedza nasza o istocie zjawisk może być tylko względną; jeżeli używa wyrażeń stanowczych, to tylko dla tego, że chce być jasną, chcąc być nadto ścisłą, musi czynić także zastrzeżenia. Zastrzeżenie zaś, które nam jest w téj chwili potrzebne, będzie następujące:

Atomy pierwotne nie są bezwzględnie proste, ale są proste względnie. Skoro mówimy o nich, w stosunku do drobin i brył, mówimy jako o *jednostkach*, niepodzielnych, występujących tylko jako całość.

Wprawdzie uważane same w sobie i w stosunku do niezmierzonych epok istnienia, zdradzają swą istotną złożoność, ale ta złożoność jako *zawsze nierozdzielna de facto*, nie pozwala nam jeszcze mówić o *spójności* w uznaném znaczeniu tego wyrazu. Cząstki *spojone* są te, które były lub mogą być rozdzielone. A tutaj bynajmniéj tego wypadku nie ma. Składniki przestrzenne atomów, o ile wiemy, nie były, i o ile wnosić możemy, nie będą rozdzielone. One są dla nas, przed okiem naszéj wyobraźni tylko jednostką, tylko *punktem materyalnym*.

Jeżeli zaś przebiegając tym wzrokiem duchowym niezmierzone okresy czasu, zmuszeni jesteśmy i przez naturę naszéj wyobraźni, i przez prawa logiczne naszéj myśli przyznać atomom *skład* pewien, to przez to jedynie chcemy stwierdzić, żeśmy uderzyli tutaj o odwieczną zaporę ludzkiego rozumu, po za którą możemy rzucać *wyrazy*, ale z poza któréj *rzecz* żadna nie przegląda.

Zatém—w znaczeniu swém istotném, spójność i wszystkie inne formy ciążenia zaczynają się przejawiać dopiéro *w epoce utworzenia się drobin*.

Zwolna, mocą przedłużania się tego samego procesu, z drobin tworzyły się bryły, które ruch obrotowy zmuszał do przyjęcia formy mniéj więcéj kulistéj, a na ich powierzchni poczęło się pojawiać pozorne przyciąganie, czyli ciążenie pod naciskiem otaczającego eteru.

I wtedy przeciwstawność ruchu mas względem ruchu cząstek dała początek wszystkim innym siłom z tego właśnie przeciwieństwa wynikającym.

Czy mamy prawo domyślać się: jakiém być mogło następstwo téj ewolucyi?

Do pewnego stopnia, mamy. Jeżeli bowiem cały proces przedstawiamy sobie jako przejście od stanu ultragazowego do stałego, to

z samej natury rzeczy wynika, że pierwéj powstać musiały te siły, które jak *światło* działają przez tak zwaną próżnię, a późniéj te, które jak *dźwięk* działają tylko w materyi zwykłéj, zgęszczonéj.

Można się więc domyślać, że po stosunkach czysto mechanicznych, prostych, wytworzyły się subtelniejsze, harmonijne prądy drgań, które w zmysłach naszych tłómaczą się jako chemiczne, świetlne, cieplikowe, wreszcie dźwiękowe.

Następstwo takie usprawiedliwia także i ten wzgląd, że pierwotnie w danym systemie słonecznym przeważać musiały najszybsze ruchy cząstek. Nasz świat był niegdyś jaśniejszym, kiedyś—będzie głośniejszym.

Za mało znamy istotę elektryczności i magnetyzmu, ażeby im miejsce prawdopodobne w téj ewolucyi naznaczyć. W każdym razie jednak naturą swoją świadczą one, że jak w rozwoju organicznym, tak i w fizycznym postęp szedł gałęzisto a nie linijnie, i że jak tam tak i tutaj nie może być granic w epokach, ale tylko przejścia, które nie wykluczały współczesności różnych sił. Możemy tylko mówić o przewadze jednéj nad drugą i przypuszczać, że niegdyś z ciążenia zaczątkowego wyrodziła się spójność, ze spójności chemizm; że ten przeważał w epoce tworzenia się dzisiejszych pierwiastków; że współcześnie, według praw, których prawdopodobieństwo następnie okażę, odbywała się geneza różnych form elektryczności; że bliską tego okresu była epoka światła przechodzącego w ciepło, i że wreszcie powstaniem dźwięku zakończyła się geneza sił *fizyczno-chemicznych*, ożywiających nasz system słoneczny.

Jak wspomniałem, tych następstw nie należy brać zbyt literalnie. Rozwój szedł ciągle drogą gałęzistą. Siły nowe powstawały jako modyfikacye dawnych, nowe cechy łączyły się z dawnemi, tradycya dawała swe piętno postępowi.

Grawitacya objawia się tylko w jeden sposób prosty: pozorném *przyciąganiem*; jest powszechną, nie wyłącza żadnéj masy, większéj lub mniejszéj, złożonéj tak lub inaczéj. Następnie objawia się skłonność do wyróżnień. Już *spójność* i wszelkie jéj odmiany w przyleganiu ciał do siebie zdradzają różnice, od układu cząstek i warunków otaczających zależne. Chemizm te różnice potęguje, inaugurując zasadę wyboru,—rozpoczyna się specyalizacya. Obie te siły występują jeszcze jako przyciąganie, tylko już niepowszechne. Magnetyzm i elektryczność przyciągają także, ale już i odpychają zarazem; specyalizacya wzrosła: magnetyzm działa wprawdzie przez wszystkie ciała, ale utrzymuje się tylko w niektórych; elektryczność utrzymuje się w wielu, ale działa tylko przez niektóre. Nadto do cechy zasadniczéj przyciągania i nowo zdobytéj—odpychania, opar-

téj na biegunowości, przybywają nowe: prąd elektyczny świeci i ogrzewa.

W cieple i świetle biegunowość ginie, własność przyciągania zatraca się, występując już tylko jako *cecha szczątkowa* (używam tego wyrażenia przez analogią z „narządami szczątkowemi“ w organizmach); odpychanie przejawia się jeszcze, choć w innéj nieco formie, silnie w cieple, słabo w świetle. Ciepło działa przez wszystkie ciała, ale wybredne światło staje się już bardzo kapryśném; przez ciała nie przeświecające nie przechodzi, a natrafiając różne masy rozszczepia się, przeobraża, wyradzając nową rozmaitość barw. Natomiast zdradza dawniejsze pochodzenie upodobaniem do stanu gazowego i pokrewnych ż nim (ultragazowego i płynnego). Nareszcie w dźwięku rozmaitość jeszcze nadzwyczajnie wzrasta, przyciąganie i odpychanie jako cechy szczątkowe marnieją, zdolność rozprzestrzenienia staje się najmniejszą, mimo że zależność od układu cząstek jest tutaj słabszą niż w świetle.

Na tém tle, wśród skomplikowanych warunków przemiany sił, zaczął się peryod drugi, peryod ewolucyi dalszéj, sił *organicznych*, sił drugiego porządku.

Lecz i tutaj nie szukajmy przeskoku. Już *siła krystalizacyi*, jako dziecko spójności, chemizmu i ciepła, była niejako próbką przyrody na drodze do twórczości wyższéj, organicznéj. Wprawdzie siła krystalizująca poszła swoim trybem rozwoju a siła organizująca—swoim; ale bądź co bądź, są to siostry, których podobieństwo o pokrewieństwie świadczy. Starszą zbyt wiązały tradycye mechaniczne, ażeby mogła iść naprzód z postępem;—okazała ona światu tysiące swoich niezmiennych wdzięków, zamkniętych w rysy zdumiewającéj regularności, lecz sama nie zmieniła się i pozostała bezpłodną. Młodsza zdradzając zrazu wspólność upodobań napełniła głębie oceanów kształtami o ostrych konturach, ale w krótce otrząsła się z téj geometrycznéj tradycyi i oto rozwinęła przed nami miliony form, które nietylko zewnętrznie występują jako nowość, lecz nadto i wewnętrznie, bezustannie zmieniając treść swoję, przeradzają się, żyją!

Główna różnica pomiędzy siłą krystalizującą a organiczną polega na tém, że pierwsza jest tylko spójnością działającą z pewnym planem, druga spójnością, która się posługuje chemizmem dla swoich celów. Gdyby kryształ wymieniał wszystkie swe cząstki z otoczeniem, musielibyśmy o nim powiedzieć, że żyje.

Przemiana materyi jest w saméj rzeczy najbardziéj zasadniczą i najbardziéj stałą cechą organizmów. Trzeba tylko uznać w jéj przejawie pewien ład, którego nie ma w przemianach materyj nieorganicznych, a który zależy od sił drugiego porządku. Minerał, który

dłuższy czas leży na powietrzu pod wpływem ciepła i wilgoci, *wietrzeje*, to znaczy odbywa się w nim przemiana materyi: jedne pierwiastki bierze od powietrza, drugie— oddaje powietrzu. Ale, po pierwsze ta zamiana nie jest wewnętrzną, zupełną, tylko powierzchowną; powtóre minerał zachowuje się w niéj tylko biernie; po trzecie, postęp téj przemiany jest rozpadaniem się minerału. Tymczasem w komórce, w organizmie, wszystko się ma przeciwnie: wymiana jest wewnętrzną i zupełną; zachowanie organizmu czynne, nadzorcze, a postęp téj przemiany decyduje o *życiu*, stanowi je.

W sile organicznéj, szczątkowa cecha przyciągania znowu występuje, lecz występuje z nabytkami postępowemi specyalizacyi chemicznéj. Tkanka każda wybiera tylko to, co jéj jest potrzebném; o ile zaś zmuszoną jest przyciągać, a raczéj pod naciskiem pochłaniać, to co jéj jest nie potrzebne np. nadmiar soli wapiennych, o tyle odbywa rozwój wsteczny, o tyle martwieje. Wszelkie zaś objawy przyciągania jakie w organizmach widzimy, czy to w krążeniu i przesiąkaniu krwi, czy w oddechowéj wymianie tlenu i węgla, czy w ściąganiu ich mięśni, czy w elastyczności skóry i t. p. zależą od tych samych praw nacisku dynamicznego co i przyciąganie powszechne, lub elektryczne, od rozrzedzenia w skutek ruchu z jednéj strony i od zgęszczenia w skutek ruchu z drugiéj, i tu i tam cząstki materyi poruszają się zawsze w stronę najmniejszego oporu. Powiększenie wewnętrznych ruchów organicznych wyradza wewnętrzne rozrzedzenia układu cząstek wirujących, a więc zmniejszenie oporu, a więc zwiększenie pochłaniania i asymilacyi, zkąd rozrost. Asymilacya zbyteczna wyradza zgęszczenie cząstek w komórkach, zwiększenie oporu wewnętrznego, stosunkowe zmniejszenie nacisku z zewnątrz, ztąd rozpadanie się protoplazmy, podział komórek, rozmnażanie.

I tu więc przyciąganie nie występuje jako własność materyi, ale jako wynik ruchu. Miejmy zawsze na pamięci półkula magdeburskie, w których przewaga nacisku dynamicznego z zewnątrz tworzy spójność, a będziemy mieli uprzytomnienie grube tych wszystkich subtelniejszych objawów przyciągania, objawów spójności organicznéj, która ciałom żywym pozwala zachowywać formę, mimo zmiany treści. Pokarm, który przyjmujemy, ciepło, które pochłaniamy, wrażenia, którym ulegamy, wszystko to są strumienie ruchu, zlewające w naszę istotę zapas dynamicznéj odporności; wstrzymanie ich jest wstrzymaniem życia, i przestać żyć jest to przestać pochłaniać ruch; przestać działać, jest to przestać uzewnętrzniać ruch pochłonięty. Siła życia działa tylko w szczupłych granicach równowagi niestałéj pomiędzy naciskiem z wewnątrz i z zewnątrz. Zarówno zwiększenie nacisku powietrza jak i zmniejszenie go może spowodo-

wać śmierć, a zarówno czynność nadmierna jak i brak czynności mogą zabić tkanki. Wyobraźmy sobie dwa talerze szalek bardzo czułych; ciężar na jednym przedstawi nam *istotę*, ciężar na drugim *otoczenie.* Dopóki się równoważą zupełnie, nie ma życia. Istota jest wówczas ziarnem, które może żyć, ale które jeszcze nie żyje. Spokój jest zaprzeczeniem życia. Gdy się wahają, wracając co chwila do równowagi i znowu ją zrywając, wówczas jest życie, tém szybsze, im szybsze wahania. Gdy którakolwiek strona przeważy zbytecznie, harmonia zrywa się, pozostaje stan anormalny, równowaga niestała staje się brakiem równowagi i organizm umiera. Rozkład zaś pośmiertny jest przewagą dynamizmu zewnętrznego, który wewnątrz nie znajdując oporu gospodaruje jak we własnym domu. Jednem słowem, życie jest przeciwstawnością i wymianą dwu systemów ruchu: jednego w organizmie, drugiego w otoczeniu.

Trzeci peryod ewolucyi sił wydał siły *duchowe.* A i tu także rozwój był stopniowym.

Już siła *nerwowa* a mianowicie odmiany jéj: pobudliwość i ruchliwość były zaczątkiem téj cudownéj ewolucyi. Ukazanie się nerwów w organizmach było tworzeniem się rządu w rządzie, siły nerwowéj na tle siły życiowéj ogólnéj.

Wiadomo, jak chętnie fizyologowie upatrują pewne analogie między siłą nerwową a elektrycznością, utożsamić ich jednak nie można, i bylibyśmy w kłopocie gdzie tę nową siłę przyrody pomieścić, gdyby nam zasada ewolucyi nie oświecała tych związków. Siła nerwowa jest wyższym stopniem rozwoju elektryczności, ale nie jest nią samą, i elektryczność jako taka istnieje w nerwach; ale *obok* siły nerwowéj. Co więcéj, ta ostatnia nosi na sobie jeszcze *dawniejsze* cechy szczątkowe; pobudliwość cechująca ją nie jest bynajmniéj jéj zdobyczą oryginalną, sięga ona poprzedniéj epoki ewolucyi: wiadomo bowiem, że już organizmy jednokomórkowe zdradzają pobudliwość mechaniczną, którą nazywamy *kurczliwością protoplazmy.* Już więc i tam, gdzie nerwów nie było jeszcze, objawiała się skłonność do powstania siły nerwowéj.

W szeregu istot rozwija się ona, skupia i specyalizuje. Na gruncie czynności *odruchowych* tylko, ustala się miejsce na zapas ruchu i sam zapas ruchu dla czynności mózgowych ośrodkowych. Ośrodki nerwowe, będąc zrazu tylko zajazdem dla wrażeń, stają się ich mieszkaniem. *Wrażenia* osiadłe występują jako *wyobrażenia.*

Ewolucya duchowa specyalizuje się i organizuje, występując jako nowy rząd w rządzie, jako siła duchowa na tle siły nerwowéj. Ale i tu zacierają się tylko cechy szczątkowe, nie zaś zasadnicze. Siła duchowa nie przestaje być ruchem, tak jak nie przestała nią być

siła nerwowa. I tu tajemnicą nowéj formy życia jest nowa forma wymiany ruchu.

Co więcéj, jak płodowy rozwój ssących przypomina i powtarza w części ich rozwój genealogiczny, tak tu każdochwilowy proces powstawania pojedynczych czynności duchowych przypomina nam ich uprzednią ewolucyą: zamiana bowiem sił fizycznych, na nerwowe, a tych na duchowe odbywa się bezustannie. Drgania eteru, powietrza, płynów i ciał stałych, jako siły fizyczne, uderzając o zakończenie nerwów, zamieniają się na drgania fizyologiczne na momenta sił nerwowych, a te dochodząc do tkanki szaréj mózgu i znajdując tam już ślady innych wrażeń, zamieniają się na ruch psychiczny, wyobrażeń.

Nie dosyć na tém: ten ruch psychiczny może odbyć przemianę odwrotną, która już w rozwoju zoologicznym nie znajduje żadnéj analogii, może odbyć przemianę na ruch nerwowy i znowu na ruch fizyczny, mechaniczny, w czynach, czyli w ruchach mięśni.

Na tym stopniu rozwoju, najwyższym, jaki przyroda przedstawia: szczątkowa cecha przyciągania metamorfozuje się do niepoznania. Przybiera ona formę *asocyacyi* czyli skojarzeń pomiędzy wrażeniami, wyobrażeniami i ruchami. O tyle, i tylko już o tyle teorya asocyacyi przypomina teoryą ciążenia.

I pierwsza wymaga reformy tak jak druga, ale o tém gdzieindziéj.

Ewolucya tedy sił przedstawia się w porządku następującym:

1. Ciążenie.
2. Siły chemiczno-fizyczne.
3. Siły organiczno-ogólne.
4. Siły duchowe.

W tém następstwie linijném rozwój szedł jednak gałęzisto, i w szczegółowych podziałach, na które jeszcze dzisiejszy stan nauki nie pozwala, musielibyśmy pomieścić odrośla samodzielne, takie, jak odmiany spójności przy ciążeniu; odmiany krystalizacyi w drugim dziale; kurczliwości w trzecim; woli w czwartym i t. p.

Co będzie daléj? Jaką drogą pójdzie przyroda w dalszych swych produkcyach? Nie wiemy. Ale to pewna, że twórczość jéj możliwą jest jeszcze w każdym z tych działów, i że nawet między siłami fizycznemi możemy odkryć nowe, do których poznania nie wystarczały dotychczas nasze władze umysłowe. Nie należy bowiem zapominać, że pojęcie wszechświata zależy od podwójnéj ewolucyi: przedmiotowéj i podmiotowéj. Przedmiotowo, musi się wytworzyć pewien rodzaj i pewna skala drgań, ażeby je można było odczuć lub wyrozumiéć jako osobną siłę, podmiotowo zaś, dla tegoż odczucia lub

wyrozumienia niezbędny jest pewien stopień rozwoju organizmów, pewien zmysł dla danéj skali wrażeń. Tak np. być może, że pomiędzy drganiami, które stanowią dźwięk, a temi, znacznie szybszemi, które stanowią ciepło, istnieje odrębna przejściowa grupa drgań, które stanowią osobną siłę, tylko że dzisiejszy nasz rozwój nie pozwala jeszcze na jéj wykrycie. Barwy widziano niegdyś inaczéj niż dzisiaj (*Magnus*), elektryczność nawet inaczéj odczuwano (*Pouchet*); być więc może, że i dla całych sił istnieje także ograniczenie rozwoju.

Przypuszczalne odkrycia nowych sił fizycznych były już nie raz ogłaszane; dość wspomnieć siłę odyodyczną Reichenbacha i prawdopodobniejszą siłę *eteryczną* Edisona. Nie pora jednak decydować dzisiaj, ile jest w tych podaniach rzeczywistości. W każdym razie sądzę, że nie godzi się jednéj tylko dziedzinie fizyczno-chemicznéj odmawiać idei rozwoju. Ewolucya jest albo prawem powszechném, albo jéj nie ma wcale; stwierdzono bowiem wielu badaniami jedność przyrody, nie pozwala dzielić jéj na dwa rodzaje: martwéj i żywéj. Jeden jest rodzaj materyi i jedna tajemnica siły. Jakość sprowadza się wszędzie do ilości, różnice do granic sztucznych, granice do stopni. Jak nie ma odrębnéj chemii organicznéj, tak nie ma odrębnéj fizyki biologicznéj, i tylko większa warunków zawiłość zmusza nas często do tworzenia odrębnych kategoryj tam, gdzie są tylko przejścia i kombinacya.

Jedne téż prawa ogólne rządzą przemianą wszystkich sił, od zjawisk ciążenia aż do zjawisk samowiedzy.

## V.

## Prawa ogólne przemiany sił.

Jest to już prawdą powszechnie uznaną, niezależnie od tego czy kto uważa siłę za ruch, czy za byt odrębny, że siły nie giną, że żadna z nich nie może być zniszczoną. Cóż się z nią dzieje, gdy znika pozornie? Przeobraża się.

Ruch mechaniczny w jakiéjkolwiekbądź formie z każdą chwilą przejawu zamienia się na ciepło. Ciepło powstaje przy uderzeniu, tarciu, wyciąganiu, skręcaniu, powstaje w miejscu i kosztem znikającego ruchu. Ciepło przechodzi w ruch w maszynie parowéj, w światło i dźwięk w każdym piecu, w stosie termoelektrycznym przechodzi w prądy. Prądy elektryczne zamieniają się w ciepło w drutach, w światło w lampie elektrycznéj, w magnetyzm w elektromagnesie, w dźwięk w telefonie. Siła chemiczna rodzi wszystkie te siły i sama z nich powstaje. A ile razy chcemy którąkolwiek z nich zniszczyć, tyle razy albo ją rozpraszamy tylko, albo zamieniamy na inną.

Są to fakta znane powszechnie i nie ulegające żadnéj wątpliwości. Jakimże jednak sposobem mogę np. wytworzyć ciepło, trąc o siebie dwa kwawałki lodu, jakim sposobem mogę w radiometrze Crookesa światło na ruch zamienić, albo przez proste pocieranie laku wywiązać elektryczność? Byłożby to możliwém, gdyby te siły były istotnie bytami odrębnemi, często wprost przeciwnych własności?

Byłyby to w każdym razie przemiany bardzo mistyczne. Tymczasem wszystko się staje zrozumiałém, z chwilą, gdy przypuścimy, że siły te tak łatwo z ruchu powstają i tak łatwo ruch wywołują, ponieważ same są ruchem, tylko ruchem drobniejszym, utajonym, i który dla tego właśnie działa odrębnie na nasze zmysły, jeśli przyjmiemy jednėm słowem, że we wszystkich tych wypadkach mamy do czynienia z *wzajemną zamianą ruchu mas na ruch cząstek.*

Będzie to hipoteza śmiała, ale nie mniéj konieczna, gdy powiem, że ostateczném źródłem wszystkich sił jest tarcie mechaniczne a mianowicie: że wszystkie zjawiska w naturze powstają przez tarcie ciał niebieskich o eter w którym krążą. Niech to zaś nikogo nie dziwi, że w tém zdaniu występuje ruch wirowy ciał jako przyczyna ciepła, światła, elektryczności i magnetyzmu, podczas gdy poprzednio mówiłem, że ciepło, światło, elektryczność i magnetyzm przyczyniają się do utrzymania ruchu ciał. W przyrodzie bowiem, o ile ją całą w sobie a nie w cząstkach i odnośnie do nas uważamy, przyczyna i skutek grają wzajemnie swoje role. I tém się właśnie różni maszyna świata od naszych maszyn; na tém polega jéj trwałość. Dla tego to świat stanowi *perpetuum mobile*, w którém każda czynność wywołana podtrzymuje wywołującą.

Niezniszczalność siły pociąga za sobą pewnik drugi, a mianowicie niemożność jéj stworzenia. Siła żadna nietylko nie daje się zniweczyć, ale téż i nie daje się stworzyć, możemy ją otrzymać tylko z ruchu mechanicznego, albo z innéj siły, czyli z ruchu cząstkowego. Odnośnie do sił czysto fizycznych, prawda ta jest widoczną; ażeby otrzymać światło potrzeba wzmocnić ciepło, albo powiększyć siłę prądu, albo użyć wstrząśnień mechanicznych, jednėm słowem, potrzeba użyć jednéj siły dla otrzymania drugiéj. W zjawiskach chemicznych zależność ta już się nieco wikła; działania *katalityczne* (samą obecnością) pewnych ciał, działania materyj wybuchowych i t. p. mogą się pozornie wydawać bezprzyczynowemi, jeśli nie uwzględnimy tych warunków cząsteczkowych, które w sposób utajony siłę skupiają i dopiéro w danéj chwili pozwalają jéj pojawiać się.

Ale najmniej widoczną zdaje się być ta prawda odnośnie do sił organicznych. Nie obznajmiony z prawami fizyologii łatwo może

przypuszczać, że ciepło lub elektryczność, powstają samorodnie w ciele naszém, że ruchy mięśni przychodzą nam darmo, a już co do samėj woli, to nawet wielu psychologom zdawało się, że ona sama się stwarza.

Bliższy jednak rozbiór doświadczalny usuwa wszystkie te wątpliwości. Organizm nic nie tworzy, on tylko formę sił zmienia. Gdyby nie pokarm, który przyjmuje, albo który ma jeszcze w zapasie, byłby martwym. Z tym zaś pokarmem, stałym, płynnym lub gazowym (oddychanie) przyjmuje on siły cząstkowe, głównie w postaci chemizmu, i te przetwarza dla swoich celów. We wszystkich jego tkankach odbywa się bezustannie utlenianie, a więc proces analogiczny z paleniem. W tym procesie z sił cząsteczkowych chemicznych powstaje ciepło i ruch mechaniczny. Im więcėj wytwarza się ruchu i ciepła, tém większe są wydatki organizmu, tém większy niedobór, który musi być pokryty nową pożyczką sił cząsteczkowych.

Ale i te bezustanne pożyczki (przyjmowanie pokarmów) byłyby niedostateczne do otrzymania sił żywotnych, gdyby nie stała dobroczynność przyrody, wyrażająca się w gotówkowėj ofierze ciepła zewnętrznego, które pozwala zaoszczędzić nieco na wewnętrznėj produkcyi ciepła z procesów chemicznych. Odbierzmy organizmowi ciepło otoczenia, a zamrze, mimo pokarmów. Odbierzemy nerwom prądy elektryczne i nerwowe a zostaną sparaliżowane, powodując *częściową śmierć* organizmu i t. p.

Śmierć ogólna następuje wtedy, gdy jedne siły, jak ciepło i elektryczność, rozpraszają się w otoczeniu, inne, jak siła spójności organicznėj na miarkowanėj przemianie chemicznėj oparta, zamieniają się na czynności chemiczne rozkładowe, niemiarkowane współdziałaniem innych sił.

Nie należy bowiem zapominać, że siła życia, jako siła drugiego porządku, nie jest siłą, lecz jest ewolucyjną kombinacyą wielu sił niższych, jest ich wypadkową. Wypadkowa ta w jednych organizmach zależy więcėj od ciepła, w innych— więcėj od światła, w niektórych także—dość znacznie od elektryczności, ale we wszystkich i zawsze— od ruchu chemicznego.

*Każdėj sile fizycznėj przejawiającėj się w organizmie towarzyszy równolegle przemiana chemiczna.* I to właśnie stanowi główną różnicę wszystkich ciał żywych od wszystkich ciał martwych. Każda praca ręczna, każde kiwnięcie palcem, każde słowo wypowiedziane, każda myśl nawet zużywa tkankę i wzmacnia potrzebę pokarmu. Człowiek pracujący umysłowo potrzebuje jeść i spać więcėj aniżeli człowiek próżnujący.

Wola nie jest całkowitą przyczyną ruchów, tak jak ręka maszynisty, odkręcającego kran lokomotywy, nie jest całkowitą przyczyną jéj ruchów; ona tylko uwalnia siłę, która inną drogą powstaje: w maszynie z węgla, w ciele—z pokarmu.

Umysł jako kompleks sił duchowych jest bezustannie odżywiany przez wrażenia, które siły fizyczne asymilują t. j. przetwarzają dla niego. Bez nich zamarłby on tak samo jak wysycha rzeka, gdy przypływ źródeł wstrzymany.

Ponieważ zaś wrażenia, dzięki ewolucyi ośrodków nerwowych a mianowicie tkanki szaréj, zyskały dla siebie magazyn, w którym mogą składać zapasy ruchu niezużytego na pokonanie oporu tkanek, więc téż ten zapas ruchu, te ślady wrażeń, mogą późniéj wywoływać efekta dynamiczne, chociaż żadne obecne wrażenie do tego ich nie powoduje. I oto w ten sposób powstają tak zwane czyny samowolne, które stanowią o wyższości człowieka nad wszystkiemi innemi istotami.

Jedném słowem, jakąkolwiek dziedzinę sił weźmiemy pod uwagę, czy w zjawiskach fizyczno-chemicznych prostych, czy w biologicznych niższych, czy w nerwowo-duchowych, zawsze i wszędzie stwierdza się pierwsze prawo ogólne, które możemy sformułować w następujący sposób:

*Żadna siła w przyrodzie nie powstaje i nie ginie, ale tylko rozprasza się lub przeobraża.*

Rozpraszanie się sił czyli rozprzestrzenianie towarzyszy zawsze ich przemianom czyli przeobrażeniom, a nawet poprzedza je. Każda siła usiłuje zająć pewną przestrzeń, większą lub mniejszą, stosownie do swego natężenia i do natury stanowiących ją fal ruchowych. Światło rozprzestrzenia się najdaléj, ciepło najłatwiéj, dość znacznie elektryczność, mniéj dźwięk, jeszcze mniéj choć nierównie łatwiéj magnetyzm, najmniéj i najtrudniéj ruch chemiczny, działa bowiem tylko przy bezpośredniém zetknięciu.

Zachodzi pytanie, jakie prawo ogólne reguluje te zjawiska?

Widzieliśmy już przy rozbiorze przyciągania powszechnego, że ruch ciał odbywa się zawsze w stronę najmniejszego oporu. Ponieważ zaś siły są także ruchem, łatwo więc zrozumiéć, że i do nich stosować się będzie toż samo prawo, z tą tylko różnicą, że ponieważ siła nie jest jednokierunkowym ruchem jednéj masy, lecz zbiorowym ruchem falistym cząstek, więc fale te, czyli fale sił, rozprzestrzeniać się będą we wszystkie strony; wybierając tylko drogi najmniejszego oporu. Jeżeli środek jest jednorodnym, w takim razie i rozchodzenie się będzie równomierne. Siła, rozprzestrzeniając się, słabnąć będzie w stosunku oporu stałego jaki znajduje, czyli w stosunku pracy jaką

wykonać musi dla pokonania go. Słabnie więc w stosunku stałym kwadratów z odległości, to jest w tym, w jakim rośnie opór.

Lecz taka jednorodność środka, możliwa w przestrzeniach planetarnych, na ziemi rzadko się urzeczywistnia. Zwykle siła w naturalném swém dążeniu do rozpraszania się napotyka warunki bardzo złożone, często sprzeczne. Światło ma z jednéj strony ciała przejrzyste, z drugiéj nie; elektryczność ma z jednéj strony dobre przewodniki z drugiéj złe; dźwięk ma z jednéj strony ciała sprężyste, z drugiéj miękkie i dla fal akustycznych niepodatne. Oczywiście więc najsilniéj się przejawi tam, gdzie znajdzie najmniéj oporu. Możemy więc powiedzićć ogólnie, że:

*Wszystkie siły rozprzestrzeniają się w stosunku odwrotnym do oporu, jaki na swéj drodze znajdują.*

Nie znając dokładnie istoty ruchu stanowiącego pojedyncze siły, ani budowy materyj przez które ten ruch ma przechodzić, nie możemy tém samém bliżéj określić dla czego siła *A* znajduje w ciele *a* opór mniejszy, lub większy, niż w *b*. Ale stwierdzając na każdym kroku sam fakt istnienia oporu, możemy rolę jego w prawie ogólném określić. W niektórych zjawiskach prawo to przedstawia się nawet tak wyraźnie, że przybiera formę istotnego *wyboru* drogi ze strony siły. Jeżeli ustawiamy na domach konduktory, to dla tego, iż wiemy, że elektryczność atmosferyczna mając do wyboru pomiędzy drogą przez cegły lub belki a drogą przez ostrze metalowe, wybierze to ostatnie i spłynie po drucie do ziemi. Nauczył nas tego sam piorun, który uderzając w mury wybierał drogi najlepszego przewodnictwa i kilkakrotnie w to samo miejsce uderzał.

Znane są analogiczne doświadczenia nad rozchodzeniem się ciepła przez złe, lub dobre przewodniki, a także wybór najmniéj opornych drutów przez prądy elektryczne. Ale toż samo możemy obserwować i w organizmach. Weźmy np. zawiłą kwestyą *wyrazu uczuć*. Trzy prawa, które dla objaśnienia go podał Darwin, byłyby całkiem nie dostateczne, gdyby nie czwarte, a raczéj pierwsze, bo zasadnicze, które orzeka, że *podrażnienia nerwowe rozprzestrzeniają się zawsze w stronę najmniejszego oporu.* Uzewnętrznienie się więc danego uczucia w pewnéj grupie mięśni zależy od oporu, jaki stawiają te mięśnie i nerwy do nich prowadzące. Opór zaś zależy znowu od bardzo wielu okoliczności, a mianowicie od systemu połączeń anatomicznych, od grubości i długości nerwów i od przyzwyczajenia, czyli od częstości odruchów.

Toż samo prawo, jako powszechne, moglibyśmy i inaczéj wyrazić, biorąc pod uwagę nie zachowanie siły, lecz jéj utratę, a mianowicie:

*Każda siła zużywa się w stosunku do pracy jaką wykonać musi dla pokonania oporu w swym przebiegu.*

Ten zaś opór pojmować należy nie jako skutek mistycznéj bezwładności atomów, lecz jako skutek ich ruchu, sprzecznego z ruchem falowym danéj siły. Na tém bowiem polega wszelki opór, nawet wtedy, gdy z pozoru wydaje się tylko biernym oporem masy.

Zapytajmy się teraz: co się stanie z daną siłą, jeśli opór, jaki na swéj drodze napotka, będzie zbyt wielkim? Siła taka *przeobraża się* (1).

Dwie kule biegnące, gdy się uderzą, mogą zamienić swój ruch postępowy na wirowy. Dla czego? Ponieważ napotkały wzajemnie opór, opór, który *nie pozwala na ruch postępowy dalszy*, *ale nie tamuje ruchu wirowego*. Ruch więc nie mogąc zginąć istotnie stosuje się do warunków i zmienia formę przejawu. Lecz i ten ruch ustaje z czasem z powodu *oporu* podstawy i powietrza, ustaje, to znaczy przenosi się na otoczenie w formie zmienionéj: obudza ruchy cząstkowe i falowe w podstawie i w powietrzu.

Ruch obrotowy koła może wywołać ciepło i zapalić oś u wozu, ale wtedy tylko, gdy znajduje znaczny opór. Oś dobrze nasmarowana nie zapali się.

Para gorąca w maszynie wywołuje ruch tłoku, ale wtedy tylko gdy przechodzi z otoczenia gorętszego (kocioł) do chłodniejszego (cylinder tłokowy), to znaczy, gdy warunki istnienia siły w formie ciepła zostają utrudnione, a natomiast ułatwione w formie ruchu mechanicznego. I dla tego tylko następuje przemiana. Tak samo para wychodząc przez wązki otwór świstawki, mając do poruszenia tylko powietrze, porusza je i zamienia swą siłę żywą na dźwięk.

W tych samych warunkach pozostaje także elektryczność.

Jeżeli prąd elektryczny przechodzi przez drut gruby i z dobrego przewodnika, przenosimy go prawie bez straty; jeżeli jednak w którémkolwiek miejscu przebiegu zastąpimy drut gruby cienkim i z gorszego przewodnika, wówczas ów drucik, platynowy np., *rozpala się* a nawet *świeci*. Dla czego? Ponieważ galwanizm znalazł zbyt wielki opór i, ratując się jako ruch, zmienił formę: przeobraził się w ciepło i światło.

Toż samo, choć w sposób bardziéj zawiły, powtarza się w organizmach. Praca mięśni, która znajduje opór, wytwarza ciepło; podobnież wytwarza ciepło tarcie krwi o ściany naczyń, podczas szyb-

---

(1) Ściśle rzeczy biorąc, i przy najmniejszym oporze a więc i przy zwykłém zużywaniu się podczas rozpraszania, siła przeobraża się, ale ponieważ to przeobrażenie się jest utajoném i wydaje tylko pracę wewnętrzną atomową, więc dla jasności odróżniamy je od tych przeobrażeń widocznych, w których nowa siła na jaw wychodzi.

szego obiegu. Podraźnienie nerwowe zamienia się na ruch mechaniczny w skutek zmiany natury tkanek. Każde ściągnięcie mięśni, z wysileniem dokonane, oprócz ciepła, wytwarza elektryczność. Gdy w mózgu nagromadzi się znaczna ilość sił nerwowych, podczas spotęgowanéj, uczuciowéj czynności, to znaczy, gdy warunki przejawu dla każdéj z nich są utrudnione, wówczas siły te przenoszą się na nerwy ruchu i wywołują żywe, bezładne poruszenia. Nadto gorączkowa czynność umysłu, pokonywając opór tkanki nerwowéj, zawsze w pewnéj części zamienia się na ciepło, jak tego między innemi dowiodły umiejętne doświadczenia Schiffa. W ogóle więc *przemiana jednéj siły w drugą następuje zawsze, i tylko wtedy, gdy warunki przejawu pierwszéj są utrudnione.*

Tym sposobem w siłach natury panuje taż sama zależność od warunków przejawu, co i w organizmach odnośnie do warunków życia. I te i tamte *walczą o byt*, *przystosowują się do otoczenia.* Nie mogąc istnieć w jednéj formie, przyjmują drugą, taką mianowicie, która na danym gruncie najmniéj znajduje oporu. Oczywiście w siłach zdolność ta przestosowywania się będzie nawet znacznie wyższą niż w organizmach, i musimy ją uważać w tych ostatnich nie za co innego, tylko za ślad ewolucyjny, za cechę szczątkową tych samych własności, jakie w siłach wolnych znajdujemy.

Czwarte prawo brzmi jak następuje:

*Każda siła przeobrażając się przybiera więcéj niż jednę nową formę.*

Jeżeli ciało spadające, natrafiając na przeszkody, nie może daléj w formie mechanicznego ruchu przejawiać nabytéj prędkości, wówczas zamienia ją na inną formę ruchu, ale nie na samo ciepło tylko, jak to się zwykle nieściśle podaje, lecz także na dźwięk i na elektryczność. Każde uderzenie jednego ciała o drugie wytwarza przynajmniéj dwie z tych sił i nie ma takiego uderzenia przy któremby tylko pojedyncza zamiana następowała.

Fakt ten, z pozoru drobny, jest jednak bardzo doniosłym. Wobec niego np. upada jeden z zasadniczych punktów dzisiejszéj teoryi ciepła, a mianowicie mniemana stałość jego mechanicznego równoważnika, stałość, którą nawet Sechi z niezwykłą stanowczością formułuje. Jeżeli bowiem każda siła zamienia się więcéj niż na jednę inną, ilość ich stosunkowa zależy od warunków materyalnych, to w takim razie nigdy taż sama ilość ruchu, nie wydaje ściśle téj saméj ilości ciepła i odwrotnie. Trzebaby dopiéro warunków *bezwzględnie identycznych*, ażeby ten skutek osiągnąć. To téż równoważnik mechaniczny ciepła (424 lub 425) jest ilością stałą tylko w teoryi, w rzeczywistości nigdy nim być nie może. Pokazuje się to najlepiéj przy zamianie

odwrotnéj. Dana ilość jednostek ciepła, która powstała z danéj ilości jednostek ruchu, nie daje się nigdy zamienić na takąż samą ilość ruchu. A to z téj mianowicie przyczyny, że łatwiéj jest utrudnić warunki przejawu ruchu, aniżeli przejawu ciepła. Żaden opór złego przewodnictwa nie jest dostatecznym do powstrzymania promienistego ciepła, podczas kiedy prosta zapora mechaniczna (patyk wstawiony między tryby) może powstrzymać udzielanie się ruchu.

Prawo wielokrotności zamiany stwierdza się na każdym kroku.

Siła chemiczna prochu przy wystrzale zamienia się nietylko na siłę rzutu, ale także na ciepło i dźwięk. Reakcya chemiczna w elemencie galwanicznym wywiązuje nietylko elektryczność, lecz i ciepło zarazem. W organizmie wywiązuje wszystkie inne siły, po kilka współcześnie. Prąd indukcyjny puszczony po nerwach wytwarza i ciepło i ruch mięśni i zmiany chemiczne i prąd nerwowy czuciowy. Uczucia przyjemne ożywiają krążenie krwi i ruchy mięśniowe i przemianę materyi i wytwarzanie ciepła. Jednóm słowem, jest to prawo równie ogólne jak poprzednie, a wynika ono z téj naturalnéj rozmaitości warunków w każdéj cząstce materyi, któréj człowiek zmienić nie może.

Im więcéj warunki są złożone, tém widoczniejsze prawo wielokrotności. W organizmach więc, gdzie, jak widzieliśmy, każdy proces fizyczny jest niejako podszyty chemicznym, występuje ono najjawniéj. Jest ono zaś z tego względu ważném, że przyjmowane dziś prawo *równoważności* sprowadza do właściwych granic teoretycznych, w praktyce przyznając mu znaczenie nie pojedynczéj zamiany siły A, na siłę B, lecz siły A na rownoważną zbiorowo ilość sił: B, C i t. d.

Prawo piąte, które tu sformułować zamierzam, ma nadto znaczenie wskazówki metodycznéj w badaniach. Opiewa ono, że:

*Jeżeli siła A może się przeobrazić na siłę B, to i odwrotnie siła B może być zamieniona na siłę A.*

A więc:

Jeżeli praca mechaniczna może wywołać ciepło, to i ciepło może wywołać pracę mechaniczną.

Jeżeli działanie chemiczne może wytworzyć światło, to i światło może wytworzyć działanie chemiczne.

Jeżeli za pomocą prądów elektrycznych można wytworzyć magnetyzm, to i magnetyzm może wytworzyć prądy elektryczne.

Jeżeli mowa może wywołać prądy indukcyjne, to i prądy indukcyjne mogą wywołać mowę (w telefonie).

Jeżeli praca mięśni wytwarza prądy nerwowe, to i prądy nerwowe mogą wywołać pracę mięśni.

Jeżeli wrażenia zmysłowe wywołują wyobrażenia, to i wyobrażenia mogą wywołać wrażenia (halucynacye).

*Prawo odwrotności*, jako powszechne, stosuje się nietylko do spostrzeżeń dodatnich, lecz i do ujemnych także:

Jeżeli ciepło i światło nie wywołują bezpośrednio magnetyzmu, to i magnetyzm nie wywołuje bezpośrednio ani ciepła, ani światła.

Jeżeli dźwięk nie wywołuje bezpośrednio światła, to i światło nie może się zamienić na dźwięk.

Lecz prawo odwrotności może określać i bardziej szczegółowe zjawiska np.

Cząstki niektórych ciał układają się w kryształy, pod wpływem elektryczności.

Elektryczność wywiązuje się w niektórych ciałach pod wpływem ruchów krystalizacyjnych.

Łatwo zauważyć jak wielkie znaczenie dla badacza będzie miało uznanie takiego prawa przy poszukiwaniach naukowych. Jeżeli mianowicie odkrytą zostanie zamiana, a choćby tylko wpływ siły A na B w pewnych warunkach, to tém samém możemy z góry przewidywać, że i odwrotna przemiana i odwrotny wpływ także jest możliwym, i trzeba będzie tylko zająć się urzeczywistnieniem go doświadczalném.

Ponieważ dotychczas prawo to nie było sformułowane i uznane, więc też pomiędzy odkryciem związku prostego a odkryciem związku odwrotnego upływały nieraz całe szeregi lat ze szkodą dla postępu.

Tak np. fakt, że mowa ludzka może wywolywać skutki mechaniczne, znany był od dawna, nawet przed wynalezieniem *fonautografu*; a tym czasem zamianę odwrotną, znaków mechanicznych na mowę uważano za całkiem niemożliwą, dopóki jéj Edison swoim *fonografem* nie stwierdził.

Podobnież w r. 1875 wykrył Kerr, że szkło pod wpływem elektryczności zmienia swoje przewodnictwo dla światła, a dopiéro przed dwoma laty Siemens stwierdził, że, odwrotnie, światło w blaszce krystalicznego *selenu* zmienia przewodnictwo elektryczności.

W ten sam sposób odkrycie Crookesa, że światło może wywoływać ruch mechaniczny, uzupełnia się odkryciem Radziszewskiego, że w podobnych warunkach to jest w środku rozrzedzonym i przy współudziale słabego ciepła wstrząsanie mechaniczne gazów może wywoływać światło.

Nie waham się powyższego prawa rozciągnąć i do organizmów, ponieważ nie znajduję sprzecznych z niém faktów; jakkolwiek wykazanie związków staje się tutaj trudniejszém.

Tak np. zbyt silne elektryzowanie pacyenta może wywołać w nim uczucie strachu, lub gniewu. Czyżby ze swéj strony strach lub gniew mogły wywoływać elektryczność?

Niewątpliwie. Dość wspomnićć objawy stroszenia się włosów, pod wpływem strachu lub gniewu i wstrząśnienia udzielane przez ryby elektryczne, przestraszone lub rozgniewane.

W ogóle więc, znając jeden rodzaj zamiany, możemy się domyślać drugiego.

Prawo *trwałości*, prawo *zużycia*, prawo *warunków*, prawo *zamiany wielorakiéj* i prawo *odwrotności*, razem wzięte, dają nam pojęcie o zachowaniu się sił w przyrodzie w zarysach ogólnych, wspólnych *wszystkim* siłom.

Prawa szczegółowe określają własności specyalnie każdéj z nich, ale tych już tutaj dotykać nie będziemy. Dla naszego celu wystarcza stwierdzenie faktu, że istnieją prawa wspólne dla wszystkich i że te prawa są zasadnicze. Fakt ten bowiem wskazuje, że *jedność* sił nie jest czczym dezideratem. Hipoteza wszechruchu i wszechjedności pozostanie wprawdzie hipotezą tylko, dopóki nie zdołamy wykryć i obliczyć istotnéj natury ruchu stanowiącego odrębne siły; ale daje nam ono tak proste i wolne od wszelkich mistycznych założeń objaśnienie związków między siłami, że nie należałoby się wahać, w przyznaniu jéj pierwszeństwa przed innemi.

W ten sposób pojęta fizyka świata sprowadza się do *mechaniki* prostéj w zasadzie, zawiłéj tylko w zastosowaniu, ale stającéj się jaśniejszą i zrozumialszą z każdym dniem badań doświadczalnych.

## VI.

## Wnioski.

1. Ruch jest niezniszczalny.

2. Żadne ciało nie może samo przez się zmienić swego stanu: ani poruszyć się gdy jest w spoczynku, ani zatrzymać się gdy jest w ruchu.

3. Żadne ciało nie może w drugiém wywołać ruchu, jeśli go samo nie posiada.

4. Żadne ciało nie może drugiemu udzielić swego ruchu inaczéj, jak za pomocą bezpośrednich lub pośrednich uderzeń.

5. Wszystkie ciała możnością ruchu obdarzone poruszają się zawsze w stronę najmniejszego oporu.

6. Za pomocą teoryi atomów prostych, nie da się objaśnić powstanie wszechświata.

7. Atomy rzeczywiste są to minimalne masy, złożone, chociaż *de facto* nierozdzielne.

8. Też same prawa mechaniczne rządzą ruchami mas, drobin i atomów.

9. Tajemnicą wszelkich zmian we wszechświecie jest wzajemna zamiana ruchu mas na ruch cząstek.

10. Siła przyciągania powszechnego nie istnieje.

11. Przyciąganie powszechne nie jest przyczyną, lecz skutkiem ruchu ciał i ruchów eteru.

12. Dzisiejsze pojęcie bezwładności materyi w oporze jest błędne, ponieważ ciało pozbawione ruchu i otoczone próżnią nie może stawiać żadnego oporu.

13. Dwa ciała lub dwa atomy, rozdzielone próżnią, nie wywierają na siebie żadnego działania.

14. Objawy przyciągania powstają zawsze w skutek rozrzedzenia, objawy odpychania zaś w skutek zgęszczenia środka wypełniającego przestrzeń między ciałami, lub między cząstkami danego ciała.

15. Zarówno pojęcie nieważkiego eteru jak i ważkiéj materyi są błędne.

16. Eter jest tylko pierwotnym, atomowym stanem zwykłéj materyi.

Cząstki eteru nie posiadają własności odpychających, ani cząstki materyi—przyciągających, lecz jedne i drugie obdarzone są ruchem; różnica leży tylko w stopniu możności ruchu składników, która jest bardzo wielką w składnikach drobin materyi zwykłéj (czyli w atomach) a bardzo małą w składnikach atomów eterowych. Dzisiejsze pierwiastki chemiczne są wynikiem długowiekowéj ewolucyi eteru, zgodnie z ogólnemi prawami postępu od jednorodności do różnorodności.

17. Siły fizyczne nie powstały od razu, lecz stopniowo, i ulegają rozwojowi tak samo jak organizmy.

18. Siły tak zwane wyższe są wynikiem ewolucyj lub kombinacyj niższych.

19. Każdéj sile fizycznéj lub psychicznéj przejawiającéj się w organizmach, towarzyszy równolegle przemiana chemiczna.

20. Żadna siła w przyrodzie nie tworzy się ani nie ginie, lecz rozprasza się lub przeobraża.

21. Wszystkie siły rozprzestrzeniając się wybierają drogi najmniejszego oporu.

22. Każda siła, wykonywając pewną pracę, zużywa się w stosunku do téj pracy.

23. Praca wykonywana przez daną siłę jest zawsze podwójną: wewnętrzną w samém ciele i zewnętrzną w otoczeniu, przyczém pierwsza pozostaje utajoną.

24. Przemiana jednéj siły w drugą następuje zawsze i tylko wtedy, gdy warunki przejawu pierwszéj są utrudnione.

25. Rodzaj przemiany zależy od układu cząstek materyi w któréj się odbywa i od natury ruchu stanowiącego daną siłę.

26. Każda siła przeobrażając się przybiera więcéj niż jednę nową formę i to w stosunku ilościowym, zależnym od warunków materyalnych zmiennych. W skutek czego równoważnik mechaniczny ciepła tylko teoretycznie może być uważany za ilość stałą.

27. Jeżeli siła *A* może się zamienić na siłę *B*, to i siła *B* daje się zamienić na siłę *A*.

28. Każda siła w przyrodzie jest ruchem i każdy ruch jest siłą.

29. Ogólna ilość siły jest stałą. Ruch ciał niebieskich jednego systemu słonecznego może się zużyć, to znaczy rozproszyć i zmienić formę, ale nie ma żadnéj podstawy do twierdzenia, ażeby ogólny ruch wszechświata miał ustać kiedykolwiek.

30. W dzisiejszym rozwoju umysłu ludzkiego, żadna ścisła teorya siły nie może sięgnąć głębiéj po za pojęcie ruchu. *Ostateczna przyczyna* ruchu pozostaje, jak była, niezbadaną.

*Julijan Ochorowicz.*

---

# GLORIA.

## ROMANS B. PEREZA GALDOSA,

**przetłómaczony z oryginału hiszpańskiego.**

*(Ciąg dalszy).*

---

### XIII.

### Fatalna tajemnica.

D. Angel, wbrew zamiarowi swemu, nie wspomniał bratu ani słówkiem o uczuciu Gloryi do Mortona, uprzedził go tylko o zachwianéj wierze córki, która to wiadomość była dla D. Juana wielkim ciosem. Skoro jednak Gloria, pragnąc uspokoić ojca, zapewniła go o swéj poprawie; Lantigua zostawił całą tę sprawę czasowi.

W kilka dni po opisanych wypadkach, kilka osób zebrało się w mieszkaniu D. Juana, a między innemi proboszcz.

Gloria, przywitawszy się z tym ostatnim, rzekła:

— Mam wielki żal do proboszcza.

— Żal do mnie?... a to jaki?...

— Że Kajfasz został z zakrystyi wypędzony. Czy to nie bolesne?...

— Co?... ten hultaj, nicpoń! Zresztą skarżyć się nie powinien, gdyż, jak mi mówiono, jest potentatem.

— A... tak... szepnęła Gloria zmieszana.

— Powiadają, że Mundideo popłacił wszystkie długi, wykupił rzeczy i jest bogaczem.

— Myśmy go tu wprawdzie wsparli trochę, lecz nie tak hojnie! Powtórzył się chyba cud rozmnożenia naszych darów.

— Mnie się zdaje, że tu się nie obeszło bez łotrostwa, rzekł proboszcz. Podejrzany to ptaszek ten Kajfasz.

— Księże proboszczu!... zawołała Gloria z oburzeniem.

— Może się mylę... Ciekawym jednak, zkąd Kajfasz posiada tyle pieniędzy?...

— Dano mu je.

— On tak rozgłasza, to się rozumié. Lecz prawdziwie nie ma wstydu utrzymywać, że Daniel Morton go obdarzył.

— Bo prawda!...

— Nie uwierzę.

— W całéj Fikobrydze mówią tylko o bogactwach Kajfasza, rzekł D. Juan.

— Mojém zdaniem, wtrącił proboszcz, trzeba to sprawdzić. Już sędzia jest zdecydowany zabrać się do téj sprawy.

— Z jakiéj racyi? To niesprawiedliwość, zawołała Gloria z energią. Nie!... na to nie pozwolimy....

— Córka moja w swoim żywiole; to znaczy ma sposobność brania ogniście do serca sprawy błahéj, która ją nie obchodzi.

— Przeciwnie!... pragnę ocalić od hańby, niewinnego.

— A zkąd ty wiesz, że on niewinny?... Zobaczymy. To już do ciebie nie należy.

W czasie ostatnich słów Lantiguy, wszedł do pokoju służący z listem i oddał go swemu panu.

D. Juan otworzył papiér i przebiegłszy go wzrokiem rzekł:

— Od Mortona. Zawiadamia, że jutro opuszcza te strony i przysyła wszystkim pożegnanie.

D. Angel utkwił oczy w Glorii. Dziewica przyjęła tę wiadomość po bohatérsku. Nawet biskup, świadomy tajemnic Gloryi, nie dostrzegł na jéj twarzy najmniejszego objawu wzruszenia.

— Nie widzę potrzeby niepokojenia Kajfasza, ciągnął przerwaną rozmowę D. Juan, dopóki nie będzie dowodów, że piéniądze, które posiada są źle nabyte.

— Dowody się znajdą, wtrącił proboszcz.

— Czy panu z kasy co zginęło?..

— Nie, ale piéniądze nie wychodzą z ziemi jak trawa. Kajfasz zrabował kogoś, to nie ulega wątpliwości.

Pogawędziwszy kilka godzin, goście rozeszli się, zaproszeni przez proboszcza na dzień następny.

Kiedy nazajutrz biskup szedł z wizytą, spostrzegł jeźdzca, który wbrew przepisom pędził przez most galopem.

— Ej! kawalerze, wołał strażnik, proszę wolno jechać.

Jeźdzcem był Daniel Morton. Skoro spostrzegł biskupa, powstrzymał konia i zeskoczył z siodła.

— A! Senior Morton! zawołał biskup osłupiały.

Daniel ucałowawszy pierścień z uszanowaniem, rzekł:

— Jego ekscelencya nie spodziewał się widzieć mię w Fikobrydze?...

— Przyznaję. Wczoraj zawiadamiałeś pan brata o swym wyjeździe.

— Nie podobało się Bogu, żebym dzisiaj udał się w podróż.

— Najłatwiéj na Boga składać winę, rzekł biskup poważnie.

— A jednak wyjazd swój odłożyłem nie z własnéj winy. Już miałem wsiadać na statek, gdy do mnie przybiegł Kajfasz w najrozpaczliwszym stanie ducha.

— Aha, rozumiem.

— Wzdychając ciężko, mówił do mnie: „Panie!... w Fikobrydze mówią, żem rozbójnik, że piéniądze nie są moje. Sędzia mi grozi, a wszyscy pragną, żeby Kajfasz brzydal, Kajfasz nędznik, Kajfasz idyota poszedł w kajdany. Ja klnę się Bogiem, że pan mię wydobył z nędzy, lecz nikt nie wierzy biedakowi.“ Jego ekscelencya tedy przyzna, że wypadało odłożyć podróż, żeby tego poczciwca z ciężkiego zarzutu oswobodzić.

— Myśl zacna i czyn szlachetny, rzekł biskup z powagą. Spiesz się pan i nie trać czasu w Fikobrydze.

Pożegnawszy Mortona grzecznie, lecz sucho, D. Angel poszedł z nowiną na wizytę, a Daniel pospieszył w dalszą drogę i za kilka minut stanął przed chatą Kajfasza.

— Oto mię masz, rzekł Daniel do Mundidea, prowadź mię gdzie chcesz, aby prędko, gdyż wrócić muszę przed wieczorem. Gdzie jest ten sędzia, który nie przypuszcza, żeby ludzie mogli mieć piéniądze bez rabunku?...

— Jeśli pan łaskaw, to pójdziemy do pisarza Barrabasa, i tam się darowizna 18 tysięcy realów urzędownie stwierdzi.

— Prowadź, a szybko.

— O jak ja się wywdzięczę za tyle łaski!...

— Niech Sildo potrzyma konia, dopóki nie wrócę.

W pół godziny Morton już był z powrotem w chacie Kajfasza, lecz jakież było zdziwienie obu, gdy nie znaleźli ani Silda, ani konia.

Chłopiec, trzymając uzdę szlachetnego rumaka, poczuł w sobie nagle kawaleryjską żyłkę. Przeżył już całkowitych lat dwanaście a nie probował ani razu konnéj jazdy. Co za sposobność wyśmienita!...

— Gdybym się tak przejechał choć kilka kroków, mówił do siebie, dopierożby się uśmiały moje siostry.

Próżność owładnęła duszę chłopca, i po chwili koń zniknął z jeźdzcem.

Najskrupulatniejsze poszukiwania Kajfasza i Mortona okazały się bezskuteczne. Chłopak przepadł bez wieści.

Zmordowany szukaniem, Morton postanowił wrócić pieszo. Lecz aby nie przechodzić przez środek Fikobrygi, zwrócił się w stronę kościoła, to jest na drogę o wiele dalszą. Zaledwie uszedł kilka kroków, nagle stanął jak posąg. Ze świątyni wyszła Gloria. Młodzieniec uczuł elektryczne drżenie w całém ciele. W pierwszéj chwili chciał

biegnąć za nią, lecz, stanąwszy, nie miał siły ruszyć się z miejsca. Gloria szła ku domowi.

— Mamże być skazany na to, żeby jéj nie widzieć więcéj, pomyślał Morton.

Szedł za nią w dość znacznéj odległości, zatrzymując się, gdy była blisko, lub przyspieszając kroku, gdy się oddalać zaczynała. Kiedy wreszcie Gloria weszła do ogrodu swego domu, Morton rzekł do siebie:

— Wszystko skończone. Teraz odejdę.

Zanim jednak przyszło do wykonania tego zamiaru, usiadł na kamieniu w uliczce, która jednym końcem wychodziła na placyk, drugim zaś na wzgórki, prowadzące ku morzu, i marzył nieruchomy z pół godziny.

Kropla ciepłego deszczu otrzeźwiła go. Spojrzawszy w niebo przestraszył się ołowianą chmurą, która zapowiadała burzę. Podniósł sie tedy, a przechodząc z uliczki w uliczkę spotkał wielki dach próżny i skrył się pod nim.

Zrobił to w samę porę, bo właśnie rozpoczął się istny potop. Gwałtowność ulewy, pochodzącéj z oberwania się chmury, była straszna. W pół godziny cała Fikobryga stała pod wodą.

Gdy się cokolwiek wyjaśniło Morton pomyślał o wyjściu ze swéj kryjówki, lecz jak to zrobić, kiedy nawet śladu dróg nie ma.

— Czyżby mi sądzono dwa razy być rozbitkiem w Fikobrydze, mówił do siebie.

Nagle usłyszał na placyku i w ogrodzie Lantiguów rozmaite krzyki i wołania, między któremi rozpoznał Morton głos Gloryi.

— Co się to stało? zapytał pierwszego przechodnia na placyku.

— Woda most zerwała i w skutek tego panna Gloria jest przestraszona, bo Senior D. Juan wraz z biskupem zostali odcięci na Soto.

Morton znalazł otwarte drzwi w sztachetach i wszedł. Pierwszą osobą, na któréj spoczął wzrok jego, była Gloria, przebiegająca ogród. Blada jak marmur, z przestrachu i zimna drżała febrycznie.

— Daniel!... zawołała zdumiona, czego tu szukasz?...

Pobiegła szybko do domu, Morton wszedł za nią.

— Jezusie ukrzyżowany, wołała Gloria, czy nie wiesz, czy pan nie wiesz, co się stało? Ulewa most zniszczyła; nie wiem co się dzieje z ojcem i stryjem... Ja tam pobiegnę.

Chciała wyjść.

— Przejście niemożliwe.

— Możliwe, bo oto służąca wraca. Co się z panami stało? spytała Gloria małego chłopca, zmoczonego od stóp do głowy.

— Powrócą jutro rano, gdyż przejście jest dzisiaj niebezpieczne.

— Dzięki Bogu, rzekła Gloria, jestem spokojna,

To mówiąc utkwiła wzrok badawczy w twarzy Mortona. Gdy obawy już znikły, duch Gloryi zajął się zupełnie wizyą złowrogą.

— Bądź zdrowa, rzekł cudzoziemiec. Ponieważ nie mogę się tutaj na nic przydać...

Gloria milczała przez chwilę, zaniepokojona wielce i zmieszana.

— Żegnam, szepnęła. Nie jesteś pan jeszcze w drodze do Anglii?... Czy statek rozbił się po raz drugi? Boże!... pan zawsze spadasz z uraganem!... Po coś tu przyszedł?... Jakim sposobem tu się znalazłeś, Danielu?...

Ciekawość paląca tryskała z jéj oczu wraz z miłością, która w piersiach dziewicy nie wygasła.

— Zrób mi tę łaskę i podaj rękę, rzekł cudzoziemiec.

— Ależ jabym chciała wiedzieć, dla czego jesteś tutaj a nie w podróży. Nie myślałam, że cię już kiedy ujrzę. Czemu wróciłeś?... Zresztą nie mów mi o tém, nie chcę nic wiedzieć.

— Bóg chciał tego, żebym cię ujrzał raz jeszcze. Podaj mi rękę.

— Masz ją... i żegnaj!...

Morton złożył na niéj ognisty pocałunek.

— Więc na prawdę się rozstajemy?...

— Na prawdę, powtórzył Daniel.

— Gdzie jest koń twój? spytała Gloria.

— Straciłem go.

— Straciłeś. A więc...

— Idę pieszo.

— Którędy?... wszak nie ma mostu. To tak daleko, dodało dziewczę, przenikając ogniem swych oczu do głębi duszy przyjaciela.

— Zatrzymam się w mieście.

— To prawda. Bądź zdrów.

Morton stał nieruchomy jak z kamienia.

— Bądź zdrów!... Czy już odchodzisz?... zawołała. O! to okropne!...

I dziewczę załamało ręce niby posąg boleści.

— Tak!... to konieczna... wyrzekła z cicha... To spotkanie jest chyba sprawą piekielną. Odejdź, przyjacielu.

— Wypędzasz mię!...

— Straszna konieczność, lecz Bóg chce tego!...

— Fałsz... kłamstwo!... zawołał Morton gorączkowo. Ty mię nie kochasz, tyś żartowała ze mnie, z biednego cudzoziemca, wyrzuconego tutaj przez bałwany morskie, z rozbitka, który chce uciec i nie może!...

— Już nie jesteś tak dobry i sprawiedliwy jak dawniéj. Jeśli mię szanujesz, jeśli mię kochasz, przyjacielu, odejdź. Błagam cię o to.

Biedna dziewica prawie łkała mówiąc.

— Nie widzieć cię więcéj! Jeśli ucieknę, Bóg mię w te miejsca znów sprowadzi... Nie widzieć cię. Wprzód sobie oczy wydrzéć pozwolę nim ci posłuszny będę.

— Lepiéj pozostać z myślą niż z oczyma. Wszakże oboje mieliśmy zrobić poświęcenie; dla czego sprzeciwiasz się temu?...

— Gdyż Pan Bóg pchnął mię ku tobie i powiedział: „Idź i weź ją, bo jest twoją i będzie zawsze przez wieki wieków.“

— Który jest Bóg twój?...

— Twój, moim Bogiem, jest jeden tylko!...

— Mortonie, przyjacielu mojéj duszy, rzekła namiętnie, błagam cię, odejdź. Oddal się, jeśli chcesz pozostać w mojém sercu.

— Nie chcę, nie chcę, zawołał Morton z taką siłą, że dziewczyna drżała jak listek.

— Jeśli chcesz, żebym cię kochała więcéj niż życie, odejdź.. i zostaw mię w spokoju. Nie wierzysz słowom moim. Tylko nieobecnego, tylko zdaleka mogę cię kochać.

— Fałsz!... fałsz!... fałsz!...

— O jakże małym jesteś, rzekła zrozpaczona dziewica, odwołując się do rozumu. To niegodne ciebie. Nie jesteś moim ideałem!...

— Jestem... jestem... wołał Morton...

— Lękam się ciebie.

— Wolę to, tysiąc razy to wolę!...

— Dla czego nie chcesz pójść odemnie?...

— Jam już uciekał... lecz przeznaczenie, Bóg... potęga jakaś znów mię do twego boku sprowadziła.

— Boże mój Boże, wołała Gloria z rozpaczą.

— Nie wierzę w fatalność!...

— Ja i w szatanów wierzę.

— O na Boga, który stworzył niebo i ziemię, wołał Morton w uniesieniu, Glorio, Glorio mojego życia, pójdź, pójdź ze mną, uciekajmy.

— Jezus! krzyknęła dziewica ze zgrozą.

— Ty nie pojmujesz tajemniczych głosów przeznaczenia, Boga. Niebo, ziemia, wszystko mi mówi: „Ona twoja.“

— Żegnaj... żegnaj, wołała Gloria, uciekając ku domowi.

— Zaczekaj, rzekł Daniel, biegnąc za nią.

Gloria weszła i chciała zamknąć drzwi z sobą, lecz Morton, przeszkodziwszy temu energicznemu poruszeniu ręki, wszedł także.

Dziewica uczuła lodowaty dreszcz w całém ciele; zwolna duch jéj przychodził do normalnego stanu. Kiedy po raz pierwszy zapuściła wzrok w głąb sumienia, strętwiała. Wszystko tam było czarne i straszne. Gdy wspomniała o swéj rodzinie i nazwisku, poczuła się już opuszczoną od Boga i od ludzi.

— Danielu... Danielu... gdzie jesteś?... wołała zakrywając oczy i wyciągając rękę jak o ratunek.

Młodzieniec tulił ją w objęciach.

— Tu, rzekł, przy twém sercu, z którym nie rozstanę się nigdy.

— Co za szaleństwo!... Musisz uciekać!... Lecz przez Boga... nie opuszczaj mię dzisiaj. Ja umrę.

— Dzisiaj, powtórzył z energiją Daniel, nikt, nikt mię nie oderwie od twego boku.

— Mój ojciec... szeptała ona.

— Cóż mię obchodzi...

— Moja religia.

Cudzoziemiec zamilkł, spuszczając głowę na piersi.

— Danielu, Danielu, zawołała dziewczyna pełna trwogi. Co tobie?...

Morton milczał.

— Wymówiłaś straszne słowo, jam zapomniał już o niém, szepnął Morton. Wzburzyłaś krew w moich żyłach i zraniłaś serce, które drgnęło w konwulsyach bólu!...

— Czego się trwożysz? spytała Gloria przerażona. Danielu, kochanku méj duszy, nie powiększaj przepaści, która nas dzieli; lecz usuwajmy ją wspólnie.

— Jak?

— Usiłujmy; zespólmy wiary nasze w jednę; pojednajmy nasze sumienia. Jeśli występni wchodzą w przymierze zbrodni; dla czegóż nie mamy zawrzéć związku prawdy. Rozważ bacznie to, co nas dzieli, a zobaczysz, że różnica między nami nie jest tak wielka.

— W obec tego, który stworzył niebo i ziemię; lecz w obec ludzi... olbrzymia...

— Przez Boga, zawołała Gloria, tonąc we łzach, więc nie ma dla nas miłosierdzia?...

— Małżonko ty moja ubóstwiana, rzekł Morton, tuląc do piersi Glorią, przyszła chwila, w któréj potrzeba nam wyznać całą prawdę.

— Więc nareszcie odkryjesz mi swą tajemnicę, okrutny.

— Jest to konieczne.

— Wszak na zawsze jesteśmy połączeni?...

— Na zawsze!

— Rozłączenie jest niemożliwe?...

— Niemożliwe!... Lecz godzina prawdy już wybiła.

— O Danielu, Danielu, wołała Gloria, czując budzący się w duszy głos religii, przyjacielu ty mój najdroższy, mężu kochany, ukorzmy się przed tym obrazem Chrystusa Pana i zróbmy ślub uroczysty, że téj nocy jeszcze, zrobiwszy na ołtarzu miłości wspólną ofiarę, dopełnimy religijnego pojednania. Wszak jesteśmy oboje dziećmi Chrystusa, zwróćmy ku niemu swe oczy. Danielu, Danielu, nie uciekaj, okrutny, pójdź ze mną.

Gloria, klękając przed obrazem, ciągnęła rękę Mortona, żeby i on także zrobił to samo.

Daniel spuścił głowę na piersi. Nigdy twarz jego nie była tak piękna i tak rzewna. Marmurowa jéj bladość, smutek głęboki pokrywający lazur jego oczu klasyczny, profil nosa i czoła a wreszcie broda ostro zakończona, wszystko to razem składało się na uderzające podobieństwo Mortona do Chrystusa.

— Dla czego nie patrzysz na mnie? spytała Gloria pełna trwogi.

— Już nie mogę, zawołał Morton z gwałtownym ruchem. Glorio, ja nie jestem Chrześcianinem!

— Co ty mówisz? Danielu, na imię Boga!...

— Raz wreszcie dowiedz się prawdy, mówił daléj Morton silnie wzruszony. Ja nie jestem chrześcianinem Glorio... lecz... żydem!...

— Chryste Panie... Odkupicielu świata!...

Gloria wymówiła te wyrazy z przerażeniem i grozą istoty, która otrzymała cios śmiertelny, która spostrzega nagle, że z pod nóg jéj usuwa się ziemia a roztwiera czeluść piekielna. Wyrzuciwszy je z piersi padła bez zmysłów. Morton przybiegł do niéj, porwał ją martwą w objęcia i gorącemi słowy do przytomności wrócić usiłował; lecz kiedy dziewica roztwarła oczy i ujrzała obok siebie charakterystyczną twarz semicką, która królowała dotąd w jéj sercu, ze wstrętem go odepchnęła, mówiąc:

— Zdrajco!... Judaszu... tyś mię oszukał haniebnie!...

— Utaiłem przed tobą swą religią, rzekł Morton ponuro, i to jest moja wina.

— I dla czego ją taiłeś?... zawołała Gloria z pogardą, a oczy jéj rzucały błyskawice.

— Przez egoizm... z obawy o miłość twoję, odparł Daniel bojaźliwie i z pokorą. Ja nie kłamałem, jam tylko milczał: lecz przyznaję, żem ciężko zgrzeszył.

— O hańbo straszna!... Nie!... to chyba kłamstwo, wołała Gloria w mękach rozpaczy. Ty nie możesz wierzyć w tę religią.

— Więcéj, niżli ty w swoję, odparł Morton.

— Kłamstwo... kłamstwo, wołało dziewczę załamując ręce. Gdybyś był żydem, nie byłabym cię pokochała!... Ah! zdaje mi się, że to słowo pali mi język ogniem piekielnym... boć przecież samo imię twojéj religii jest bluźnierstwem... Czy to być może... powiedz... więc ty nie wierzysz w Chrystusa, ty go nie kochasz?... Jeśli to prawda... Cóż odtąd warto moje życie. Wierzyć komuś z bezgraniczną siłą, uwielbiać go, kochać i w chwili, gdy się o wieczném serc zbrataniu marzy rozkosznie, odkryć tak straszną tajemnicę!... Dla czegoś nie wyrył sobie na czole swéj nędznéj wiary?... Dla czego, widząc zbliżenie się moje, nie wyrzekłeś: „precz odemie jam przeklęty od Boga i od ludzi!...“

— W jakąż gorączkę twój fanatyzm cię wtrąca, rzekł Daniel z wyrazem najgłębszego współczucia, potępiaj mnie samego, żem krył przed tobą prawdę, lecz nie znieważaj mych nieszczęśliwych współwyznawców i nie bierz udziału w pozioméj nienawiści, niegodnéj ciebie.

— Jeśli to prawda, coś mi powiedział, dla czego nie miałeś powierzchowności tak nędznéj, jak nędzną jest twoja religija? Dla czego słowa twoje, myśli i czyny nie były tak straszne jak wiara twoja?... Zdrajco... po milion razy zdrajco!...

— Glorio, Glorio, najmilsza moja, powściągnij to uniesienie... Zniewagi twoje mnie krzywdzą.

— Więc dla czego mię zwiodłeś; dla czegoś pozwolił na moję miłość, wiedząc, że w wieczném rozłączeniu żyć musimy, zawołała dziewica z obłąkaniem. Powiedz, dla czegoś pozwolił na moję miłość?...

— Bo cię kochałem. Prawda, żem źle postąpił, ale przyznaję swą winę.

— Po co wróciłeś tutaj?...

Morton milczał, przygnębiony tém pytaniem jak zbrodniarz.

— Człowiek jest igraszką woli Boga, szepnął po chwili.

— Bóg!... Nie wzywaj tego imienia!... Danielu, jak ty się przekształciłeś w moich oczach. Już ty nie jesteś tém, czém byłeś; sama nie wiem, czy cię teraz kocham, czy nienawidzę, a jeśli to być może, to mi się zdaje, że cię jednocześnie i kocham i nienawidzę!...

Zakrywszy twarz rękami, tonęła we łzach.

— I to wszystko dla imienia... dla słowa... co za potworność, zawołał Morton z boleścią. Słowa rządzą światem, nie pojęcia. Powiedz, droga, jeśli mię kochałaś, to dla czego?

— Kochałam cię, bo zdawało mi się, że cię Bóg sam na mojéj postawił drodze; kochałam cię za twoję mowę, za twe czyny, za osobę, za słodką serc naszych harmonią. Zresztą czyż ja wiem dla

czego... Ale nie... ty mię dziś zwiodłeś, ty nie wiesz, nie możesz być żydem, boś wykonywał miłosierdzie.

— Prawo nasze mówi: „Błogosławiony, kto wspomaga biednych. Jehowa oswobodzi go w chwili nieszczęścia.“

— Ty nie możesz być członkiem téj wstrętnéj sekty, mówiła daléj, przyczepiwszy się do swego niedowierzania z resztką nadziei. Żebyś ty mi przysięgał tysiąc razy... po tysiąc razy przeczyć będę i nie uwierzę. Gdybyś nim był, jakiém-że strasznem oszustwem byłby twój postępek...

— Kryłem się, prawda. Jest to zwyczajem naszym, gdy podróżujemy po kraju tak nietolerancyjnym jak Hiszpania. Lecz przed tobą musiałem wyznać prawdę i błagam o przebaczenie winy.

— To się przebaczyć nie da, nie, w żaden sposób, wyrzekła Gloria z siłą.

— Twój mistrz, mówił Morton, naucza cię: „przebaczaj swoim nieprzyjaciołom i kochaj bliźniego jak siebie.“ Czy podobna, żebyś ty podzielała to tradycyjne przeciwko nam uprzedzenie, tę pospolitą nienawiść, przez którą naród chrześciański objawia swoje złe namiętności i ciemnotę. Glorio, na imię tego, który stworzył niebo i ziemię, zaklinam cię nie poniżaj godności swego ducha.

— W Jezusie pojmuję wszystko, po za nim... nic!... nie nazywaj uprzedzeniem wstrętu, którym mię teraz przejmujesz.

— Wstręt do imienia!... Czy przed wyjawieniem jego kochałaś mię!... Powiedz, czy nie jest to żart z twojéj wiary?

— Oh... ja sama nie wiem, co to znaczy!... zawołała Gloria, przygnębiona. Dla czego nawet będąc tym kim jesteś masz urok dla mnie. Niewątpliwie dusza twoja jest zacna i zachowała się czysta w błocie, śród którego na świat przyszedłeś. Krok tylko jeden, ukochany, jeden krok tylko, a zetrzesz z siebie to piętno. Dusza twoja jest już do odkupienia przygotowana; wystarczy jeden ruch lekki, jedno spojrzenie wewnątrz siebie. Danielu, Danielu, dodała ściskając go namiętnie, na miłość, którą masz dla mnie, na to uczucie, które dla ciebie pierś moję wypełniło i które zniknie na zawsze, albo wzrośnie, błagam cię zostań chrześcianinem; Danielu, Danielu, porzuć fałszywą wiarę i wejdź razem ze mną na święte łono religii naszego Odkupiciela Chrystusa.

Morton tulił ją do swych piersi a potém, odsuwając z lekka dziewicę, rzekł głosem cierpkim:

— Ja mam porzucić religią swych ojców!... Nigdy... nigdy!...

Gloria odskoczywszy od Mortona spojrzała nań z taką trwogą, z jaką się patrzy na piekielną wizyą, o tyle straszną o ile piękną, po tyle przerażającą o ile ełną kształtów czarownych.

— Coś ty powiedział?...

— Że ja również mam rodzinę, ojców, nazwisko, sławę i że pozbawieni wspólnéj ojczyzny, wytworzyliśmy ją w naszych ogniskach, w naszym zakonie świętym, w którym przyszliśmy na świat i pomrzemy. Od najdawniejszych dziadów moich, z Korduby pochodzących a tyrańskiém prawem z Hiszpanii wygnanych, aż do dnia dzisiejszego, z tylu pokoleń, z tylu członków stanowiących rodzinę moję, ani jeden nie wyrzekł się dotąd swéj wiary.

— Ani jeden!... zawołała Gloria z rozczarowaniem gorzkiém. I sądzisz, że posiędą Boga?...

— Ci, którzy byli tak zacni jak mój ojciec, posiędą go na wieki wieków, odrzekł Morton z głębokiém przekonaniem. Nie!... nie wypełnicie nami swojego strasznego piekła.

— Zawsze było ono dla mnie tak niepojęte, rzekła Gloria z widoczną trwogą w oczach, ale dzisiaj wyobrażam sobie, że tylko dla mnie istnieje ta czeluść płomieni pełna. Oh! co za straszne zamieszanie w moich myślach! Jeśli dziś nie ma piekła, to Bóg je stworzył dla nas dwojga, Danielu. Ale nie: ja i siebie i ciebie ocalić muszę. Zasłużę na wieczny ogień, jeśli ciebie zbawić nie zdołam. Danielu, Danielu, otwórz swe oczy i pójdź do mnie.

— Pójść tak jak ty chcesz... nie... nie mogę, odparł z ponurą stanowczością Morton.

A więc... mów, jakich słów dla potępienia ciebie użyć trzeba. Jaki jest los mój teraz?... Widzę, że w religii twojéj nie ma sumienia.

— W mojém czytać możesz jak w księdze.

— Nie ma tam szlachetnéj cnoty żalu.

— Jeśli za grzechem idą wstyd i boleść, to ja zawołać mogę: „Panie, złamany i upokorzony jestem w straszny sposób; boleść moja stoi mi nieustannie przed oczyma.“

— Nie ma abnegacyi, nie ma wyznania grzechów.

— Tak, ponieważ ja mówię: „Niesprawiedliwości moje obciążyły głowę moję i jak ciężar straszny zaważyły nademną. I dla tego wyznam zbrodnię swoję i dręczyć się będę grzechem swoim.“

— Mówisz, żebym czytała w twém sumieniu?... rzekła Gloria. Nie, ja w niém nic mogę nic wyczytać. Wszystko tam widzę ciemne jak noc, jak moja hańba, jak owoc ciemności, w którąś mię wtrącił na zawsze. Upokórz się w obec Chrystusa, a co mi powiesz, wierzyć będę.

— Nie w obec tego ukrzyżowanego proroka, w którego nie wierzę, ale w obec ciebie, którą ubóstwiam, upokorzyć się pragnę, rzekł Morton, klękając i całując ręce Gloryi. Niech mię stary ojciec przeklnie i wypędzi z własnego domu, jeśli ci nie odkrywam sumienia

swego takiém, jakie jest w rzeczywistości i jeśli taję przed tobą choć promień prawdy. Ujrzawszy cię... pokochałem. Jam uwierzył natychmiast, że opatrznościowe było rozbicie moje i że Bóg przeznaczył cię dla mnie. Któż odgadnie jego wyroki? Kto w jego księdze czytać umié? Wiara moja w niego jest wielka i silna; widzę go wszędzie, a kiedy przestąpię jego prawo, wydaje mi się surowy, lecz jaśniejszy. Taiłem przed tobą swą religią i postąpiłem egoistycznie, gdyż znając grozę, którą przejmujemy katolików, nie chciałem niszczyć jednym wyrazem szczęścia, w którém tonęła dusza moja. Wiedziałem, że nie mogłabyś mię kochać, znając moję religią... więc milczałem. Skorom postanowił wyjawić tajemnicę, już wtedy było zapóźno; kochałem cię bardzo, szalona miłość całem mojém jestestwem owładnęła. Pomyślałem naówczas o środkach połączenia się z tobą, ale problemat religijny przerażał mię, pozbawiał zmysłów i ogłuszał bardziéj niż grzmoty Sinai, lub wszystkie zemsty Jehowy. Poznałem wreszcie, że rozwiązanie jest niemożliwe. Nasza miłość była straszną sprzecznością między ludźmi a Bogiem: przerażającym absurdem, bezwzględną myślą niepojednania; i pomyślawszy o tém, wbrew sercu i potędze jego uczucia, zgodziłem się na wieczną rozłąkę z mém szczęściem. Pozbawieni innych środków musieliśmy uciec od siebie, jak ucieka dzień od nocy. Dotąd zbrodnia moja jest nie wielka.

— Ale potém...

— Potém... Jam postanowienia swego łamać nie myślał. Z duszą rozdartą postanowiłem opuścić na zawsze tę ziemię, kiedy wypadki, spowodowane dziełem miłosierdzia, drobném i nie znaczącém, zmusiły mię do powrotu. Nie wiem jak się znalazłem w twoim domu; ale nie wierzę w fatalność, i podług mego przekonania nic się nie dzieje bez wyraźnéj woli tego, który dłonią swoją stworzył świat, gwiazdy i dusze. Byłem narzędziem sił tajemniczych. Niewątpliwie Bóg mię posłał, by mię doświadczyć i poznać świątynię mego ducha. Upadłem, zachwiała się prawość moja; upadłem jak upadł Dawid; byłem zbrodniarzem; lecz wszakże ja ciebie kocham... kocham cię i to mię uniewinnia w oczach Boga, a więc uniewinnić powinna i wobec ciebie. Miłość była odemnie silniejsza... Wyznaję swoję zbrodnię... Nie protestuję. Lecz o ileż ta zbrodnia wydałaby ci się mniejszą, gdybyś patrzyła na nią nie przez pryzmat nienawiści dla méj religii.

— O nie łącz z tém imienia Boga, nie łącz.

— Ja mówię: „Sprawiedliwość twoja, jako góry; sądy twoje, przepaść niezgłębiona, o Jehowo...“ Ten zatarg najwyższy jest dziełem Boga. Miłość najognistsza, która rozpłomienia nam serca, jest jego dziełem. Przeklinajmy... lecz kogo przeklinać mamy? Boga?

niepodobna; naszę miłość, mniéj jeszcze. *Złorzeczmy* wiekom, które tego dzieła potwornego są sprawcą.

— Przeklinaj rasę twoję, która zamordowawszy Chrystusa uniemożebniła swe odkupienie, rzekła Gloria z uniesieniem. Nie wierzę w twoje wyznanie, gdyż dusza twoja jest w ciemnościach. Uciekaj z miejsc tych i nie waż się mnie dotykać. Ta sama miłość, którą mam dla ciebie i któréj nie mogę wydrzéć z serca, wstręt mój powiększa.

— O Glorio, Glorio, zawołał pełen boleści Hebrajczyk; nie bądź niższą odemnie; gdyż ja, nienawidzę katolicyzmu, ciebie ubóstwiam i umiem wstrętną dla mnie wiarę twoję odróżnić od ciebie saméj, którą przekładam nad wszystkie rzeczy ziemskie. Ty jesteś wybranką z pośród aniołów światła, dumny jestem, że cię uwielbiać mogę i gdybyś została moją małżonką, wtedy żadna kobiéta w świecie nie byłaby więcéj czczona i kochana.

— Ja twą małżonką... żoną twoją, ja!... co ty mówisz, jęczała Gloria. Boże wszechmocny!... przedtém jam śniła, że to możebne!... Mogłażem przypuszczać cios taki straszny! Niestety!... Bóg mię opuścił na zawsze!...

— Jeśli twój cię opuścił, rzecze Morton, biegnąc ku niéj, to mój cię przyjmie. „Twoje sądy, Jehowo, to przepaść niezgłębiona!“

— Puść mię, wołała Gloria, precz ztąd. Nie dotykaj mię.

Lecz pomimo oporu, Morton porwał ją w objęcia. Drżąca i zbolała Gloria, wysunąwszy się z jego ramion, objęła rozpaczliwie jego nogi i wołała z okrzykiem strasznego bólu.

— Danielu, Danielu, patrz, jam uklękła przed tobą; patrz, jam zhańbiona, stracona dla Boga i dla świata. Na miłość, którą mam dla ciebie, na cześć, którą straciłam, przez wzgląd na Boga i poczucie dobra, które jest w twojéj duszy, błagam cię wydobądź mię z tego piekła. Zostań chrześcianinem; oczyść swą duszę a z nią razem i mą niesławę. Zrobiłeś straszną ruinę; napraw ją. Może taka była wola nieba. Grzech wielki wielu śmiertelnym otworzył oczy. Nawróć się, jeśli mię kochasz; bądź chrześcianinem i ubóstwiaj krzyż ten, który cię powiedzie do zbawienia.

— Zróbmy umowę, rzekł Morton, podnosząc ją z ziemi.

— Jaką?...

— Pójdź zemną.

— Ja?... dokąd?...

— Do mego domu.

— O ty zmysły straciłeś!...

— Pójdź ze mną!...

— A więc dobrze, zawołała Gloria z entuzyazmem. Ochrzcij się, uwierz w Chrystusa a pójdę z tobą, pójdę z tobą, opuszczając wszy-

stko, bez względu na wolę méj rodziny; pójdę z tobą, przyjmując swoję hańbę. Możnaż zrobić większą ofiarę. Oddanie królestwu Chrystusa jednej duszy, warto ofiary.

— Moja umowa jest inna, mówił Morton z niecierpliwością gorączkową. Każde z nas starać się będzie nawrócić drogą sobie istotę na własną wiarę. Jeśli ty zwyciężysz, zostanę katolikiem; jeśli ja zwyciężę, będziesz żydówką.

Gloria odwróciła od niego twarz ze zgrozą.

— To być nie może, zawołała, myśl wyrzeczenia się katolicyzmu wydaje mi się straszniejszą niż myśl wiecznego potępienia.

— I ja téż chrześcianinem być nie mogę; nie, nie mogę!...

— Danielu, szepnęła Gloria, omdlewając z boleści; dla czego mię nie zabijesz?... poszukaj broni.

— Glorio, życie ty moje, dla czego ty mię nie zabijesz?... Ja to umrzéć powinienem, nie ty; jam przecież popełnił zbrodnię.

— Nadeszła sposobność śmierci.

— Bóg nas opuścił.

— Nie ma już wyjścia.

— Nie ma wyjścia... na ziemi, zawołał ponuro Daniel.

— Ani w niebie, dodała Gloria z rozpaczą, opuszczając bezwładnie ramiona i zamykając oczy, gdy się już wszystkie siły jéj ducha wyczerpały.

Upadła na kolana i oparłszy czoło o krawędź łóżka, odmawiała cichą modlitwę. Morton, siedząc na krześle, ściskał rękami rozpaloną głowę, jak gdyby pod wpływem strasznych myśli pęknąć miała.

Nagle oboje zadrżeli i w trwodze spotkały się ich spojrzenia; w sąsiednim pokoju dały się słyszéć kroki.

## XII.

## Nowy piorun.

Mówiliśmy, że znane nam kółko sąsiadów fikobryjskich zostało zaproszone przez D. Silwestra do improwizowanéj jego willi, za rzeką położonéj. Kiedy gospodarz pokazywał gościom z dumą pyszne owoce swego ogrodu. D. Juan Amarillo, bankier fikobryjski, rzucił się jak ptak drapieżny na Seniora de Lantigua, biorąc go na stronę dla pomówienia w ważnéj kwestyi.

— Oddawna chciałem pomówić z panem, rzekł, lecz nie było po temu stosownéj pory.

— Cóż takiego, spytał D. Juan, cokolwiek zaniepokojony tajemniczym tonem Amarilla.

— Bardzo ważna sprawa. Jaką wyrobił pan sobie opinią o mnie pod względem prawdomówności.

— Bardzo korzystną.

— Czy sądzisz pan, że jestem zdolny do kłamstwa?...

— Nie, Seniorze, tak nie myślę.

— A więc posłuchaj pan przestrogi człowieka, który się interesuje honorem pańskiego domu.

— Honorem mojego domu?!... zawołał D. Juan rozgniewany, co pan chcesz przez to powiedzieć?...

— Tylko oczy męża nie są ślepe; są zaś niemi oczy rodziców dobrych i ufających.

— Nie rozumiem...

— A więc zakończę krótko. Powinieneś pan czuwać, bardzo czuwać nad swoją córką.

— Nad Glorią, ryknął D. Juan dzikim głosem.

— Nad panną Glorią, potwierdził Amarillo. Ona jest dobra, nie wątpię; ale jest w wieku namiętności... Nie ma w tém nic nagannego, jeśli dziewczyny mają narzeczonych, lecz niechże wybierają katolików.

— Co znaczy ta farsa, spytał D. Juan.

— Czy pan sądzi, że mógłbym w ten sposób dręczyć przyjaciela bez przyczyny? Jestem bardzo pewny tego co mówię. Gloria miała schadzki z Mortonem.

— Gdzie?... kiedy?... pytał Lantigua, czując uderzenie młota na swéj głowie.

— W lasku... przed kilku dniami... Uprzedziła mię o tém moja żona, a ja sam następnie fakt sprawdziłem swemi oczyma. Ponieważ mówiono, że Morton odjeżdża, milczałem; gdym usłyszał jednak przed chwilą, że Jego ekscelencya biskup spotkał go dzisiaj w Fikobrydze, zatrwożyłem się wielce i postanowiłem nieodwołalnie uprzedzić pana o wszystkiém.

— Przysięgam... zawołał D. Juan, zgrzytając zębami, jeśli to nie prawda co mi pan mówisz... Kto go widział, kto?...

— Moja żona i inne osoby w mieście.

Po pierwszéj chwili przerażenia, które się chwiało między niedowierzaniem a trwogą, Lantigua wpadł w dziwną martwotę ducha. Czuł w sercu piekielną boleść i nie mógł mówić ani słowa. Zdawało mu się, że przed nim znikły nagle wszystkie iluzye życia i że pozostał jak Job biblijny, kiedy mu o wszystkich klęskach jego zwiastowano. Pozostawszy czas jakiś w tym stanie i przeszedłszy przez wszystkie fazy swéj boleści, rzekł w końcu sam do siebie:

— To kłamstwo... kłamstwo...

— Zrobimy dobrze, rzekł Amarillo, jeśli wrócimy do domu zaraz, gdyż deszcz padać zaczyna.

— To przejdzie prędko, odpowiedział ojciec Glorii, patrząc w niebo.

— Mnie się zdaje, zauważył probosz, że będziemy mieli drugą edycyą owego dnia sławnego, w którym ocaliliśmy rozbitków z *Plantageneta*.

— Pójdźmy! rzekł nagle D. Juan, zdradzając wielką niecierpliwość.

— W czasie deszczu?... Cóż za potrzeba D. Juanie?...

— Ja już odchodzę.

— Jak chcesz, rzekł biskup.

W tój chwili przyniesiono wiadomość, że most zerwany.

— Skaranie Boże, mruknął D. Juan. Otóż to inżynierowie nasi... Otóż to rząd nasz!... Za pieniądze, które już ta rzeka pochłonęła, możnaby mieć oddawna most kamienny.

— Nie ma innego lekarstwa jak być cierpliwym, rzekł biskup spokojnie.

— Nie ma innego lekarstwa jak pójść pieszo, mruknął D. Juan.

— Czyś oszalał?... Dokąd idziesz, zawołał D. Angel, zatrzymując brata.

D. Silwester wysłał służącego dla sprawdzenia drogi i ten powrócił wkrótce zapewniając, że przy ostrożności można się do Fikobrygi dostać pieszo.

— Tchórzami jesteśmy. Zawołał Lantigua, idąc ku drzwiom.

— Ależ panie, zawołał proboszcz, wstrzymując D. Juana, możemy tu przenocować wszyscy; łóżka są wygodne.

Po długich prośbach D. Juan dał sie wreszcie nakłonić do pozostania i w skutek tego posłał, jak nam wiadomo służącego, żeby o tém Glorią uprzedził.

— Panienka Gloria była bardzo stworzona; lecz po mojém przybyciu zupełnie się uspokoiła, rzekł po powrocie sługa.

— Kto tam był, spytał D. Juan niespokojnie.

— Roque, Amaucio, Rubio, German...

— I nikt więcéj?...

— I Senior Morton.

D. Juan zsiniał.

— Czy ty nie chory? rzekł biskup z trwogą.

— Mam pewną wiadomość, rzekł jeden z przyjaciół proboszcza, przybyłych z sąsiedztwa, że Morton, o którym mówicie, jest żydem.

Okrzyk zdziwienia i trwogi rozległ się po sali.

— Czy to prawda? spytał Lantigua, ciskając oczyma pioruny.

— Najzupełniejsza. Daniel Morton jest synem bardzo bogatego izraelity z Hamburga, rabina sekty, albo jak mybyśmy powiedzieli najwyższego kapłana czyli papieża żydów.

— Mnie się zdaje, że obecność jego w Fikobrydze cierpiana być nie powinna, rzekł Amarillo.

— Nie powinna, potwierdziło kilku z obecnych.

W końcu rzekł biskup.

— Dopóki bezbożnik istnieje, istnieć też będzie nadzieja sprowadzenia go na dobrą drogę. Bóg nie objawia nikomu ścieżek sprawiedliwości swojéj. Św. Augustyn uczy nas, przyjaciele moi, że dla tego bezbożnik jest na ziemi, *ut corrigatur, ut per illum bonum exerecatur.*

D. Juan podniósł się, mówiąc z energią.

— Ja odchodzę!...

Wypowiedział te wyrazy z taką siłą, że nikt z obecnych nie miał odwagi protestować. Owszem, biskup, przejmując się niespokojnością brata, dodał.

— I ja idę razem z tobą.

— Pójdziemy przez Willamochodę, rzekł D. Juan.

— Co za śmiałość, zauważył D. Silwester do młodzieńca del Horro. Taki jest ten D. Juan, gdy się co uczepi jego głowy.

Mówiliśmy, że Gloria i Daniel, usłyszawszy kroki zadrżeli. Ani on, ani ona nie ośmielili się zrobić kroku. Ani on, ani ona nie mogli wymówić jednego słowa. Wstrzymali oddech. Oboje pragnęli być naówczas powietrzem niewidzialném, nieujętém.

Nagle drzwi się otwarły i w progu stanął Don Juan de Lantigua. Gloria wyrzuciła z piersi krzyk straszny. Kiedy się rozlegną trąby sądu ostatniego i śród ognistych obłoków zabłyśnie ten, który czyny żywych i umarłych ma zważyć, trwoga nie będzie większa.

D. Juan z podniesiona ręką zbliżał się ku swojéj córce; lecz jak gdyby pod stopami jego gruntu zabrakło, upadł gwałtownie na ziemię, oddając Bogu jęk... ostatni. Czcigodna, siwa głowa starca odbiła się głucho od podłogi.

D. Angel, który szedł za bratem, Sedenio, Gloria, rzucili się razem ku ciału nieszczęśliwego ojca, lecz usiłowania ich były daremne; Lantigua już przestał cierpiéć... na zawsze.

Kiedy zgromadzona służba podnosiła martwe ciało Don Juana, biskup, odepchnąwszy Mortona silną ręką, rzekł:

— Bogobójco, precz ztąd!...

Pierwszy raz w życiu na szlachetną twarz biskupa wystąpiła trupia bladość gniewu.

Hebrajczyk wyszedł, chwiejąc się jak widmo.

Gloria zdawała się być bezprzytomna. Ogrom rozpaczy zamienił ją w marmurowy posąg boleści. Na wszystkie usiłowania, czynione w celu powrócenia życia D. Juanowi, patrzała szklannemi, osłupiałemi oczyma, i gdy wreszcie D. Angel, zbliżywszy się do niéj, wypowiedział ze straszém łkaniem dziecka:

— Twój ojciec już nie żyje.

Gloria z przeszywającym jękiem padła na ziemię bez zmysłów.

## XIII.

## Serafina i D. Bonawentura de Lantigua.

W kilka miesięcy po opowiedzianych w poprzednim rozdziale wypadkach, osamotniony dom Lantiguów ożywił się nieco przybyciem dwu nieznanych nam jeszcze osób z téj rodziny.

— Bonawentura i Serafina — mówiła pewnego dnia do swych przyjaciół żona Amarilla, przybyli do Ficobrygi z powodów wszystkim wiadomych, lecz bynajmniéj nie dla uregulowania spraw testamentowych Don Juana, jak to niektórzy przyjazd ów upozorować pragną. Jakkolwiek ten nieszczęśliwy obywatel umarł nagle, zostawił jednak wszystkie swoje interesy i papiéry w dobrym porządku... Naturalnie trzeba było ludziom coś powiedzieć dla ukrycia prawdy... Ach, ta prawda! Błogosławieni, którzy jak ja naprzykład nigdy się jéj w życiu nie sprzeniewierzają... a jednak prawdą jest, że......

To mówiąc, szanowna małżonka Amarilla szeptała do uszu swych przyjaciółek tajemnicze jakieś wyrazy.

W samej rzeczy, Don Bonawentura i jego siostra przybyli do Fikobrygi nie ze względu na testament Don Juana...

Serafinita trzymała pod względem wieku średnie miejsce w rodzinie Lantiguów. Biskup był najstarszy a Bonawentura najmłodszy. Ten ostatni był szczęśliwym małżonkiem i najszczęśliwszym ojcem bardzo licznego potomstwa, gdy przeciwnie, siostra jego była wdową i nigdy nie miała dzieci. Zacna ta osoba do tego stopnia była podobną do Don Angela, iż zdawało się patrzącym na nią, że to jest biskup przebrany. O małżeństwie téj kobiéty to samo można powiedzieć, co o chrześciańskiém piekle, to jest, że było zespoleniem wszystkich nieszczęść, bez odrobiny czegoś dobrego. Człowiek, któremu oddała rękę, jednoczył w swojéj osobie wszystkie możliwe występki: był rozpustnikiem, marnotrawcą, okrutnym, fałszywym i szulerem. Biedna Serafinita z rezygnacyą znosiła najgorsze obchodzenie się męża: niewierność, brutalstwa, zniewagi i przykrości, do których nie była przyzwyczajona. Pewnego dnia, barbarzyński małżo-

nek wypoliczkował ją publicznie, innym razem, nieszczęliwą kobiétę po tyrańsku targał za włosy.

Nadeszła wreszcie chwila kary i Pan Bóg dotknął nędznika wstrętną chorobą. Spoliczkowana małżonka, mając sposobność odwzajemnienia się mężowi za doznane krzywdy, postanowiła zemścić się na nim ewangelicznie; znieważała go więc pieszczotami, policzkowała troskliwością i wbiła na krzyż najłagodniejszéj opieki i czułości. Mówią, że nędznik umarł nawrócony.

Zostawszy wdową, Serafinita postanowiła świat opuścić i wyłącznie poświęcić się Bogu w ciszy klasztornéj, ale śmierć Don Juana, z towarzyszącemi jéj strasznemi okolicznościami, stanęła pobożnemu zamiarowi na przeszkodzie i przeniosła wdowę od drzwi klasztoru do Fikobrygi.

Don Bonawentura był pod względem fizycznym najmniéj podobny do rodzeństwa, ale zacnością charakteru nie ustępował swym braciom; miał on powierzchowność mniéj powabną niż Don Juan i Don Angel, ale za to był szczęśliwszy. Poświęciwszy się interesom bankowym, umiał zdobyć znaczną fortunę i powszechny szacunek ludzi. Nie wypowiedział on wojny współczesnéj generacyi, jak brat starszy, a posiadał oprócz tego charakter szczerszy, humor więcéj tolerancyjny, sumienie mniéj surowe a umysł cokolwiek elastyczniejszy.

Śmierć Don Juana, którego kochał bałwochwalczo, była dlań ciosem strasznym i spowodowała wyjazd jego do Fikobrygi. Widziano go, jak się przechadzał samotnie po wybrzeżu morskiém, lub jak godziny całe spędzał na cmentarzu, z oczyma w mogiłę brata utkwionemi. Innym razem, błąkał się sam jeden po samotnych komnatach domu, z głową na piersi zwieszoną, unikając wszelkiego towarzystwa. Chwilami wznosił wzrok ku niebu, jak gdyby je o coś zapytywał i potém szybko przenosił go w ziemię, nie otrzymawszy zapewne odpowiedzi.

Pewnego dnia, powracając z jakiéjś wycieczki, spostrzegł siostrę siedzącą na ławce w ogrodzie i zbliżył się do niéj z zapytaniem:

— Czy i dziś wyjść nie chciała?

— Nie, odparła Serafinita, nie podnosząc wzroku od robótki. Nieszczęśliwa!... trudno zgadnąć jak ona żyje i podziwiać trzeba, że nie umarła ze smutku, boleści i wstydu.

— Nie umiera się tak łatwo, zauważył Bonawentura.

— Życie jest wprawdzie obowiązkiem naszym, mówiła daléj Serafina, ale dla wielu obowiązek ten jest ciężki, bardzo ciężki. Ja pojmuję boleść téj nieszczęśliwéj córki naszego brata; biedny kwiatek podcięty barbarzyńską ręką w samym rozkwicie... Śmiało powie-

dzieć można, że jest to jedyny upadek w swoim rodzaju, na takie nieszczęście świat już lekarstwa dać nie może.

— Na wszystko jest lekarstwo, rzekł Bonawentura, biorąc żelazne krzesło i siadając naprzeciwko siostry.

— Bonusiu, odparła Serafina, podnosząc oczy od roboty, przypomnij sobie co nam powiedział nasz święty braciszek, wyjeżdżając w Styczniu do Rzymu.

— Pamiętam o tém dobrze.

— Powiedział do nas w ten sposób: „Kochane dzieci, co się tyczy Glorii, działajcie w tym względzie zgodnie z ideami naszego Don Juana, który jest w niebie. Tak róbcie, jakby on zrobił, przeżywszy straszną katastrofę; niech nam pamięć jego będzie natchnieniem; bądźmy wiernymi spadkobiercami jego postępowania, jeśli już nie możemy odziedziczyć po nim, jego potężnéj inteligencyi.

— Tak mówił, w saméj rzeczy, potwierdził Bonawentura. To też sądzę, że wtedy tylko postąpimy zgodnie z myślą biednego Juana, jeśli podług sumienia naszego działać będziemy. Wszak on by zrobił to samo.

— Sumienie, zawołała Serafinita, poruszając głową. Mnie się zdaje, że w tym strasznym wypadku należy nam jedynie przyjąć z pokorą cios Najwyższego, oblewając łzami naszę hańbę i zrobić wszystko, co będzie można, aby to, co powinno zostać w tajemnicy, nie wyszło na jaw.

— Wszyscy o tém wiedzieć będą.

— Nie, odparła żywo Serafina, z pewną dumą. Jest coś o czém nikt wiedzieć nie będzie, przynajmniéj teraz. Dzięki roztropności mojéj i dyskrecyi, nie dotkną tego zjadliwe języki Fikobrygi.

— Bardzo wątpię.

— Niech i tak będzie. Jeśli Bogu podoba się wstyd nasz powiększyć, tak być musi. Jestem na wszystko przygotowana i niczém już się nie trwożę. Wszechmocny chciał nas doświadczyć, niech więc błogosławioną będzie Jego ręka.

— Niech będzie błogosławioną, powtórzył Bonawentura.

— Nie, ty nie możesz tego mówić, odparła żywo Serafina. Ty nie możesz błogosławić ręki, która nas zraniła, bo chcesz się przeciwko niéj buntować; bo pragniesz tworzyć subtelne kombinacye, z których i dla sumienia i dla chrześciańskiéj wiary nie może wyniknąć nic dobrego. Powiedz mi, proszę, otwarcie, do czego dążysz?...

— Do czego dążyć musi każda zacna rodzina dotknięta podobną klęską, jakiéj my dziś doświadczamy, odparł z flegmatycznym spokojem Bonawentura.

— Gdyby ten wypadek był podobny do wielu innych, jakie się codziennie w społeczeństwie naszém powtarzają, bardzo dobrze, mówiła Serafina, z całą wiarą w siłę swych argumentów; ale wiesz o tém, że od początku świata nic podobnego nie stało się, przynajmniéj w naszym kraju.

Sądzićby można, iż Pan Bóg rozmyślnie zesłał tę straszną klęskę, ażeby dać Hiszpanom miarę nieszczęść, jakie ich w przyszłości oczekują.

— Siostro, rzekł Bonawentura, przerywając, mimowoli powiedziałaś rzecz mądrą.

— Nie żartuj, odparła Serafina, napróżno usiłując nawlec igłę, a właśnie chcę powiedzieć, że gdyby wypadek opłakiwany przez nas był podobny do innych.......... A! okropny jest widok dziewczyn upadających dzięki chwilowéj słabości, lub czczéj iluzyi... ależ prawo, religia i miłosierdzie rodzicielskie znajdują odpowiednie środki do działania w takich wypadkach...

— I dla czegóż nie moglibyśmy tak samo działać w obecnéj chwili?..

Serafina patrzała na swego brata ze zdumieniem, upuściwszy robotę na kolana.

— Tyś szalony, zawołała. Jeśli chcesz, przykładaj swą rękę do tego dzieła, poprawiaj sprawy Boga i tylu wieków.

— Ależ siostro kochana, ja nie pragnę poprawiać spraw Boskich, ani zmieniać porządku świata, odparł powolnie Lantigua, oceniam straszną siłę twych argumentów, lecz sądzę zarazem, że i roztropniéj będzie i bardziéj po chrześciańsku, jeśli wprzód użyjemy wszystkich środków, zanim wyrzec nam przyjdzie, że nieszczęście nasze powetować się nie da.

— Te środki istnieją tylko w twéj wyobraźni; mówisz jak dziecko, Bonusiu. Czy podobna, żeby religia fałszywa i prawdziwa zjednoczyły się i stały, jak woda z winem w jedném naczyniu; czyż podobna, żeby święta nasza wiara katolicka upokorzyć się mogła w obec kłamstw bluźnierczych niegodnéj sekty.

— To też celem usiłowań moich jest wielki tryumf świętéj wiary katolickiéj, odparł Bonawetura.

— Chcesz go nawrócić? Tyś szalony chyba!.. Więc zamierzasz dokonać tego, czemu nasz brat błogosławiony podołać nie mógł. Serca tych ludzi bardziéj są wrażliwe na dźwięk pieniędzy, niż na uczucia religijne.

— Kiedy brat mój chciał go nawrócić nie istniały dla niego potężne względy socyalne i święte węzły honoru, godności i obowiązków społecznych.

— Honor, godność, ludzkość! Prawdopodobnie język ten nie będzie zrozumiały dla sprawy naszéj hańby.

— Jestto język powszechny. Wreszcie wątpliwości nasze w tym względzie, kochana siostro, nie długo się już rozjaśnią.

— A to jak?

— On sam je rozstrzygnie.

— Jak to, zawołała Serafina ze zgrozą..... A więc ten człowiek....

— Przybędzie wkrótce, na me wezwanie.

— Bonusiu! Bonusiu!

Serafina nie mogła mówić więcéj. Nie umiała się gniewać, ale jéj serce wezbrało bólem. Po krótkiéj chwili milczenia, zawołała pełna trwogi:

Pisałeś do Hebrajczyka?

— Tak—i przyjedzie.

— Napróżno. Wiesz przecież, że w Grudniu był już tutaj i że Gloria przyjąć go nie chciała.

-- Wiem o tém.

— I że pisał kilka listów....

— Których ona przeczytać nawet nie raczyła, wiem i to również...

— Więc i teraz przyjąć go nie zechce.

— Zobaczymy. Nie sądzę, żeby przybycie moje de Fikobrygi pozostało bez skutku, rzekł Lantigua, okazując wielkie zaufanie w siłę swéj woli.

— Czy zapomniałeś, kochany bracie, o poleceniu Don Angela?

— Bynajmniéj; wiem, że mówił do nas „Zróbcie tak, jakby postąpił Jan Chryzostom, gdyby żył."

— I ty sądzisz, spytała Serafina z wyrazem tryumfu w przekonaniu o sile argumentu, ty sądzisz, że brat nasz był by napisał do tego człowieka, prosząc go, aby przybył.

— Alboż ja wiem. Juan nie mógł wymówić słowa o swéj hańbie; umarł, milcząc.

— Juan nie umarł na apopleksyą, mówiła z głębokiem wzruszeniem Serafina; umarł z gniewu, boć przecież i oburzenie zabija. Myśl jego była piorunem rażona, więc i dusza w obec ogromu hańby uciekła z siedliska swego, w téj strasznéj chwili. Zdaje mi się, że słyszę wewnętrzny okrzyk jego ducha, opuszczającego ziemską wędrówkę.... O mój jedyny, czerp ty natchnienie w naszym bracie, umarłym dzięki téj hańbie: zespól się z jego istotą i wyobraź sobie owę chwilę rozpaczną, jego zdziwienie, jego przestrach, jego męczar-

nie, jako najlepszego ojca i najgorętszego katolika i niech ci się zdaje, że on zmartwychwstał w twojéj osobie.

— Czerpiąc natchnienie w sumieniu własném, rzekł pogodnie bankier, mniemam, że nie ubliżę pamięci brata.

Po tych słowach, brat i siostra rozeszli się.

Pokoje D. Juana były po śmierci jego zamknięte aż do przybycia Bonawentury, który, wziąwszy je dla siebie, przepędzał w nich długie godziny, porządkując manuskrypty i listy swego brata oraz uzupełniając katalog biblioteki. Serafina, będąc nieprzyjaciółką schodów, zamieszkała na dole, Gloria zaś w swojéj dawnéj siedzibie pozostała. Upłynęło jednak wiele miesięcy a mieszkańcy Fikobrygi nie mogli zobaczyć panny de Lantigua, ani na ulicy, ani w ogrodzie, ani na balkonach Sama nawet służba domowa, z wyjątkiem dwu kobiét, nie widywała jéj nigdy. Gdzież tedy była?... Co robiła?.. Niektórzy w Fikobrydze przypuszczali, że panna de Lantigua bardzo zbrzydła a nie brakło i takich, którzy głosili, że zwaryowała. Wuj i ciotka odpowiadali ciekawym, że Gloria była chora fizycznie i moralnie a szanowna małżonka Amarilla rozsiewała w tym względzie najpotworniejsze wieści, tak iż żaden mieszkaniec Fikobrygi nie mógł przejść około domu Lantiguów, ażeby nie spojrzéć w kilka smutnych okien, wiecznie zamkniętych i nie wyrzec z cicha: „co ona robi“?..

## Przeklęty,

W niedzielę palmową rano, rzekł Bonawentura do swéj siostry.

— Przekonałem Glorią, że powinna iść dzisiaj ze mną, na poświęcenie palm.

— Spełni biedaczka wielką ofiarę, odparła Serafina; jeżeli macie zamiar wyjść razem, to się pośpieszcie, gdyż ja wychodzę zaraz.

Skoro Bonawentura zwrócił się w tym względzie do Glorii, rzekła do niego:

— Dobrze stryju; pójdę, aby uczynić zadosyć twemu żądaniu.

W krótce potém, panna de Lantigua, po długiém a dobrowolném więzieniu, wyszła po raz pierwszy z domu, wraz ze stryjem. Ubrana była w stroju poważnym, który uwydatniał bladość jéj twarzy, pełnéj niegdyś wdzięku i ożywienia a zdradzającéj obecnie głęboki smutek i świadczącéj o przebytych uraganach, dostatecznych do zniszczenia najdoskonalszéj piękności. Pomimo jednak przygnębienia, postać Glorii miała zawsze dziwny urok, jakiś rzewny wyraz opromieniał jéj blade lica a tajemnicza wymowa jéj cudnych oczu

spotęgowała się jeszcze. Niepodobna było patrzéć na nią bez najgłębszego współczucia.

Zanim stryj z synowicą przybyli do kościoła, już w Fikobrydze przechodziły z ust te wyrazy: „panna Gloria wyszła.“

Na najodleglejszych krańcach miasta odbijało się echo kobiécych głosów: „wyszła“. Mężczyzni, którzy stali w drzwiach świątyni, spoglądali na nią z podziwem, inni z sympatyą, niektórzy wreszcie z niedelikatną ciekawością. Gloria przeszła z oczyma spuszczonemi, trzymając pod rękę stryja. W środku kościoła Bonawentura dostrzegł na twarzy synowicy widoczne oznaki znużenia i rzekł do niéj:

— Idź do kaplicy naszéj, Glorio i usiądź.

W téj saméj chwili rozpoczęła się ceremonia poświęcania palm i chór zabrzmiał: *Hosanna filio David. Benedictus qui venit in nomine Domini. O rex Israel! Hosanna in excelsis.*

Wyrazy te zabrzmiały w duszy dziewicy straszném echem i zamieniły ją w posąg; wzruszona, nie mogła postąpić ani kroku. Bonawentura wziął ją za rękę, która była zimna i drżąca.

— Co ci jest, Glorio, czyś nie chora? usiądź.

— Pójdę do kaplicy naszéj, rzekła do stryja.

W kaplicy Lantiguów, było wiele kobiét; Gloria sądziła, że spotka się tutaj z ciotką, lecz Serafina była gdzieindziéj. Gdyby Gloria, wchodząc, była mniéj zajęta własnym duchem, byłaby spostrzegła, że od chwili wejścia do kaplicy stała się przedmiotem impertynenckich obserwacyj ze strony pobożnych owieczek, które szepcząc pomiędzy sobą i robiąc zjadliwe uwagi nie ledwie palcem wskazywały na Glorią. Panna de Lantigua nie podnosiła oczu od książki do nabożeństwa i dla tego wiedziéć nie mogła, że w parę minut po jéj przyjściu, małżonka Amarilla, wraz z trzema kuzynkami wyszła z kaplicy, dając szlachetny przykład innym damom, które jedna po drugiéj opuszczały świątynię. To już nie mogło nie zwrócić uwagi Glorii, która rzekła do siebie:

— Uciekają odemnie.

Ta myśl rozdarła jéj serce i wydobyła z czarnych oczu nieszczęśliwéj gorące łez strumienie.

Wkrótce rozpoczęła się procesya, za którą nie poszła Gloria, pozostawszy prawie sama jedna w kościele. W tym czasie Serafina weszła do kaplicy.

— Nakoniec przybyłaś, rzekła do niéj, biedaczko! Przebacz mojemu bratu, gdyż zamiar jego był dobry.

— Przebaczyć mu? alež ja mu dziękować powinnam, że mię zmusił do wyjścia. Czuję się dobrze.

— Czy w istocie, spytała ciotka z wyrazem współczucia. Jestżeś zadowolona?

— Zadowolona—nie, ale spokojna.

— A ja tu przyszłam, aby pocieszyć ciebie.

— Pocieszyć mię, po czém?

— Wyjdźmy na chwilę, chciałam pomówić z tobą.

Skoro weszły do małéj izdebki urządzonéj kosztem Lantiguów przy ich kaplicy, Gloria spostrzegła na krześle powalaném i pełném kurzu palmę, którą posłała D. Silwestrowi do poświęcenia.

— Więc to tu?. zawołała ze zdziwieniem, zwracając oczy ku ciotce.

— Tak.. tu jest, odparła Serafina, siadając. Powinnaś była odgadnąć, że nie mogła być umieszczona gdzieindziéj. Wczoraj nie chciałam ci mówić o tém.

Przygnębiona i martwa prawie Gloria nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Czas jakiś spoglądała to na kwiaty, to na ciotkę, a wreszcie wyrzekła łkając:

— To prawda, nie powinnam była przysyłać tych kwiatów!

— Miano pewne skrupuły, które ja usprawiedliwiam w zupełności. Mniemają, że jesteś w grzechu śmiertelnym. Widzisz.. należy uszanować powszechną wiarę. Pojmuję dobrze, iż w téj opłakanéj wieści o twoim wstydzie jest cokolwiek niesprawiedliwości a nawet od wczoraj i przesądnych idei.

— Jakich idei? spytała Gloria.

— Mówią, że wczoraj, kiedy osiołek uczuł na sobie ciężar twéj palmy, zaczął wierzgać i rzucać się, dopóki nie zdjęto jéj z niego. Być może, iż była to tylko halucynacya, albo po prostu fakt przypadkowy, w każdym jednak razie przesąd istnieje.

— Że ja jestem w grzechu śmiertelnym, że potępiona jestem, zawołała panna de Lantigua. O ciotko ukochana, czy pewna jesteś, że się nie mylisz?...

— Nie sądzę, żeby stan twego sumienia był tak zły, jak ludzie utrzymują, lecz opinia miasta, w którém mieszkamy i które okazywało nam zawsze tyle szacunku, jest bardzo dla ciebie nieprzychylna.

— Jam to odgadła.

— Gdybyś była nie wychodziła dziś jeszcze z domu, jak ja chciałam, rzekła Serafina płacząc, nie byłybyśmy narażone na zniesienie tylu goryczy.

— To prawda. Wiele osób oddaliło się z kaplicy, gdy ja weszłam, szepnęła Gloria pół głosem.

— O! zawołała Serafina, zalewając się łzami, przecierpiałam już na świecie wiele złego, ale nigdy twarz moja tak się nie krwawiła jak dzisiaj.. na widok.....

Łkania tłumiły jéj mowę.

— Na widok, ciągnęła daléj, jak w tém mieście, w tym świętym kościele, w naszéj kaplicy odbyła się ta straszna scena. Któżby przewidział, że przed tobą, kobiétą mojéj krwi i mego imienia, córką mojego brata powszechnie szanowanego, córką tego, który był dumą Lautiguów, wierni uciekać będą z kościoła ze zgrozą!...

Gloria nic nie odrzekła. Z rękoma skrzyżowanemi na kolanach i z głową na piersi zwieszoną słuchała bolesnego okrzyku swéj ciotki, postanowiwszy spełnić ten nowy kielich bez szemrania.

— Ja to znosić muszę cierpliwie, mówiła daléj Serafina, tuląc do siebie ręce Glorii, tak, ja cierpliwą być muszę, bo.. córko ty moja ukochana, oni mają słuszność!...

Słysząc to, Gloria poruszyła się lekko... Jéj usta rozwarły się, jak gdyby miały przepuścić nasuwający się wyraz... lecz znów nie wyrzekła ani słowa.

— Tak, powtórzyła Serafina, oni mają słuszność. Niezmierna miłość, którą mam dla ciebie, nie zaślepia mię, moje dziecię; to téż jasno widzę stan twojéj duszy i usprawiedliwiam te osoby, które od ciebie stronią. Gdybyś uczyniła zadość codziennym prośbom moim, jakżeby położenie twoje względem Boga i ludzi zmieniło się. Straszne okoliczności twego upadku wymagają, żebyś się wyrzekła wszystkiego, żebyś umarła dla społeczeństwa, dla świata, bezwarunkowo dla wszystkich i abyś żyła tylko dla Boga. Glorio, ukochana ty córko moja, dodała, zmieniając akcent, który miał w sobie coś strasznego, umrzyj, umrzyj dla świata, jeśli chcesz ocalić swą duszę.

— Jam już umarła, szepnęła Gloria z jękiem.

— Nie, bo się czegoś spodziewasz jeszcze od świata.

— Ja się już niczego nie spodziewam, odrzekła sierota. Przyjmuję straszną pokutę bez gniewu i z pokorą. Przebaczam zniewagi; nie czuję ani wstrętu, ani żalu do tych ludzi, którzy z nazwiska mego zrobili ulubione słowo skandalu; nie powiem ani jednego słowa na swą obronę; bo wiem, żem na to zasłużyła, że winy moje są olbrzymie; wypiję aż do dna kielich goryczy i ofiaruję Bogu skrwawione serce, którego każde drgnienie przez resztę dni życia będzie boleścią.

— Cierpisz.. tak, cierpisz, odparła ciotka z miłością, lecz to nie dosyć. W tém męczeństwie twojém i w téj ekspijacyi, o któréj

mówisz, jest pewna niepodległość, bunt pewien, który jest nowym grzechem.

— Co mam czynić, aby nie być buntowniczką?. Jestem przygotowana na wszystko, odparła Gloria, tłumiąc w sobie cień nawet wolnéj woli.

— Zupełnie pojednać się z Bogiem.

— Czyżem się jeszcze nie pojednała?...

— Wierzyć w to wszystko, co nakazuje kościół święty, matka nasza.

— Dobrze. Wierzę.

— A potém..... potém wejść do klasztoru.

Słysząc to, Gloria podniosła głowę. Zdawało się, że w jéj duszy nastąpił gwałtowny wybuch uczuć potężnych, nad któremi zapanować nie mogła. Niewątpliwie miała już odpowiedzieć kategorycznie i z energią, bo jéj czarne oczy iskrzyły się a usta drżały; lecz wola, tém silniejsza, im bardziéj zwalczana, upadła jak kamień grobowy na tego, który go wznosił zuchwale i duch jéj uspokoił się zwolna.

— Jeśli klasztór, odparła głucho, jest grobem, do którego żywą się wchodzi, ja pragnę umrzéć dla wszystkiego, co nie jest Bogiem i mém sumieniem, chcę żyć w najczarniejszéj samotności jaką tylko można wyobrazić, chcę, aby nazwisko moje w pamięci wszystkich istniéć przestało, z wyjątkiem tych ludzi, którzy je dla zhańbienia mego wymawiać będą, i aby osoba moja była postacią, skreśloną na falach wody.

— Ah—zawołała zmieszana cokolwiek Serafina, to jest wiarołomny sofizmat świata. Nie.. nie... Z tych klasztorów, które dusza improwizuje w saméj sobie—wyjść można. Nie!. tysiąc razy nie!. Nie posiadamy gwarancyi, że zamknięcie twoje będzie wieczne a gwarancyi téj wymagają jednocześnie kościół i rodzice twoi, wiara, którą wyznajemy, i przyzwoitość społeczna. Pomyśl o tém dobrze, moje dziecko bo to rozwiązanie, które ci oddawna proponuję, jest jedynie możliwe w téj chwili.

— Jedyném rozwiązaniem jest cierpiéć, odparła Gloria głosem silnym.

— O nie wypieraj się, nie wypieraj, ty masz nadzieję.

— W Bogu!.

— Nie; tobie jeszcze świat się uśmiecha. Nawet nie podejrzywając tego, jesteś w objęciach grzechu, który cię spycha w otchłanie. O! ty się nie możesz wyrzec tego węża.. Wszak prawda przyznaj...

— Niczego sie od świata nie spodziewam, odparła Gloria spokojnie.

— Przeciwnie, spodziewasz się. Trzyma cię jeszcze w swoich szponach zwierz straszny. Glorio, córko moja, niech cię nie zraża chrześcijańska idea śmierci społecznéj, będącéj zbawieniem duszy, śmierci nieczystych namiętności, która jest początkiem wiecznego życia.

— Mogęż umrzéć więcéj, umierając dla świata?..

— Nieszczęśliwa, myślisz o ratunku niemożliwym.

— Nie ma go dla mnie.

— Dopóki na ziemi żyje ten człowiek, nie będziesz miała odwagi wyrzec się świata.

— Jam się wyrzekła wszystkiego: ratunku, małżeństwa i miłości nawet, a wyrzeknę się jeszcze i wspomnień.

— Lecz wiesz, że co się stać może?. Wszak ten człowiek myśli o tobie, skoro cię szukał.

— Nie chciałam go widziéć, ani nawet pisać do niego.

— To nie wystarcza; położenie twoje zawsze jest dwuznaczne i hańbiące. Zniewaga dla ciebie i twéj rodziny!.. Glorio, dziecko ty moje, wstąp, wstąp do klasztoru, który jest jedyném rozwiązaniem twego nieszczęścia.

Ściskając czule synowicę, Serafina złożyła na jéj czole gorący pocałunek. Nieszczęśliwa penitentka, zanosząc się od płaczu, wołała z niewzruszoném postanowieniem.

— Nigdy.. o nigdy nie wstąpię do klasztoru, kochana ciotko!..

— I dla czego? powiedz.. błagała Serafina.

— Wszak już mówiła tyle razy!.. To jedno pozostało jeszcze jako resztka wykorzenionéj woli mojéj, po zrobieniu ofiary z całéj méj istoty; jedyne pragnienie, które już na świecie nic nie znaczy, jedyny wątek, dzięki któremu istnienie moje na ziemi zasługuje na miano życia.

— Wiecznie ta sama fałszywa idea. Ty masz nadzieję, masz nadzieję, powtórzyła Serafina, poruszając głową. To jest nadzieja i światowa nadzieja. Nie daj się uwieść uczuciom, które dla ciebie nie istnieją, uczuciom, do których z powodu swéj winy nie masz prawa.

— Jeśli tak, zawołała Gloria z poddaniem się, kara moja będzie nieskończenie wyższa od mego grzechu.

— Ty nie masz pojęcia o wielkości kary. Cóż znaczy rezygnacya twoja!... Gdyby Chrystus po biczowaniu uciekł, gdy go na krzyż prowadzono, czy sądzisz, że byłby odkupił ród ludzki?.. A ty właśnie, zniósłszy biczowanie, uciekasz od krzyża. Rezygnacya ta-

ka będzie niedostateczna dla twojéj duszy, bo nie jest zupełna, absolutna, bo nie jest wyrzeczeniem się wszystkiego, bezwzględnie wszystkiego.

Serafina, mówiąc to, całowała Glorię, która w najwyższéj rozpaczy powtarzała, kąpiąc się we łzach.

— Wszystkiego, absolutnie wszystkiego... to okrucieństwo... okrucieństwo...

— Uspokój się, moje dziecko, rzekła dobra ciotka, całując ją czule. Kiedyindziéj, pomówimy o tém obszernie, a teraz powróćmy do kościoła. Nie pojmuję, dla czego procesya nie powróciła jeszcze; zwykle trwa najwyżéj czterdzieści minut a dzisiaj przeszło godzinę. Pozostań tu jeszcze przez chwilę, a ja się dowiem co znaczy to opóźnienie.

Doña Serafina, wychodząc z kaplicy, spostrzegła ze zdziwieniem kilka wystraszonych kobiét i usłyszała głośne okrzyki na placu.

— Aha! pomyślała, szukając przyczyny, pewno deszcz pada i tym sposobem powstało w procesyi zamieszanie.

Ale nie, słońce świeciło wspaniale i wieczór był bardzo pogodny. Cóż się tedy stało?

Kiedy procesya weszła na plac nieregularny i wązki, gdzie się zbiegało kilka krętych uliczek; z jednéj z nich wypadł nagle mężczyzna na koniu.

Śpiewacy umilkli, marynarze, którzy nieśli chorągwie zatrzymali się, zakrystyan oparł krzyż na ziemi a świeczniki zachwiały się w rękach kleru, niby drzewa przez wiatr poruszane. Sildo upuścił kadzielnicę, proboszcz brwi zmarszczył, ojciec Pocito wzniósł oczy od ziemi a na ustach Don Juana Amarillo zawisły wyrazy „do więzienia, do więzienia.“

Widząc tłum ludzi, jeździec chciał skręcić cugle na miejscu, ale zwierzę stanęło dęba i ledwie nie zwaliło jeźdzca.

Tłum wydał okrzyk groźby i przekleństwa a koń jeszcze bardziéj przerażony tym hałasem zaczął wierzgać i parskać pianą. W téj że samej chwili, zjawił się w téjże uliczce inny jeździec, był on ryży, otyły, wysoki, gigantyczny prawie, o potężném ciele i pięściach jak młoty.

Don Juan Amarillo, spostrzegłszy dwóch ludzi tak zuchwałych, że się ośmielili wjechać konno do Fikobrygi w czasie procesyi, zawrzał gniewem strasznym i rzucił się w środek tłumu, ciskając wzrokiem pioruny. Uzbroił rękę laską, jak włócznią i szedł w majestacie swéj władzy, wykonać sprawiedliwość.

— Przepuścić sędziego!—wołano zewsząd.

Koń pierwszego jeźdzca uderzył przedniemi kopytami w głowę jakąś kobietę. To było hasłem do walki, w któréj pięści drugiego jeźdzca nie małą odgrywały rolę. Szanowny sędzia nie mogąc wydostać się z tłumu, wołał co chwila w szalonym gniewie:

— Porządek! do więzienia!

W téj właśnie chwili, kiedy Serafina wyszła z kościoła, przerażone kobiéty opuszczały sparaliżowaną niespodziewanie procesyą, wołając ze straszną zgrozą: „Żyd!... Żyd!...“

Cnotliwa ta dama miała w swojém tragicznem życiu cztery momenty straszliwego przerażenia i boleści bezmiernéj: pierwszy, gdy patrzyła na śmierć swéj matki; drugi, gdy nędzny małżonek policzkował twarz jéj publicznie; trzeci, gdy się niespodziewanie dowiedziała o śmierci brata i hańbie Gloryi; czwarty, gdy usłyszała w kościele fikobryjskim słowa: Żyd!... Żyd!...

Rezultatem opisanéj walki, jaką stoczyła procesya z dwoma jeźdzcami, było ich uwięzienie. Tym sposobem Daniel Morton, wraz ze swym służącym przenocować musieli w ratuszu. Nazajutrz, sam Don Juan Amarillo udzielił wolność Mortonowi. Ta niespodziewana łaska była owocem mimowolnego uszanowania, jakie budził w trudniącym się lichwą urzędniku olbrzymi majątek Mortona.

Daniel udał się do hotelu, utrzymywanego przez Francuza, i kazał sobie dać lokal, lecz sam właściciel złamanym językiem hiszpańskim rzekł do niego:

— Przebacz pan, przebacz, ale nie mogę go wpuścić do hotelu. Wolałbym przez trzy lata trzymać dom próżnym.

Cudzoziemiec wyszedł na ulicę. Twarz jego zdradzała silne znużenie; pragnąc bądź co bądź znaleźć jaki kącik dla odpoczynku, Daniel pytał przechodniów czy nie ma w Fikobrydze innych hotelów. Dwie kobiéty poznały go a wydawszy okrzyk trwogi raczéj, niż zdziwienia, odskoczyły od niego, wołając:

— Żyd!... Żyd!...

— Wyjmę pieniądze, pomyślał, i wreszcie dach znaléźć muszę.

Pomimo, że ulice Fikobrygi były bardzo ciemne, prawie wszyscy przechodnie z łatwością go poznawali. Jedni omijali go milcząc, inni oglądali jak przedmiot bardzo ciekawy, tu i owdzie usłyszał trywialne żarty, lub obelgi, lecz nikt mu na zapytania nie udzielił zadawalającéj odpowiedzi. Postanowił wreszcie zwrócić się do dzieci, sądząc, że w nich nie znajdzie nienawiści starszych, albo też, że go nie poznają; lecz zamiast odpowiedzi, został obsypany kamieniami. Z nadejściem nocy i ciemności, Morton czuł się coraz bardziéj znużonym a przytém dokuczał mu głód straszny i pragnienie. Przebiegłszy wszystkie ulice, spotkał w samotném ustroniu dziewczy-

nę, która szła śpiewając. Zbliżywszy się do niéj zapytał, czyby mu nie mogła wskazać jakiego hotelu. Dziewczyna, głupsza od innych, czy bardziéj ludzka, wskazała mu na blizkiéj ulicy bramę, gdzie sucha gałąź zapowiadała istnienie karczmy. Morton dał jąkąś monetę swéj zbawczyni i zbliżywszy się ku wskazanéj bramie, spostrzegł nad nią wielki napis: *Zajazd.*

W karczmie rozlegały się wesołe głosy marynarzów.

Zbliżywszy się do jakiegoś człowieka, przepasanego fartuchem, który stał przy bramie, poprosił o numer.

Właściciel fartucha zmierzył przybysza od stóp do głowy i rzekł:

— Zobaczę. Poczém oba weszli na bardzo wązkie i niebezpieczne schodki, po których Morton idąc, szeptał do siebie z radością:

— Dzięki Bogu, że mię nie poznano.

Skoro przybył do wielkiéj sali, gdzie prowadziły żywą rozmowę trzy kobiéty, jedna z nich zawołała nagle:

— To on! To on!

Najżywsze zdziwienie malowało się na ich twarzach. Druga z kobiet, mniéj roztropna od swych towarzyszek, rzuciła się z wściekłym fanatyzmem ku oknu, wołając:

— Żyd!... Żyd!...

Na krzyk ten przybyło kilku marynarzów z karczmy.

— Znam go, rzekł jeden, wszak to jego ocaliliśmy, kiedy się rozbił statek angielski.

Kobiéty i mężczyźni, wszyscy obecni patrzyli na Mortona z najwyższém osłupieniem. Już na koniec ci i owi zaczęli okazywać nieprzyjacielskie zamiary, lecz karczmarz, podniósłszy ręce, zawołał silnym głosem:

— W moim domu nikogo skrzywdzić nie pozwolę; kawalerze wyjdź ztąd.

Morton poszedł ku schodom, lecz nagle przystanął i zwracając się do gospodarza rzekł:

— Sprzedaj mi pan chleba.

— Kosztuje pięć talarów, zawołała z miną harpii jedna z kobiét.

— Dziesięć talarów, dodała druga.

Karczmarz wziął chléb z kredensu i dał go Mortonowi. Daniel biorąc go jedną ręką, drugą sięgnął do kieszeni.

— Nie, rzekł karczmarz, zatrzymując go.

— Dla czego? spytał Morton.

— To jałmużna, odparł z powagą karczmarz.

— Miłosierdzie, dodał marynarz; my tacy jesteśmy.

— Tyś mi ocalił życie, rzekł Daniel do jednego, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Tak, to jest moim obowiązkiem.

— Kiedy tak, dodał Hebrajczyk, to daj mi teraz szklankę wody, Bóg ci to zapłaci.

Marynarz przyniósł wodę. Morton napił się, a wziąwszy z sobą chléb darowany, wyszedł.

Nie wielka to była zdobycz, ale młody człowiek czuł się już w połowie zadowolony, jak Robinson, kiedy na wyspie opuszczonéj zdobył pierwsze tryumfy dla przedłużenia życia. Bardzo niewiele osób znajdowało się już na ulicach Fikobrygi, co naturalnie było dla Mortona wielką pociechą, gdyż każde zbliżenie się twarzy ludzkiéj przejmowało go trwogą i wstydem. Ile razy w téj samotnéj ustroni usłyszał po za sobą kroki, zwracał się szybko w inną stronę, jak złodziéj, który ucieka z łupem. Jakkolwiek skromna była wieczerza Mortona, smakowała mu jednak bardzo, dzięki głodowi. Zaspokoiwszy najpierwsze potrzeby swego ciała, myślał teraz o schronieniu, którego zdobycie było dlań zarówno pożądane, jak trudne. W braku mieszkania, szukał opuszczonych ruin, pnia drzewnego, lub jakiegokolwiek zacisznego kąta, któryby go zasłonił przed zimnem północnego wiatru. Szedł długo, oddalając się coraz bardziéj od środka miasta, a wreszcie usiadł znużony na jakichś schodach kamiennych, gdzie spostrzegłszy dwa psy, rzucił im resztki chleba.

— Dzięki Bogu, rzekł Hebrajczyk, widząc apetyt zwierząt; nie będę mógł przynajmniéj powiedzieć, że i psy przedemną uciekają. I to już jakaś pociecha!...

W kilka minut zbliżył się jakiś żebrak z dzieckiem na ręku i wyciągnął dłoń kościstą, prosząc o jałmużnę.

— Tyś z Fikobrygi? spytał Morton.

— Tak, panie, jestem marynarzem, lecz nie mogąc z powodu wieku pójść na morze, żyję w największéj nędzy, jeśli to życiem nazwać można.

Głos starca drżał febrycznie, zwiastując osłabienie, głód i zimno. Twarz żebraka wyschnięta była jak pargamin, broda biała, ciało strzępami pokryte świeciło nagością; na rękach starca otulona w gałgany spała snem anielskim dziewczynka, szepcząc co chwila jakieś słowa i poruszając się niespokojnie, jakby w chorobie.

— Bardzo jesteś biedny? spytał Daniel.

— Żyję tém, co mi dają, dobry panie. Mieszkałem dawniéj z córką moją i miałem kawałek chleba, bo mąż jéj pracował w kopalniach; lecz przed paru miesiącami, przywalony kamieniem, zięć mój został zabity. Dobra córka pracowała na mnie czas jakiś, lecz i ona przed dwoma tygodniami poszła do grobu, zostawiając w sie-

roctwie to dziecko. Nie mamy domu, nie posiadamy nic, prócz jałmużny, którą miłosierni ludzie przy życiu nas utrzymują.

Daniel wydobył złotą monetę, mówiąc do siebie:

— Teraz zdobędę sobie przyjaciela.

Wziąwszy jałmużnę, starzec odszedł, przyrzekając modlitwę swoję do Matki Boskiéj, za duszę dobroczyńcy. Morton, prowadząc go wzrokiem spostrzegł, że biedak zatrzymał się na rogu ulicy, przy świetle latarni obejrzał pieniądz, schylił się ku ziemi, rzucając monetę złotą na kamień, jak gdyby chciał wyprobować jéj wartość, a wreszcie wrócił się nagle, biegnąc żywo w stronę, gdzie siedział Daniel.

— Co to znaczy? rzekł do żebraka. Czy fałszywy piéniądz?...

— Nie, ale pan się omylił, rzekł starzec, wracając monetę. Dał mi pan sto pezet, zamiast jednéj.

— A zkądże wnosisz, że ja tobie dałem jednę pezetę?

— Gdyż jest to największy pieniądz, jaki się daje, a ja to tylko przyjmuję, co ludzie ofiarują z dobréj woli, nie przez omyłkę.

— Ja wiem, co daję, mój bracie, rzekł Daniel wzruszony, zachowaj tę monetę; jeślim popełnił jaką omyłkę, to tę chyba, żem ci dał jednę tylko. Weź jeszcze tę drugą a oprócz tego i te dwie jeszcze; jutro znów się zobaczymy.

Ale biedny starzec nie chciał wziąć z rąk Mortona tego skarbu i, stojąc przez chwilę w dziwnéj zadumie, cofnął się nagle, wydając okrzyk zdziwienia i trwogi.

— Cóż? zawołał Morton z gniewem. I tyś mię poznał?...

— Ach!... Nie... nie... panie... bełkotał starzec; ale te pieniądze... tyle pieniędzy dać żebrakowi... ja pierwszy raz w życiu widzę pana, lecz jeden tu tylko jest człowiek, który tak złoto rozsypuje, a tym człowiekiem.. Żyd!...

— Tak, to ja nim jestem, rzekł poważnie Morton.

Starzec chciał zwrócić piéniądze do rąk Daniela, lecz gdy ten ich nie przyjął, rzucił je na ziemię, mówiąc drżącym głosem.

— Odbierz pan swoje dukaty, bo żaden chrześcianin nie przyjmie pieniędzy od człowieka, przez którego sprzedany był Chrystus.

Morton stał niemy i skamieniały, jak posąg.

— Człowieku bez wnętrzności, zawołał w końcu, pełen wściekłego oburzenia; mówisz, jak idyota.

— Ja nie chcę jałmużny od pana. Bądźcie zdrowi.

— Zaczekaj, rzekł Morton z boleścią. Czy nie widzisz, że téj nocy jam jest biedniejszy i nędzniejszy od ciebie. Przechwalasz się chrześcianizmem, a nie masz nademną litości. Plunąłeś na mnie w imieniu swéj regilii i współczucia mi nawet odmawiasz w tém osamotnieniu strasznem w jakiém się znajduję, bez przyjaciela, bez gło-

su pociechy, bez kogokolwiek, ktoby usiadłszy przy mnie, nazwał się mym bratem i pamiętał, żeśmy oba dziećmi jednego Boga.

Stary marynarz poruszył głową, a sięgnąwszy ręką do worka, wiszącego na łachmanach, wydobył z niego kromkę chleba.

— Weź to, rzekł sucho i z akcentem pogardy, która uwidoczniła się także i w tém familiaryjném traktowaniu.

— O, odparł Morton jęcząc, nie chleba ja to pragnę; inny, mniéj okrutny od ciebie, dał mi go już przedtém, chleb i psom się daje. Daj mi swoje towarzystwo, swoje braterstwo, swoję tolerancyą, swoję rozmowę, pociechę głosu innego człowieka, coś, coby nie było niezgodą religijną, ani szpetném oskarżeniem o czyn, za który nie jestem odpowiedzialny, ani krzywdą świadczącą o wściekłości sekty. Dla czegoś nie chciał przyjąć jałmużny? czy się mnie lękasz?

— Mam wstręt do ciebie.

— I dla czego?

— Bo tak być powinno. Bądź zdrów.

Starzec oddalił się i co kilka kroków odwracał głowę, ażeby spojrzéć na człowieka, który posiadał tyle złota.

Daniel Morton objął konwulsyjnie głowę rękoma i przez długą chwilę pogrążony był w bolesném rozmyślaniu. W końcu zawołał z wybuchem wściekłego gniewu:

— O bezbożny Nazareńczyku, nigdy nie będę twoim, nigdy!...

Po upływie więcéj niż godziny, dały się słyszeć kroki. Jakiś człowiek wstąpił na schody. Daniel poznał go natychmiast.

— Kajfasz! zawołał, podnosząc się.

— Pan Morton, rzekł Mundideo zdziwiony.

Radość, która się malowała na twarzy Mortona, była niezmiernie żywa. Porwał Kajfasza za rękę i rzekł doń silnie wzruszony:

— I ty mię także poznajesz, ale ty mię nie odepchniesz?...

— Widocznie pan nie mógł znaléźć mieszkania, rzekł Kajfasz.

— A ty mi ofiarujesz swoje. O jakże się cieszę, żem cię spotkał, mój bracie. Drżę z zimna. Rzeczy moje są w ratuszu; oddadzą mi je dopiéro jutro rano. Mój służący jest uwięziony.

— Wiem o tém... I pan taki zamożny musi noc spędzić na ulicy...

— Gdzie mieszkasz?

— Tu, bardzo blizko, odparł Kajfasz, okazując żywe współczucie, jakie rodzić zwykła prawdziwa wdzięczność. A to co się tak błyszczy na ziemi? Wszakże to trzy monety po pięć talarów.

— Są to pieniądze upuszczone przezemnie, odparł Daniel. Możesz je podnieść.

Mundideo zebrał pieniądze i chciał je oddać właścicielowi.

— Zachowaj mi je tymczasem, rzekł Morton. Późniéj odbiorę. Jak się mają twoje dzieci?

— Zdrowe, panie... Pójdźmy tędy... Niech pan idzie ostrożnie, żeby się nie przewrócić.

Przeszedłszy mały placyk ocieniony paru drzewami, Kajfasz otworzył drzwiczki w murze jakiegoś wału i weszli na płaszczyznę, która na ogród warzywny wyglądała.

— Co to jest? spytał Daniel, nie opuszczając ramienia Mundidea, który go prowadził w ciemności.

— To jest wielka sypialnia, w któréj wszyscy zasnąć mamy.

— Cmentarz fikobryjski!... zawołał Hebrajczyk, czując mróz w kościach i zdziwienie, które wstrzymało jego kroki.

— Tu jest bardzo wilgotno, rzekł Kajfasz, nie puszczaj się pan.

— Już widzę krzyże... tyle krzyżów... i jakąś masę białą.

— To pomnik, wybudowany dla D. Juana de Lantigua.

Po ciele Mortona przeszedł dreszcz śmiertelny i na piersiach jego wąż się zwinął, który mu oddychać nie pozwalał.

— Senior D. Juan... jest tutaj, szepnął.

— Przechodzimy koło niego, rzekł Kajfasz, zdejmując czapkę. Biedniejsi leżą tu, na prawo.

Morton również odkrył głowę.

— Ten wielki grób, dodał Kajfasz, jest dla całéj rodziny przeznaczony.

— Dla całéj rodziny?... I ty tu mieszkasz w tém smutném miejscu?...

— Tak panie. Jestem grabarzem fikobryjskim. Smutne obowiązki seniorze, ale je myślę wkrótce opuścić. Już jesteśmy... wejdź pan.

Weszli do bardzo maleńkiego domku. Kajfasz rozpaliwszy ogień zaprowadził swego przyjaciela do niemałéj izby pełnéj różnych sprzętów, między któremi dominowała stara sofa. Pokój ten przylegał do innego będącego zapewne sypialnią, gdyż Kajfasz wskazując ją rzekł:

— Tu sypiam z dziećmi. Wyniosę swoje łóżko do sali, gdzie będzie panu najswobodniéj.

— Dziękuję, nie potrzeba łóżka. Daj mi kołdrę a wypocznę sobie na téj sofie. Spotkałem wreszcie człowieka, prawdziwego brata; żałuję cię jednak, mój przyjacielu, nie mogłeś wybrać straszniejszych obowiązków.

— Wkrótce je oddam komukolwiek, odparł Mundideo, kładąc na sofie kołdrę i poduszkę. Obecnie położenie moje nie jest jeszcze tak okropne, jak tamto, z którego mię pan wydobył swoją łaską.

— Cieszę się nieskończenie. Los się odmienił.

— Tak... tak... seniorze.

Obejście się Kajfasza z izraelitą było cokolwiek nienaturalne. Spojrzenia jego wskazywały najwyższy szacunek i cześć szczególną dla dobrodzieja; lecz z tym szacunkiem łączył się chłód pewien, albo raczéj odraza jakaś, oschła powściągliwość w słowach i być może obawa nawet. Nie trzeba było fizyonomisty, żeby poznać łatwo, iż biedny Mundideo cierpiał i że sumienie jego znajdowało się w obec najciemniejszéj zagadki, jaka mu się kiedykolwiek przedstawiła.

— Więc myślisz porzucić te obowiązki, spytał cudzoziemiec, kładąc się na sofie.

— Tak, seniorze!... Niedawno umarł mi wuj w Veracruz...

— I otrzymałeś spadek?...

— Niewielki; lecz dla mnie to już kapitał. Ponieważ pieniądze są w banku angielskim, więc nie odebrałem ich jeszcze. Ma to nastąpić w przyszłym tygodniu, a wtedy seniorze......

Kajfasz patrzył w ziemię.

— Cóż?...

— Wtedy zwrócę panu jego pieniądze.

— Jakie pieniądze?...

— Które pan był łaskaw dać mi, gdy byłem w Kortiguero.

— Nie dla tego dawałem, żebyś mi zwracał.

— Ale ja zwrócić muszę, bo taki jest mój obowiązek.

Kajfasz stał z miną pełną pokory, blady i z odkrytą głową. Właśnie położył na stole trzy monety, z ziemi przed chwilą podniesione.

— Twój obowiązek?... rzekł Morton tonem gniewu.

— Tak, seniorze... ja... Jakby to powiedzieć, żeby nie obrazić pana?... Jak to powiedzieć, żeby mój dobroczyńca za niewdzięcznego mię nie uważał?...

— Mów prędko!

— Otóż ja nie wiedziałem, że pan...

— Aha!... rzekł Morton, odwracając oczy z wyrazem gorzkiéj pogardy.

— Niech się pan Daniel nie obrazi, lub mię za złego nie uważa. Ja... o!... wypowiedzieć nie umiem co się dzieje we mnie... Ale na to nie ma lekarstwa. Kiedym się dowiedział o śmierci seniora D. Juana i o tém, że pan jesteś...

— Żydem, dodał Morton poważnie.

— Tak, mówił daléj Kajfasz, szlochając, to pieniądze pańskie, seniorze Danielu, palą mi ręce. Spowiednik nakazał mi je zwrócić, choćbym dla ich zdobycia potrzebował dźwigać kamienie

jak osioł, ciągnąc pługi jak wół, lub zamiatać ulice własnym językiem. Na szczęście będę mógł zwrócić, to czegom brać nie powinien, nie...

— Milcz, milcz... zawołał Morton blady z gniewu, ściskając mu rękę z gwałtownością, milcz, idyoto, mówisz jak zwierzę. Coś powiedział o mnie?... Dla czego sądzisz moję duszę?... Kimże ty jesteś, nędzny robaku, że śmiesz na wieczne potępienie skazywać innego człowieka, który jak i ty jest tworem boskim?... Kim jesteś, że się ośmielasz mnie urągać, mnie, którym tobie w nieszczęściu podał rękę?... Czy wiesz, że sumienie stanowi człowieka, a niewdzięczność, czarna niewdzięczność jest złych sumieniem.

— O ja nie jestem niewdzięczny, nie, seniorze, wołał Kajfasz z prawdziwym żalem. Gdyby pan mógł czytać w mojém sumieniu. Ja nie wiem co się ze mną dzieje. Jam ubóstwiał pana, jak się ubóstwia tych, którzy są w ołtarzach; jam o zbawienie twoje, seniorze, więcéj prosił Boga niż o własne. Zażądaj pan odemnie co się podoba, a oddam mu wszystko, aż do ostatniéj nitki w moim domu. Pozbawię się chleba powszedniego, chociaż senior nie cierpi głodu, i podzielę się z panem domem swoim, choćbym miał przez to stracić swoje miejsce i żebrać jałmużny przez całe życie.

— Nie proszę ja ciebie o przytułek, który tak samo dać mi może drzewo, pień, skała lub jaskinia, lecz o słodkie współczucie przyjaźni, o uprzejmość, o towarzystwo serdeczne.

— Jaka tylko może być przyjaźń i wdzięczność zawsze ją pan dla siebie znajdzie w mojém sercu, rzekł Mundideo silnie wzruszony. Ale...

— Ale co?...

— Oto, ciągnął Kajfasz z widoczném drżeniem w głosie, ja nie chcę pieniędzy pana... nie chcę pana pieniędzy...

— Dusza twoja jest szlachetna i pobożna, ale ustępuje niegodnym ideom tłumu.

— Sumienie moje nakazuje mi, żebym nie miał z panem żadnych stosunków, nawet stosunków miłosierdzia.

— Nie chcesz być moim przyjacielem w pojęciu przyjaźni społecznéj, nie chcesz mieć ze mną żadnéj wspólności życia i wymiany myśli, jaka powiększéj części istnieje między wyznawcami jednéj religii?...

— Tak, pan to powiedział bardzo dobrze... ja właśnie myslałem o tém, tylkom się wysłowić nie potrafił.

— Gdyby ci niewdzięczność nie przeszkadzała, tybyś mię nienawidził, Kajfaszu?...

— Z całego serca, odparł żywo grabarz, z całéj duszy. Jakże mógłbym kochać człowieka, który wepchnął w takie nieszczęście najdroższą dla mnie rodzinę, który zabił ojca i zhańbił córkę...

Morton czuł, że każde słowo tego człowieka szarpało mu serce na kawały, lecz dotknięty z najsłabszéj strony nie był w możności protestować.

— Nie sądź mię z tego o czém nie wiesz, rzekł głucho. Sądziłem, że będziesz zawsze mym przyjacielem i omyliłem się. Spostrzegłszy cię, jam się ucieszył, bo miałem nadzieję zasięgnąć od ciebie wiadomości o istocie, którą kocham i bez któréj żyć nie mogę.

— O panience Gloryi?...

— Czy wiesz co o niéj?... czyś ją widział?... zapytał Morton gorączkowo.

— Wiem dosyć... odparł Kajfasz tonem tajemniczym i z niechęcią. Widuję ją często, ale panu, panu żadnéj nie mogę udzielić wiadomości.

— Nie powiesz mi co robi?... czy jest zdrowa?... czy wesoła?... czy wychodzi?...

— Powiem panu tylko, że jest bardzo, o bardzo nieszczęśliwa.

— Wkrótce nią być przestanie.

Kajfasz poruszył głową na znak wątpienia i głęboko westchnął.

— Mówiłeś, że ją widujesz?...

— Codziennie.

— I nic mi nie powiesz więcéj?...

— Nie, powtórzył Kajfasz ponuro. To tylko jeszcze powiedzieć panu mogę, że widzę w niéj zawsze anioła z nieba, tak czystego anioła po upadku, jak przed nim.

— Słusznie mówisz. Dziękuję ci, mój bracie, o ty masz serce!... Zapewniano mię, że opinia jest dla niéj w tém mieście bardzo sroga.

— Bardzo. Mówią, że panienka jest w niezgodzie z Bogiem. Wczoraj stała się rzecz bardzo rzadka. Panienka przysłała palmę, żeby ją umieszczono na osiołku, który towarzyszy Zbawicielowi. Skoro zwierzę poczuło na sobie kwiaty, zaczęło wierzgać i zruciło je z siebie. Świadkowie tego zdarzenia przejęci byli trwogą.

— I ty i ty jesteś zdolny wierzyć w takie barbarzyńskie zabobony?...

— Ani wierzę, ani wątpię. Na świecie dzieją się cudowne rzeczy. O!... Ja sam ich tyle widziałem.

— I lud w to wierzy?...

— Jak w ewangelią. Nie mówią o niczém innéni w Fikobrydze.

— Co za straszna ciemnota! Ale ty nie wierzysz temu?...

— Nie, seniorze, nie, nie wierzę, zapewniał Kajfasz, po krótkiéj chwili wahania. Panienka jest aniołem niebieskim, tom powiedział i to powtarzam.

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu, bardzo dobrze. Możesz jeszcze powiedzieć i powtórzyć co innego: a mianowicie, że panienka wyjdzie niedługo z téj niedoli i szczęśliwa będzie.

— To nie...

— Dla czego?...

— Bo jest dobrą chrześcianką a pan...

— A ja cóż?...

— Nie zmuszaj mię pan do mówienia tego, co się nie powinno mówić swojemu dobroczyńcy.

— A więc dobrze... dajmy temu pokój. Mów mi o niéj tylko. Opowiédz mi wszystko, co wiesz.

— Wiem dużo.

— Mów prędzéj... prędzéj... Kajfaszu!

Grabarz położył rękę na ustach, a potém wyrzekł:

— Z ust moich nie wyjdzie ani słowo, ani jedno słowo, któreby panu posłużyć mogło do jego planów.

— Moje plany są uczciwe.

— To tylko Bóg wié.

— A ty nie?... czy nie poznałeś mię jeszcze?...

— Ja nic nie wiem, nic nie wiem, mruczał Kajfasz. Ja nic nie wiem. Pan jesteś tajemnicą dla mnie, pan jesteś aniołem i nieszczęściem, dobrém i złém jednocześnie, rosą i piorunem niebieskim. Ja w obec pana nie wiem co czuć, co myśleć. Gdy pana kocham, zdaje mi się, żem go powinien nienawidzieć, lecz skoro pana nienawidzę to zdaje mi się, żem go znów kochać powinien. Pan jesteś dla mnie jak szatan przebrany za świętego, lub jak anioł w stroju Lucypera. Ja nic nie wiem, nic nie wiem, mój seniorze.

Zamilkli oba. Podwójnie straszny: brzydotą naturalną i wyrazem nieufności, która się uzewnętrzniła na jego twarzy, Kajfasz spoglądał na Daniela podejrzliwie, siedząc z rękoma na krzyż założonemi, z głową lekko spuszczoną i wzrokiem na poły wystraszonym i dzikim. W sumieniu tego człowieka nigdy jeszcze podobna zagadka nie powstała, to téż ów prostak spostrzegł nagle w swéj duszy olbrzymią panoramę religijnych problematów, które go w nieokreślony sposób dręczyły i gniotły. Widział jakieś fantasmaty w swojém wnętrzu i słyszał te straszne zapytania, które w głębi jego duszy powtarzały tajemnicze usta, nie otrzymując żadnéj odpowiedzi. Inny człowiek, inteligentniejszy odeń, byłby wydobył z tego rozmyślania w owéj nocy jakąś ideę jasną, jakąś może negacyą straszną, jakiś absolut, choćby

wreszcie najczarniejszy absolut ateizmu; ale Kajfasz nic nie wydobył: ani światła zupełnego, ani ciemności, lecz zamieszanie tylko, chaos, półświatło niepewne duszy ludzkiéj, kiedy wiara jest w niéj zakorzeniona, a rozum, niby dyabełek niespokojny wywołany przez magyą, ukazuje się nagle, wyprawiając skoki i łamańce.

Długi czas rozmyślali oba. Morton zdawał się być pogrążonym we śnie a czuwał. Kiedy już prawie dniéć zaczynało, rzekł Daniel do Kajfasza:

— Nie spisz?...

— Sen mię opuścił, odparł grabarz, myślę o dziwnych rzeczach, które mi spać nie dają.

— Już świta. Chciałbym pomówić z seniorem Bonawenturą.

— Tak wcześnie?

— On podobno wstaje bardzo rano?...

— Razem z ptakami.

— W takim razie proszę cię pójdź do niego i powiedz odemnie, że jestem tutaj na jego rozkazy.

Kajfasz nie ruszył się.

— Cóż, rzekł Morton z gniewem. I tego mi odmawiasz?...

— Tego nie.... odparł Kajfasz, podnosząc się. Idę do pana.

## XV.

## Ośmnaście wieków antypatyi.

Nie było jeszcze szóstej godziny, kiedy Don Bonawentura i Daniel Morton znajdowali się w mieszkaniu Kajfasza. Dzieci wysłane były na ulicę przez ojca, który pogłębiwszy cokolwiek rozpoczętą w dniu wczorajszym mogiłę, zajął się pogrzebaniem jednego z biedaków, wchodzących w tajemnicze światy rozkładu podziemnego, bez przyjaciół, bez śpiewów religijnych, bez kwiatów i bez całunu. Dla nich wszystko jest materyą i prawdziwym prochem... Obaj mężczyźni, popatrzywszy przez chwilę na tę smutną scenę, siedli przy stole, stojącym na środku izby. Obaj milczeli w wewnętrzném skupieniu ducha i każdy z nich szeptał do siebie: „On będzie mówił pierwszy." Bonawentura wreszcie przerwał milczenie.

— Nie potrzebuję mówić panu, rzekł sucho, o strasznych nieszczęściach, jakie spadły na mą rodzinę. Znasz je pan dobrze; a ja widząc go tak skorym do stawienia się na me wezwanie, przypuszczać muszę, że te nieszczęścia nie są dla pana obojętne.

— Już po raz drugi przybywam tutaj, od czasu téj strasznéj katastrofy, odparł Morton; co dowodzi, że nie jestem zbrodniczym zbie-

giem. Wracając z taką szybkością do osób, które obraziłem, dowodzę tym sposobem, iż pragnę gorąco uzyskać ich przebaczenie.

— Doświadczę tego dzisiaj. Wezwałem pana, wbrew życzeniu mojéj rodziny, a w szczególności Glorii, lecz sądzę, że to postąpienie moje okaże się w skutkach uzasadnione. W rozmowie łatwiéj porozumiéć się można. Mam przekonanie, że to, co się stało, da się naprawić, jeśli znajdę w sprawcy naszéj hańby podniosłe idee, oraz poczucie godności i honoru, które podejrzywam w każdym człowieku dobrze wychowanym, bez względu na jego sektę. Z informacyj, jakich o panu w Madrycie zasiągnąłem, wnosić muszę, że nie jesteś człowiekiem zepsutym, bez sumienia, i że nie są ci obce szlachetne pobudki honoru.

— Nie jestem dla pana złoczyńcą—rzekł Hebrajczyk z wyrazem wdzięczności, jest to największa pociecha, jakiéj mogłem doświadczyć, po zniewagach w Fikobrydze poniesionych. Nie jestem dla pana zarażonym, wyklętym, paryą, istotą zhańbioną i z pod praw wszelkich wyjętą!... Nie budzę w panu wstrętu, nie uciekasz pan odemnie, nie uważasz się za potępionego, podając mi rękę!...

— Moja opinia o panu nie jest stanowcza, rzekł Bonawentura poważnie. Zależéć ona będzie od dalszego prowadzenia się pana.

— Tolerancya, jaką znajduję w panu, odparł Daniel, przenika mię nadzieją i usposabia do zrobienia największych ofiar.

— Ofiar!... Otóż to właśnie słowo o które nam idzie, rzekł Lantigua z radością i energią. Znajdujemy się teraz, mój seniorze, w obec strasznego problematu, w obec religii; religii, która w różnorodności widoków rządzi światem, narodami i rodzinami.

Don Bonawentura westchnął. Daniel Morton westchnął także.

— Być może jednak, ciągnął dalej Hiszpan, że trudności, jaka się wyradza w tym względzie, nadajemy znaczenie zbyt przesadne. Dla każdéj osoby, która się szanuje i umié wartość swoję złożyć na ołtarzu społecznych obowiązków, są kategoryczne prawa, które nie przypuszczają ani różnic, ani subtelności, ani tłómaczeń; mówię o prawach honoru.

— Prawa prawdziwego honoru, dodał Morton poważnie, są prawami moralnemi, wypływającemi z religii lub filozofii. Po za tém, wszystko jest konwencyonalne i fałszywe.

Bonawentura myślał przez chwilę, lecz idąc za biegiem swych idei, odparł.

— Ściśle biorąc, to prawda. Ale dajmy pokój ogólnikom. Pan masz nieunikniony obowiązek naprawienia krzywdy, którąś wyrządził méj synowicy. W tym celu ofiara jest potrzebna. Dla czego? Bo wymaga tego honor, prawo, które rządzi wszystkiemi naszemi czy-

nami, prawo, które nie wiadomo zkąd przychodzi, lecz które jest prawem.... prawem. Jest religia bez teologii, która nie przypuszcza schyzmy i odszczepieństwa. Jedyną jéj herezyą jest brak odwagi..... Tutaj przedstawia się nam cnotliwa i anielska dziewica zhańbiona, ofiara niewinna i ta ofiara wymaga od pana poświęcenia.

— Poświęcenia religii?

— Naturalnie.

— W imię honoru?

— Naturalnie.

— To znaczy, że przed religią idzie honor. A gdybym téż ja powiedział, że największą hańbą jest odstąpienie wiary, z którą się na świat przyszło?

— To zależy od motywów, dla których się działa. W tym wypadku—nie.

— Niech mi pan pozwoli dać przykład i zrobić pytanie.

— Z przyjemnością, rzekł Lantigua dumnie, wierząc, że argumenty jego będą silniejsze od dowodów przeciwnika.

— Przypuśćmy, że pan jest w Hamburgu, Amsterdamie, Londynie... .

— Tak.. tak.. już rozumiem intencyą pana. Przypuśćmy, żem pokochał młodą izraelitkę, że.. ma się powtórzyć ten sam wypadek, tylko z odwrotnemi szczegółami.

— Czy pan byś się spieszył z poświęceniem swéj religii dla naprawienia sprawy?..

— To zależy od tego jaka byłaby ta dziewica.

— Jak Gloria, zupełnie jak Gloria. Przypuszczam, że pan byś ją kochał uczuciem najpotężniejszém.

— Już to, panie, kwestya zostania żydem jest cokolwiek za ciężka. Pojmuję, że można przyjąć protestantyzm.... Chociaż wreszcie.. pod wpływem uczucia wszechpotężnego i okoliczności tak strasznych jak w tym wypadku.. zapewniam pana, że zostałbym żydem .

— Seniorze de Lantigua, odparł Morton z godnością, pan nie masz religii; pan nie jesteś katolikiem.

Bonawentura zmieszał się widocznie i po chwili dopiéro odrzekł.

— Jestem prawdziwym katolikiem z edukacyi, z przekonania, z przykładu świętego moich cnotliwych braci; jestem nim dla tego, ponieważ wierzę, iż katolicyzm jest religią najdoskonalszą, że gdyby mój rozum zachwiał się, wzmocniłoby go wspomnienie samo ukochanéj matki, którą wiara do najszlachetniejszych czynów prowadziła; jestem katolikiem, ponieważ widzę w Chrystusie, synu Bo-

ga, najwznioślejszy przykład doskonałości moralnéj, jaką człowiek osiągnąć może, i ponieważ wierzę silnie w odpuszczenie grzechów i w życie wieczne.

— To wszystko nie dowodzi wcale gorącéj wiary. Przyjmujesz pan co ci się wydaje najdogodniejsze, resztę odrzucasz. Lecz przy tak wątłéj nawet wierze nie sądzę, żebyś pan został żydem z miłości, z uczucia dla kobiéty.

— A przez obowiązek, dla odpowiedzialności strasznéj za grzech wielki, dodał Lantigua energicznie?... Dla tych i innych względów nie wahałbym się zamienić, pozornie chociaż, religii najpopularniejszéj na religię najbardziéj zdyskredytowaną.

— Pozornie!.. To znaczy z zastrzeżeniami umysłowemi, rzekł Morton zmieszany.

— O widzę, że pan posiadasz w swojéj fałszywéj religii mniéj tolerancyi niż ja w prawdziwéj. Ja ustępuję cokolwiek, pan nic. Wypada, żebyś pan poszedł za mym przykładem. Widzisz pan, że nie jestem ani fanatykiem, ani hipokrytą. Mnie się zdaje, że wiara moja zbliża się cokolwiek w gruncie rzeczy do wiary pańskiéj, lub do wiary jakiegokolwiek człowieka tego wieku.

— A to jak? spytał Morton z ciekawością.

— Czyż podobna, seniorze Mortonie, żebyśmy w gruncie rzeczy nie myśleli jednakowo. Sądzę, że tak. Posłuchaj mię pan z uwagą. Mam przekonanie, że wiara religijna taka, jaką pojmowali nasi ojcowie, coraz bardziéj wkracza w dziedzinę mytów, a wreszcie wcześniéj, czy późniéj straci zupełnie swoję siłę. Sądzę, że ludzie uczciwi i szlachetni, bez względu na religią, zbawienie wieczne osięgnąć muszą. Sądzę, że wiele rzeczy, które przez kościół ustanowione zostały, raczéj zmniejszają wiarę zamiast się przyczynić do jéj wzrostu i że we wszystkich religiach, a w szczególności téż w naszéj, przemagają obrządki, ostentacye i praktyki. Wierzę, iż wszystkie kulty, jeśli naprawdę istnićć mają, do pierwotnéj prostoty powrócić muszą. Wierzę, iż pojednanie między filozofią a wiarą jest możliwe, gdyż w przeciwnym razie straszny chaos nastąpić musi. Wierzę, iż żaden naród istnićć nie może bez moralnego prawa, które mu daje życie; i jeżeli jedno moralne prawo ustępuje, przybywa drugie. Oto co myślą wszyscy dzisiejsi ludzie; to téż społeczeństwo dzisiejsze nie podtrzymuje się fanatyzmem, ale poszanowaniem wierzeń powszechnych. Okoliczności, w których się obecnie znajdujemy, skłoniły mię do otworzenia panu mojéj myśli z całą szczerością w téj nadziei, że znajdę w nim echo własnych przekonań i że pan, będąc człowiekiem wykształconym, nie zechcesz przeceniać wartości swojéj sekty, zaj-

mującéj najniższe stanowisko. Sądzę wreszcie, że grunt moralny jest z małą różnicą dla wszystkich religij cywilizowanych jednakowy i że człowiek w europejskiém społeczeństwie wychowany zdolny jest do najszlachetniejszych czynów, bez względu na imię Boga, do którego się zwraca.

Po tém wyznaniu wiary nastąpiła krótka pauza. Morton utkwił oczy w stole i zdawał się być głęboko przejęty ważnością téj rozmowy.

— Bardzo dziękuję za to wyznanie, rzekł, podnosząc oczy. Ja już wiedziałem, że wielu przywódców katolickiego stronnictwa są racyonalistami *in pectore*. Obecnie, w zamian za pańskie ustępstwa, ja mógłbym zrobić inne. Rodzina moja, podobnie jak i pańska, rzekł Hebrajczyk, odznaczała się gorliwością religijną, była zawsze a jest i dzisiaj, jak i rodzina Lantiguów, szanowana i kochana z powodu swych cnót i szlachetności; miała oddawna a i posiada jeszcze wiele uroku w naszéj rasie, dzięki szlachetnéj energii, z jaką podtrzymuje ideę konsekwencyi izraelickiéj w pośród pogardy w któréj żyjemy i poniżenia w jakie popadli nasi bracia. Wychowywano mnie z niewzruszoną siłą naszych zasad. Wpojono we mnie wiarę, utrwalając ją w sumieniu raczéj, niż w imaginacyi, przemawianiem więcéj do duszy, niż do zmysłów. Zaszczepiono wreszcie w mojém sercu ideę, że przez naszę religią zostały objawione światu zasady, które nim rządzą i że nie tracą swéj wartości po modyfikacyach, jakie przyjęły w owym dniu pamiętnym. Nauczono mię kochać prawo, które zawiera wszystko w sobie co dobre i prawdziwe, gdyż nie ma prawdy moralnéj na świecie, któraby się w moich księgach nie znajdowała. Twierdząc tak, nie będę do ostateczności utrzymywał, że po za mojém prawém wszystko jest zgnilizną, niemoralnością, kłamstwem, jak to wy robicie, nie; a nawet naśladując pana powiem również, że przepisy moralne, któremi my się rządzimy, są te same, jakie chrześciańską duszą kierować zwykły i te same, jakie rządzą wszystkimi ludzmi szanującymi prawa. Nie wiem czy wśród ucywilizowanych ludów jest religia, któréjby moralność mówiła: „będziesz zabijał, będziesz kłamał, będziesz kradł, będziesz krzywdził bliźniego twego“.....

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, odparł Lantigua promieniejący. Widzisz pan jak się do siebie przybliżamy?... Cóż pozostanie między nami?... Kult, forma, liturgia, fantazmat, panie Mortonie.

— Kult! zawołał Daniel uroczyście, i to panowie fantazmatem nazywacie?... Dla panów jest nim, lecz nie dla mnie.

— Czy podobna, żeby człowiek z pana umysłem mógł przywiązywać ważność.....

— Tak, przywiązuję ważność do kultu, ważność olbrzymią.

— Dla czego?

— Bo jest narodowością naszą. Nie mając ojczyzny geograficznéj, stworzyliśmy ją we wspólności praktyk religijnych i przestrzeganiu prawa. Ze względów społecznych w jakich się znajdujemy, musimy potężniéj niż panowie jednoczyć ojczyznę, rodzinę i wiarę. Dla was religia jest tylko religią, niczém więcéj; dla nas oprócz religii jest rasą, rodzajem granitowéj ziemi w któréj żyjemy, jest językiem, jest honorem, tym honorem o którym mi pan mówiłeś i który u nas nie pojmuje się bez konsekwencyi, bez stałości w przywiązaniu do świętéj i szanownéj wiary, za którą jesteśmy pogardzani.

— Wszystko to jest forma; do gruntu, do gruntu, rzekł Lantigua niecierpliwie. Powiedziałeś pan, że religia jego nie jest pod względem moralnym wyższą od mojéj.

— Jest nią, przez swoję starożytność i prostotę. Wierzę silnie, że mój tylko zakon został człowiekowi przez Boga objawiony; wszystkie inne są sztuczne. Jeśli mam wstręt do chrześcianizmu, to nie dla tego, że jest zły i fałszywy, lecz dla tego, że jest bezużyteczny i okrutny.

Bonawenturze cisnęły się do ust tysiące argumentów strasznych i druzgoczących; lecz zdobywszy się na cierpliwość słuchał daléj.

— Są przyczyny historyczne i socyalne, dodał Hebrajczyk, przyczyny straszne, mój panie, dla których odstępstwo nasze jest stokroć bardziéj hańbiące niż czyjekolwiek.

Bonawentura uśmiechnął się pogardliwie.

— Niezależnie od tego, że czuję instynktową miłość dla Boga moich ojców i nieprzezwyciężony wstręt do bezużytecznéj nowości chrześciańskiéj....

Don Bonawentura zaczął się widocznie niecierpliwić.

— Pozwól mi pan skończyć. Oprócz tego posłuszny jestem prawu rasy: a co za straszne są te prawa. To samo koło zaklęte, które stworzyli dla nas chrześcianie, abyśmy w niém żyli odłączeni moralnie od reszty stworzeń ludzkich, podsyca jeszcze i rozpala konsekwencyą naszę, gdyż krzywdy jakich doznaliśmy, wygnanie z Hiszpanii, bezzasadna nienawiść chrześciańskich ludów, przywiązują nas silniéj do naszego dogmatu, będącego formułą ojczyzny między nami. Wyrzec się wiary! Przejść pod chorągiew tego nieubłaganego nieprzyjaciela, który nas przez ośmnaście wieków znieważał, deptał i policzkował,

który nas wyganiał, palił żywych, pozbawiał wszelkich zaszczytnych obowiązków, zamykał przed nami wszystkie wrota i zabronił wszelkich zajęć z wyjątkiem najpodlejszego: lichwy; który nas obsypał najbrutalniejszemi zniewagami, usuwając od tego wszystkiego co się zwać może braterstwem, odmawiając nawet używania praw naturalnych; który nas uważał zawsze jako wyjątek w ludzkości, jako rasę podłą i zhańbioną a piętnował wiecznie idyotycznym zarzutem bogobójstwa!... Myśmy zabili Boga!.. Nie, to być nie może, pomiędzy nami nie znajdzie się ani jeden człowiek, któryby się poddał temu wrogowi niezbłaganemu i dzikiemu! Ośmnaście wieków zemsty, za śmierć jednego filozofa, chociażby największego z filozofów, to już za wielkie okrucieństwo!...

— Że krzywda była straszna, wtrącił Bonawentura, dowodzi tylowiekowe trwanie kary. Rok, dziesięć, wiek, mylić się mogą; tysiąc ośmset lat nie mylą się. Ich wyrok zasługuje na szacunek.

— Mojego nigdy nie zdobędzie, rzekł Morton z wściekłością. Dotknąłeś pan najdelikatniejszéj struny mego serca, serca, które posiada najczystszy ogień rasy. Ja kocham moję narodowość straconą, mój kult wspaniały a prosty, mój lud nieszczęśliwy a zdeptany, który zachowuje w sobie zadziwiający grunt wartości moralnéj. Tak, tak, chciałbym posiadać tysiąc ust, by to co mówię wszystkiemi wypowiedziéć. Naród, który się opiérał pogardzie ośmnastu wieków, lud który istnieje po ośmnastu wiekach niedoli, dręczony, poniżany i pędzony z miejsca na miejsce, jest godzien lepszego losu.

— Panowie téż usiłują poprawić go sobie, rzekł Lantigua z ironią.

— Przepędzałem godziny najboleśniejszego smutku, myśląc o nieszczęśliwym losie méj rasy. Od chwili, gdym przyszedł do rozumu pojąłem, że nas otacza chmura złowroga, że się różnimy od reszty świata, że nas społeczeństwo napiętnowało.....

Spędziłem większą część swéj młodości na smutnych rozmyślaniach o naszém nieszczęsném przeznaczeniu socyalném i tym sposobem miłość, którą zawsze miałem do méj kasty, do méj historyi wspaniałéj, rozpłomieniała się coraz więcéj, dochodząc do gwałtowności, która mię od zmysłów odwodziła. Młodość moja była gorączką boleśną, snem, w którym zlewały się najśmielsze intencye z najszlachetniejszemi ideami. Śniłem o zrehabilitowaniu judaizmu, o zatarciu strasznego przekleństwa; przepędziłem całe lata na udręczonéj samotności, myśląc jak chrześciańscy anahoreci, o niedoli niewinnego ludu, lub téż oddając się niezmordowanym podróżom po

wszystkich krajach, gdzie tylko byli izraelici, celem zrealizowania mych pragnień.

A jakkolwiek zadanie moje jest ciężkie, nie upadłem dotąd na duchu, gdyż w chwilach zwątpienia i niepewności czuję w sobie potężnego sprzymierzeńca, natchnienie, głos uroczysty mojego znieważonego Boga, który mówił do mnie: „naprzód“.

I człowiekowi takiéj świątyni, człowiekowi, który posiada fanatyzm święty swojéj kasty, któryby się nie wahał sto razy umrzéć, aby widziéć urzeczywistnioną rehabilitacyą swego ludu, człowiekowi, który nie należy do istot posiadających czczą i powierzchowną wiarę i nie umié patrzéć obojętnie na sprawy Boga i serca, takiemu człowiekowi pan mówisz: „porzuć to wszystko i pójdź się przedemną upokorzyć, ucałuj okrutną rękę, która cię przez ośmnaście wieków policzkowała i uwielbiaj ukrzyżowanego w imię którego zrobiliśmy ciebie zwierzęciem“!....

— W Imię Chrystusa, zawołał Bonawentura, dotknięty argumentacyą Mortona. W Imię Tego, który odkupił rodzaj ludzki, przekształcając całą ziemię. Zaiste trudno uwierzyć, żeby w umyśle wykształconym i jasnym podobne zaślepienie istniéć mogło. Boże mój, co to jest rodzić się w błędzie!... Jest jednakże okoliczność, która mi pozwala podejrzywać szczerość pańskiego fanatyzmu. Jeśli pan jesteś tak zaabsorbowany ideą swojéj rasy, jeżeli ona rządzi w zupełności jego życiem, czynami i uczuciami; to jakim sposobem dopuściłeś się pan słabości tego rodzaju, żeby pokochać chrześciańską kobiétę?

— Bóg doświadcza nas ciężko i strasznie. Chwiejni katolicy, którzy nie wiele myślą o Bogu, ateusze przeczący jego istnieniu, racyonaliści chrześciańscy, którzy go odarli z cudownych atrybutów osobistych, nie zrozumieją tego i urągać się będą bezbożnie tym próbom jakich doświadczam. Lecz ja przeciwnie. Wierzę zarówno w próby, jak w kary. Moja szalona miłość jest jedną z nich. Upadłem, upadłem pod brzemieniem grzechu i uczułem najstraszniejsze zwątpienie, jakie tylko można wyobrazić. Co mam robić? W jakim stopniu interesować mię powinny obowiązki moje socyalne i religijne?... Oto jest właśnie problemat, który mię doprowadza do rozpaczy i do pragnienia śmierci, wszystko rozwiązującéj.

— Nie po to przyszliśmy tutaj, aby rozpaczać, rzekł Lantigua poważnie. Należy zastanowić się rozumnie nad kwestyą straszną, jaka się przedstawia w obec mojéj synowicy, niewinnéj, zacnéj i pięknéj, bo przecież to o niéj powiedziéć mogę.

— Prawda. Przybyłem tutaj, pragnąc podnieść tę kwestyę i rozwiązać.

— A to jak? Z tego wszystkiego co usłyszałem, odparł Bonawentura z akcentem oburzenia, wypada, że podług pana straszną ofiarę powinna spełnić ona.

— Nie, nie, sądzę, że tego nie potrzeba, jest inny środek.

— Nie widzę go.

— Gdybym nie wierzył w jego istnienie, nie byłbym tu przybył, lecz pozostał w Londynie.

— To prawda.

— Samo punktualne stawienie się na wezwanie pańskie wskazuje, że mojém pragnieniem jest...

— Pojednanie... Dobrze.

— Lecz to pojednanie nastąpić może tylko między nią a mną, między jéj sumieniem a mojém.

— Potrzeba, rzekł Lantigua żywo, potrzeba, abyś pan ją widział. Ona przyjmie pana, gdyż prosiłem ją o to.

— Położenie jest trudne, lecz któż wié?... Sądzę, że w kwestyi wiary nietrudnoby nam było przyjść do zgody... ale kwestya formy jest straszna.

— W tém cała trudność, lecz czyżby nie można było znaleźć formuły?

— Dopóki nie zobaczę się z Glorią, nic nie możemy postanowić w tym względzie, rzekł Morton niespokojnie.

— Zobaczysz ją pan.

— Lecz ja nie mogę pokazać się swobodnie w tém mieście, gdyż imię moje jest tu bluźnierstwem.

— O! rzekł Lantigua z żywém współczuciem. Właśnie trzeba oswobodzić pana przedewszystkiém od tego wstrętu publicznego, który jest hańbą nowoczesnego świata.

— Tak, tak.

— I dać panu mieszkanie odpowiednie, w którém nie potrzebowałbyś siedzieć ukryty, jak złodziej.

— Tak, tak i to także.

Sławny bankier patrzał przez chwilę w ziemię, podtrzymując brodę palcami lewéj ręki.

— A, rzekł nagle uderzając się w czoło; mam myśl, mam myśl, arcy-szczęśliwą.

— Jaką?

— Pozwól mi pan pozostawić ją dzisiaj jeszcze przy sobie.

— Ależ...

— Będzie pan miał mieszkanie przyzwoite i surowość niezbłaganéj opinii publicznéj cokolwiek chociaż się zmniejszy. Dziś jeszcze spostrzeżesz pan skutki mego pomysłu.

— Chciałbym je widzieć.

— Ufaj mi pan, rzekł bankier podnosząc się. Zobaczymy się wkrótce. Idę zająć się panem.

Szlachetny senior de Lantigua nie mógł dać więcéj objaśnień i wyszedł, zostawiając Hebrajczyka w nie mniejszém udręczeniu, jak i przed rozpoczęciem konferencyi. Morton podszedł ku oknu a spostrzegłszy Kajfasza sypiącego drugą mogiłę.

— Jeden nieprzyjaciel mniéj w Fikobrydze, pomyślał.

*(Dok. nast.)*

---

# BIOGRAFIA DZIECKA.

Przyszliśmy dziś do przekonania, iż nietylko fizyczne, lecz moralne a nawet intelektualne wychowanie dziecka zaczynać się powinno, od chwili jego urodzenia. Że to, co nazywamy wychowaniem, jest wypadkiem oddziaływania mnóstwa najrozmaitszych czynników na duszę dziecka i że niewłaściwe postępowanie z dzieckiem, choćby w najpierwszéj jego młodości, nie pozostaje bez śladu i na dalszy jego rozwój. A jakkolwiek zboczenia te dadzą się późniéj naprawić, to wszakże, jak każda naprawa, kosztuje wiele zachodu, pracy, trudu i przykrości, tak ze strony wychowańca, jak i wychowawcy. Najważniejsze są pierwsze wrażenia duszy dziecięcéj, nie tylko dla tego, że są pierwszemi, lecz i dla tego, że się daleko częściéj powtarzają, niż wszelkie późniejsze. Toż samo można powiedzieć i o oddziaływaniach wychowawczych, dla tego to nie darmo powiedziano, iż oprócz matki największy wpływ na charakter dziecka wywiera piastunka.

Ale jak ogrodnik hodujący roślinę nie może korzystnie wpływać na jéj ulepszenie i pomyślny wzrost bez znajomości praw, jakim ulega, tak tém bardziéj wychowawca musi znać prawa fizycznego i umysłowego rozwoju dziecka. Niestety, przyznać musimy, że dotąd prawo to jeszcze nienależycie zostało wyświetlone, a więc dotychczasowe postępowanie nasze odbywało się niemal po omacku, bo nie rozumieliśmy dziecka, ani jego uczuć, ani jego dążności. Przyczyną tego była po części dotychczasowa psychologia, która zajmowała się wyłącznie dorosłym człowiekiem, a spostrzeżenia na nim uczynione stosowała wprost i do duszy dziecka, nie zwracając żadnéj uwagi na różnicę zachodzącą pomiędzy dzieckiem a człowiewiekiem w pełni jego rozwoju. A chociaż matki i piastunki przy trzeciém lub czwartém niemowlęciu nabierały większéj wprawy i wię-

kszego doświadczenia, to wszakże ten ich nabytek, albo ginął bez żadnéj korzyści dla ogółu, albo téż spostrzeżenia ich, przechodząc z ust do ust, ulegały spaczeniu i tworzyły przesądy tak często napotykane pomiędzy wychowującymi.

Z tych to powodów poważni myśliciele, obdarzeni wielką siłą obserwacyjną, w ostatnich dopiéro czasach uczynili przedmiotem swych poszukiwań życie dziecka i jego rozwój od dnia urodzenia. Obserwacye te i spostrzeżenia nie są bynajmniéj nowością, jakeśmy już napomknęli, lecz nowém jest to, iż zostały ujęte w pewne ramy, które przyczyniają się do ich dokładności.

Wielką jest zasługa tych mężów, gdyż dopiéro obserwacye podobne tym, jakie czynili, mogą nas dokładnie zapoznać z naturą dziecka i nauczyć jak na nią skutecznie wpływać należy. Dokładniejsza zaś ta znajomość dziecka uchroni nas od błędów, jakich dopuścili się nawet ludzie ogromnego znaczenia w nauce wychowania.

Opiérając się na obserwacyach Darwina, dokonanych w przeciągu długiego czasu na własnych dzieciach, Bertholda Sigismunda, Oppela, Riecka, Teresy Oeser, Fanny Marechal i innych, (1) podajemy biografią dziecka, zamieszczając zarazem różnice dostrzeżone przez powyższych obserwatorów. Będzie to zatém niby dziecko idealne, któremu wszakże prawdopodobieństwa psychologicznego odmówić nie można.

Tuszymy sobie, iż biografia ta posłuży nie jednéj rozsądnéj matce do czynienia podobnych spostrzeżeń na własnych dzieciach, a na téj podstawie skreślony dziennik ułatwi jéj w przyszłości pomyślne kierowanie dalszém ich wychowaniem.

---

Powszechnie dzielą pierwszy rok życia dziecięcego na cztery epoki, obejmujące po trzy miesiące czasu, z których każda ma osobną charakterystykę. I tak twierdzą, iż w pierwszym kwartale dziecię jeszcze nic nie pojmuje, w drugim poczyna się uśmiechać, w trze-

---

(1) Charles Darwin, w kwartalniku naukowym „Mind“ z roku 1877.

Berthold Sigismund: Kind und Welt, r. 1878, wyd. 3-cie.

Dr. Karl Oppel: Das Buch der Eltern, r. 1877.

Dr. G. A. Riecke: Buch für Mütter über die wichtigsten Fragen der Kinder-Erziehung, r. 1878.

Therese Oeser: Ueber praktische Kinder-Erziehung, r. 1874.

Fanny Marechal. Rathgeber bei der Erziehung der Kleinen insbesondere ihres Herzens. 1868.

cim podnosi się do siadania, w czwartym próbuje chodzić. Ogólna ta charakterystyka nie zupełnie odpowiada rzeczywistości, dla tego pominiemy ją i zwracać będziemy uwagę na chronologiczny rozwój sił dziecięcych, przypatrując się wszystkim nowym zdolnościom, jakie się w każdéj z tych epok ukazują. Moglibyśmy przegląd ten uczynić jeszcze i w inny sposób, śledząc wzrost każdéj zdolności, każdéj siły podczas całego niemowlęctwa. W tym wszakże razie niepodobna byłoby uniknąć powtarzania, jakkolwiek pod pewnym względem droga ta przedstawiałaby nam jaśniéj rozwój fizyczny i umysłowy dziecka.

Kwileniem wita dziecię świat; przechodzi bowiem z daleko wyższéj temperatury (28°R) do znacznie niższéj, a wrażenie, jakiego doznaje, jest takie samo, jak człowieka dorosłego, który znienacka wpada w wodę, co go również do krzyku pobudza. Już od pierwszego dnia ruchy dziecka *refleksyjne*, to jest nie zależące od jego woli, jako to: kichanie, odbijanie, krztuszenie się, kaszel, połykanie, ssanie, z największą odbywają dokładnością.

Przeciwnie zaś ruchy dowolne z początku wcale nie istnieją, późniéj zaś przez długi jeszcze czas są bardzo niezgrabne. W siedm dni po urodzeniu, dziecię łechtane pod podeszwę krzywi w ten sam sposób palce, jak i dorosły człowiek, a od pierwszego już dnia ssie z jak największą dokładnością. A wszakże ssanie jest bardzo zawikłanym procesem, dziecię bowiem musi szczelnie przyłożyć usteczka do piersi, języczek podnieść do góry, utworzyć próżnię, wciągnąć płyn z piersi macierzyńskiéj i przeprowadzać go w równych odstępach czasu do przełyku. Zaiste, gdybyśmy się tego uczyć mieli, to nauka ta długiego wymagałaby czasu. Najprzód obudza się w dziecku uczucie chłodu, potém uczucie ciepła i dotyku, jak to ma miejsce, skoro dziecię przystawioném zostaje do piersi macierzyńskiéj, wargami czuje jéj miękkość i ciepło. W tymże dniu rozwija się już smak, o czém przekonać się możemy, podawszy dziecku gorzkie lekarstwo.

Zwyczajnie w pierwszym już dniu dziecko otwiera oczki, doznane wrażenie musi być bardzo chaotyczne, podobne do tego, jakiego doświadczamy, gdy z ciemności nagle wchodzimy do salonu oświetlonego mnóstwem świec jarzących. Światło razi z początku dziecię; a olśnienie bywa przyczyną wielu ciężkich chorób ocznych, dla tego też od najdawniejszych czasów nowonarodzone dzieci trzymane bywają w pokojach przyciemnionych.

Już 9 dnia dziecię spoglądało na świecę, ale siła zmysłu wzrokowego nadzwyczaj wolno postępowała, tak iż dopiéro w 49 dniu

srebrny, błyszczący kutas zwrócił jego uwagę (1). Pomimo to jeszcze w dniu 70 nie umiało odróżnić odległości, gdyż nie zmieniało oczek, gdy nagle pionowo palec do nich zbliżano. Ztąd się okazuje, iż dziecię widzi w tym czasie wszystkie przedmioty jakby na jednéj płaszczyznie i nie ma żadnego wyobrażenia o perspektywie.

Zmysł słuchu późniéj obudza się, gdyż dopiéro w dniu 14 spostrzeżono, jak dziecię przymrużało oczki, przytém fałda przestrachu tworzyła się na jego czole, skoro usłyszało szelest, spowodowany uderzaniem pudełka mieszczącego w sobie cukierki. To samo zaś pudełko, opróżnione z cukierków, nie czyniło na niém żadnego niemiłego wrażenia. Pomimo to nie umiało odróżnić miejsca, zkąd głos pochodził.

Ruchy członków były bardzo niedokładne i odbywały się sporadycznie, wyjąwszy ruchu rąk, które już w 40-tym dniu zbliżało dziecię do usteczek. W 77-ym dniu chwyciło ono prawą ręką za flaszeczkę z mlekiem, którém po części je karmiono, a w żaden sposób nie dało się nakłonić do uczynienia tego ręką lewą. Dopiéro w siedm dni późniéj złapało lewą ręką za flaszkę, a ztąd się pokazuje, iż o cały tydzień prawa ręka była lepiéj wykształcona niż lewa. Mając około 80 do 90 dni kładło wszystko do buzi, chociaż dosyć niezgrabnie, ale w dwa lub trzy tygodnie późniéj; czyniło to już z daleko większą zręcznością, jakkolwiek i wtedy jeszcze najprzód przybliżało przedmiot do noska, zanim natrafiło na usteczka, chwytało zaś tak niezgrabnie, iż własne jego paluszki przeszkadzały mu ssać, podawany sobie palec osoby dorosłéj. I dopiéro po stu czternastu dniach nabyło pod tym względem wprawy należytéj. Nauczyło się więc już chwytać, bo odtąd mu nigdy własna rączka nie stawała na zawadzie; ruchy rączki odbywały się już z pewnym zamiarem i wyprzedziły znacznie pod tym względem ruchy reszty ciała i nóżek, jakkolwiek bezcelowe ruchy nóżek już dawno przedtém odbywały się dosyć prawidłowo, gdyż dziecię podnosiło to jednę nóżkę, to drugą naprzemian, tak jak się to dzieje przy chodzeniu.

W pierwszych sześciu tygodniach niemowlę przepędzało większą część dnia na spaniu, a przebudzało je tylko uczucie głodu i chłodu, a tak wielką była jego senność, iż po nakarmieniu natychmiast znów zasypiało.

---

(1) Zdawałoby się to nieprawdopodobném, a wszakże z największą stanowczością zapewnia nas o tém Darwin. Być może, że nie wszystkie dzieci tak spiesznie zdolność tę okazują, lecz w każdym razie nie mamy prawa nie ufać tak wytrawnemu obserwatorowi, jakim jest badacz angielski.

Jakeśmy już wspomnieli, dziecię wszelkie niemiłe wrażenia cielesne objawia krzykiem, płaczem, którego odcienie są bardzo rozmaite. Trudno ująć je słowami, przecież doświadczone matki zapewniają, iż są one dla nich bardzo zrozumiałą mową i że inaczéj dziecię płacze kiedy jest głodne, inaczéj kiedy mu jest zimno, a inaczéj kiedy zaczyna grymasić. Głos dziecka z jego wzrostem wielkiéj ulega zmianie, tak dalece, iż znawcy z głosu jego umieją wiek oznaczyć.

W 42 dniu dziecię zaczęło się uśmiechać. Niektóre dzieci zaczynają to czynić we śnie, co ma pochodzić od kwasu żołądkowego, późniéj dopiéro śmieją się i na jawie, szczególniéj zaś kiedy starsze osoby z niemi gwarzą. W uśmiechu tym twarzyczka, dotąd obojętna, albo skrzywiona bólem, miłego nabiera wyrazu. Śmiech ten jest odbiciem uśmiechu osób dorosłych do tego stopnia, iż twierdzą ludzie doświadczeni, że dzieci uśmiechają się w ten sam sposób, jak się uśmiecha ich matka lub inna pielęgnująca osoba. Tak więc śmiech, jak kichanie i inne wstrząśnienia nerwowe, wywołane są wrodzonym popędem do naśladownictwa. Sprawdzić to możemy na sobie, gdyż na widok osoby upadającéj powstrzymujemy się, jak gdybyśmy upaść mieli.

Dziecię Darwina już w 45-tym lub 46-tym dniu zaczynało się uśmiechać, a bardzo wcześnie okazywało uczucie przychylności rzewnym płaczem przy odejściu ukochanéj osoby; płacz ten, za jéj powrotem, zamieniał się natychmiast w uśmiech radosny. Niezawodnie uczucie to jest mieszane i pochodzi po części z niejasnéj świadomości opuszczenia, osamotnienia.

Uśmiech ten dziecinny to pierwszy objaw wyższego jego duchowego życia, gdyż żadne zwierzę śmiać się nie umie; towarzyszy mu już gwarzenie, ale dziwną jest rzeczą, iż dziecię naśladuje wprzód kadencyą tonów niż głosy artykułowe (1).

Pod koniec pierwszego kwartału, zwyczajnie przed zaśnięciem, zaczyna niemowlę wymawiać pierwsze artykułowe głosy: *nia*, *ba*, *bu*, czasem *appa*, *anne;* a niekiedy dodaje do tego głos utworzony przez wibracyą języka. W tych sylabach zwykle poprzedza samogłoska, a najpierwszemi dźwiękami są kombinacye spółgłosek wargowych,

---

(1) Podobneż uczynił spostrzeżenie Berthold Sigismund i powiada, że czternastotygodniowemu niemowlęciu przyśpiewywał piosenkę, a po kilku powtórzeniach dziecię wtórować mu zaczęło. Po niewielu zaś dniach takiéj próby, samo ją sobie nuciło. Wkrótce też spostrzegł, iż dziecię naturalny swój dźwięk opiewało w kadencyach gamowych. Daléj wspomina, iż w czternastym tygodniu naśladowało kichanie, widać, iż odgłos ten bardzo je bawił.

w czém nie ma nic dziwnego, albowiem wargi najlepiéj są wykształcone ssaniem, najprędzéj téż służą do wydania głosu.

Przyjrzyjmy się dziecku w téj epoce jego wzrostu. Najbardziéj ma ukształcone rączki i nóżki, a te ostatnie są jakby utoczone. Szczególniéj nóżki z czasem bardzo się zmieniają i tracą na piękności swego kształtu, tak iż stopy dziecka jednorocznego są daleko mniéj zgrabne, niż nóżki sześciotygodniowego niemowlęcia. Tułów i członki wypełnione tłuszczem, ztąd téż zarysy ciała są miękkie i niewyraźne i nie widać wcale muszkułów, które dopiéro po 5-ciu lub 6 ciu latach bardziéj się uwydatniają. Szczególniéj wypełnione są tłuszczem lędźwie i łydki, a w przeciągu 6-ciu do 8-miu miesięcy ciało zdwaja swą wagę. Ze wszystkich członków główka najwcześniéj otrzymuje właściwą formę, co ztąd pochodzi, iż czaszka najprędzéj przybiera stałą postać. Pierwsze ciemne włoski ustępują miejsca nowym, jaśniejszym. Skóra zaczyna się łuszczyć i traci stopniowo kolor różowy. Jedną z najbardziéj zmiennych części jest twarz dziecięcia, z powodu nienależytego wykształcenia szczęk. Ztąd téż górna część twarzy wydatniejszą jest niż dolna. Najmniejszéj zaś ulegają zmianie: oko, ucho i podbródek, dla tego téż podobieństwa dzieci do rodziców należy teraz upatrywać przeważnie w tych częściach. Dzieci szczupłe, chorowite bardziéj uderzające okazują podobieństwo do swych rodziców, niż tłuścioszki, albowiem kosteczki ich, główna podstawa podobieństwa mniéj są pokryte tłuszczem. Po urodzeniu tęczówka bywa ciemną i dopiéro późniéj jaśniejszéj nabiera barwy i tak ciemnobłękitna zmienia się na jasno-niebieską, zielonkowatą albo nawet siwawą; piwna zaś i czarna zatrzymuje i nadal swój kolor. Białko przez długi czas, to jest mniéj więcéj przez 16 tygodni jest niebieskawe i stopniowo dopiéro bieleje. Największéj zmianie ulega kształt nosa, który u wszystkich niemal dzieci jest spłaszczony, przytępiony, pomimo to u dzieci, których rodzice posiadali nos orli, spostrzegać się daje wcześnie garb dosyć wydatny. Musimy wreszcie nadmienić, iż chociaż nos tak mało jest z początku rozwinięty, to wszakże u wielu ludzi nie bardzo się zmienia.

Pod koniec 3-go miesiąca dziecię już znacznie mniéj sypia, niż dawniéj, może poruszać okiem i rączką, przypatruje się i chwyta, ale jeszcze niedokładnie słyszy. Budzi się w nim świadomość istnienia świata zewnętrznego, a oprócz piersi swéj matki i własnych rączek zaczyna poznawać i inne przedmioty. Tak więc rozwój dziecka pozostaje jeszcze na wysokości rozwoju zwierząt, a sympatya tylko okazująca się uśmiechem przekonywa, iż istota ta zajmie kiedyś wyższy szczebel w szeregu stworzeń żyjących.

Zapewniano nas wszakże, iż dziewczątka daleko szybciéj się rozwijają; tak np. pewna dziewczynka miała już w 5-tym tygodniu z zajęciem przypatrywać się bukietowi kwiatów, w 8-ym poznawać miała głos własnéj matki. Oprócz tego wiele jeszcze innych istnieje faktów, zdających się popierać to twierdzenie, iż rozwój dziewcząt postępuje prędzéj niż chłopców.

Kiedy dziecię miało 4 miesiące bardzo często z wielką uwagą przypatrywało się swym rączkom lub téż innym przedmiotom, przyczém, zwracając źrenice na wewnątrz, jakby zyzem patrzało.

W 132 dniu zaczęło chwytać każdy przedmiot oddalony na długość rączki, co wszakże nie zawsze mu się udawało (1).

Jakkolwiek w tym czasie nie powiększa się zasób mowy dziecka, to godném jest uwagi, iż pod koniec pierwszego półrocza dzieci wydają właściwy sobie okrzyk radości, wywijając jednocześnie nóżkami i rączkami. Głos ten porównać można do wybryków dobrego humoru, wynikających z nadmiaru siły. Taka głośna wesołość okazuje się szczególniéj przy świetle, skoro posadzimy dziecię na stole, podpierając jego plecy. W tym téż czasie największą radość sprawia dziecku gniecenie i roztwieranie papiéru. Czynność ta robi mu wielką przyjemność, gdyż materyał giętki łatwo zmienia formę, dając dziecku sposobność doświadczenia swéj siły. Niemowlę chwyta téż już za biczyk, jakkolwiek włada nim bardzo niezgrabnie.

Wspominaliśmy już powyżéj o uśmiechu dziecka. Teraz zaś dziecię śmieje się do swego obrazu spostrzeganego w zwierciadle i rozumie już, iż przedmiot a obraz jego są dwie rzeczy różne, czego nie pojmują dorośli dzicy ludzie, po raz pierwszy w niém się przyglądający. Podobnież dziecię raduje się na widok swego rówieśnika i uśmiecha się do niego; jest to więc pierwszy objaw towarzyskości, którą téż spostrzegamy u istot niższego gatunku jak u piesków i kotków.

Już w 5-tym miesiącu dały się widzieć w niemowlęciu pierwsze ślady kojarzenia wyobrażeń. I tak, nie chciało przyjmować flaszki z mlékiem od matki, jakkolwiek z chęcią przyjmowało ją od piastunki. Widać, iż przypominało sobie, że matka własną piersią je karmiła. Daléj gniewało się skoro po włożeniu mu płaszczyka i kapelusza nie wynoszono go natychmiast na powietrze. Wkrótce potem odwracało główkę do swéj niańki, ilekroć usłyszało jéj imię

---

(1) Dziwna pod tym względem zachodziła zgodność w obserwacyach Darwina i Sigismunda, gdyż chłopczyk, obserwowany przez tego ostatniego, w 133-m dniu wyciągał rączkę do przedmiotów a według sprawozdania pewnéj matki, przezeń cytowanego, dziewczynka miała to już czynić w 63-im dniu.

i wstrząsało główką gdy mu coś rozkazano (1). Niebawem rozszerzył się zakres tego kojarzenia wyobrażeń i to z nadzwyczajną szybkością. Gdy je proszono o całuska, wystawiało buzię i okazywało niezadowolenie na widok brudu i nieporządku, wymawiało swoje imię, ujrzawszy się w zwierciadle, pojmowało jakoby jakimś cudem, iż przedmiot rzucający cień na ścianę za nim się znajduje. Jakież przeciwieństwo, woła Darwin, istnieje pomiędzy pojętnością dziecka a pojętnością szczupaka, obserwowanego przez prof. Moebiusa (2).

Około tego czasu, to jest pod koniec pierwszego półrocza, dziecię zaczyna jaśniéj spostrzegać, o czém możemy się przekonać, gdyż skoro je przeniesiemy do innego pokoju, zwraca główkę na przedmioty, odznaczające się barwą lub niezwykłą postacią. Znacznie się téż udoskonalił zmysł słuchu, teraz służy mu już do rozpoznania osób rozmawiających.

W téj epoce nauczyło się dziecię siedziéć o własnéj sile, a to pomiędzy 17—26 tygodniem. Przyjmuje ono po większéj części położenie człowieka ze snu przebudzonego, który będąc na w pół we śnie, na w pół na jawie traci swój środek ciężkości i napowrót upada. Nóżki nabierają większéj siły, a dziecię przytrzymywane pod paszkami podnosi je i zgina na przemiany, jak gdyby chodziło.

W drugiém półroczu zaczyna się dziecię przyzwyczajać do używania rozmaitych pokarmów, co tém jest konieczniejsze, iż wkrótce ma nastąpić epoka odstawienia od piersi macierzyńskiéj. Ponieważ zaś wszelkie nagłe odzwyczajenie jest zbyt przykre, przeto pomału należy postępować i stopniowo zmniejszać ilość pokarmu, jakie dziecię otrzymuje od matki. Każdy nowy posiłek przyjmuje dziecię z pewném niedowierzaniem, zupełnie tak jak my dorośli, kiedy nam zastawią nieznaną potrawę.

W 3-cim kwartale nie budzi się żadna nowa siła w umyśle dziecka, ale dotychczasowe zdolności daleko szybciéj się rozwijają, i w przeciągu jednego tygodnia czyni ono teraz większy postęp

---

(1) Chłopczyk Sigismunda w 30-ym tygodniu znał już trzy osoby: rodziców i piastunkę. Dziewczynka zaś już w 8-ym tygodniu nie chciała iść do nowo przyjętej mamki, a miała płakać, kiedy obcy ludzie do niéj się zbliżali. Chłopczyk zaś w tym czasie spoglądał na ojca albo z zupełną obojętnością, albo też na widok jego radował się, a za przybyciem obcych okazywał bojaźń.

(2) W dość wielkiém naczyniu, podzieloném na dwa szybą odgraniczone oddziały, pomieszczono z jednéj strony szczupaka, a z drugiéj małe rybki. Szczupak, nie pojmując przeszkody, otwierał paszczę, ilekroć rybki dotykały szyby. Czynił to, ustawicznie przez parę miesięcy, wreszcie przekonawszy się o bezskuteczności swych usiłowań, zaniechał zupełnie napadu, nawet i wtedy, gdy je pomieszczono w jedném, wspólném z rybkami akwaryum.

w chodzeniu, aniżeli poprzednio w przeciągu całego miesiąca. Zręczniéj téż bierze, chwyta,-łapie rączką i z większą zręcznością w niéj przedmiot utrzymuje. Nabrało już pewnéj wprawy w śledzeniu ruchu, dla tego téż ruch ma dla niego powab szczególniejszy. Chociaż bowiem już na początku pierwszego kwartału dziecię spoglądało na świecę, a wreszcie posunęło swe obserwacye aż do przypatrywania się błyszczącemu kutasowi, pomimo to długo jeszcze nie spostrzegło przedmiotów w ruchu zostających. Dopiéro téż w połowie trzeciego kwartału, bo według Darwina po upływie 7-go miesiąca, śledziło ruchy wahadła, ale i to bardzo niedokładnie. Teraz już całemi godzinami przypatruje sie zegarowi, piłeczce lub kluczowi, uwiązanym na sznurku. Lubi pluskać się w wodzie, gdyż ten łatwo zmienny materyał bardziéj jeszcze ulega jego woli niż papiér. Co do zabawy dzieci tak w tym wieku, jak i w późniejszym, można uczynić uwagę, iż w ogóle bawią się one, albo doświadczając przedmiotów świata zewnętrznego w podobny sposób jak badacz przyrody; albo naśladując czynność doroślejszych osób; albo wreszcie wesołość ich, ich figle są naturalnym wynikiem nadmiaru sił żywotnych.

W tym téż czasie dziecię usiłuje stanąć o własnéj mocy, chwytając się ubioru swéj piastunki, stołeczka lub innych przedmiotów. Skoro zaś uda mu się stanąć bez pomocy drugiéj osoby, wydaje okrzyk radości ze swego zwycięztwa. Sypia téż jeszcze mniéj niż dawniéj i nie tak twardo, ale największą przyjemność sprawia mu jadło, a zabawa jest dopiéro na drugim planie: dla zabawy nie zapomina o jadle. Zdolność słuchu bardziéj się jeszcze wzmaga. Zaczyna téż odróżniać dźwięki i z zajęciem przypatruje się zegarowi bijącemu godzinę, a chce wyjrzéć przez okno, gdy usłyszy szczekającego pieska. Zdolność tę okazują daleko wcześniéj zwierzęta czworo-nożne, zwracając oczy w tę stronę zkąd głos pochodzi. Z tego to powodu dzieci radośnie skaczą na odgłos muzyki, na kolanach piastunki. Wybitną téż cechą trzeciego kwartału jest niemal swawolna wesołość i popęd do towarzyskości. Jakoż wszystkie dzieci tego wieku lubią towarzystwo, a pozostawione samym sobie są ponure, jakoby niezadowolone, i zawsze okazują radość okrzykiem na widok zbliżającéj się osoby. Dziwna rzecz wszakże, iż towarzyskość swą ograniczają do osób starszych, a dla swych rówieśników są zupełnie obojętne. Pod tym względem stoją wyżéj małe kotki i pieski, które całemi godzinami z sobą się bawią. Niemowlę zaś jakoby przeczuwając potrzebę opieki dorosłych bardziéj ich ceni niż swoich rówieśników. Teraz nachylało dziecię już główkę dla prędszego uchwycenia podawanéj sobie łyżeczki z jadłem (dziewczynka miała to już uczynić w 14-tym tygodniu). Umiejętniéj téż już chwyta wszystko, co tylko rączką do-

sięgnąć może, ale właściwie mówiąc, chwyta nietylko rączką, ale i swoim małym rozumkiem; jest to więc epoka zmyślności lub początkującego pojmowania.

W tym czasie dziecko okazało następny dowód zmyślności. Wsadzone do wanny chciało się podnieść, ale ponieważ brzeg był za wysoki, nie miało się więc za co chwycić i upadło niedaleko antaby, znajdującéj się wewnątrz wanny poniżéj brzegu i teraz dopiéro przy jéj pomocy powstało na swych nóżkach. Zdarzenie to, możnaby uważać za czysto przypadkowe, gdyby nie ta okoliczność, iż po kilku dniach znów będąc w kąpieli przysunęło się do antaby i powstało przy jéj pomocy. Widać więc, iż uczyniło to z zamiarem.

Przechodzimy teraz do kwartału czwartego. Jak niepodobna oznaczyć stałego następstwa i powstawania jednych sił po drugich, tak również niepodobna określić epoki, w któréj dzieci chodzić zaczynają. Jedne zaczynają chodzić już w 32-gim tygodniu; inne znacznie późniéj, a są i takie, które téj sztuki nabywają dopiéro w połowie drugiego roku. Jakkolwiek zwyczajnie mowa wyprzedza chód dziecka, to często dzieje się odwrotnie.

Przypatrzmy się teraz dziecku usiłującemu pełzać. Nachyla ono ciałko i wyciąga rączkę zwyczajnie w zamiarze uchwycenia nie daleko leżącego przedmiotu, lecz traci równowagę i upada na podłogę, a upadłszy wyciąga rączkę i przekonywa się, że teraz z łatwością dosięgnąć go zdoła. Wkrótce czyni ponowną próbę, ale już z zamiarem; naumyślnie się tedy nachyla i wyciąga rączkę, opierając się na trzech kończynach. Jeśli i teraz dosięgnąć przedmiotu nie zdoła, to podnosi prawą rączkę i lewą nogę i opuszcza je na ziemię, poczém czyni toż samo z drugiemi kończynami. Czasem dziecię pełza wstecz, ale dzieje się to zwyczajnie tylko dla uwolnienia nóżki zaplątanéj w sukience. Zaczynając pełzać, trzyma główkę na dół pochyloną i dopiéro, uderzywszy się kilkakrotnie o przedmiot niespostrzeżony, przyzwyczaja się do spoglądania przed siebie i podnoszenia główki. Uczyniono uwagę, iż pełzające dzieci prędzéj uczą się chodzić, aniżeli czołgające, co pochodzi z bardziéj wykształconych mięśni nożnych u pierwszych. Taż sama pobudka, która podniecila dziecię do pełzania, zachęca je do chodzenia o własnéj sile.

Jak wspomnieliśmy, dzieci uczące się chodzić ułatwiają sobie tę czynność opieraniem się o sprzęty, jak: krzesła, kanapę i t. d. wreszcie chcą chwycić przedmiot niedaleko leżący, puszczają tedy. jednę rączkę, aby nią ująć przedmiot pożądany, a przekonawszy się, że i bez jéj pomocy chodzić są zdolne, czynią toż samo i z drugą: i oto początek chodzenia o własnéj sile. Spojrzyjmy wówczas na twarz dziecięcia, a ujrzymy na niéj wyraz zdumienia, okazujący nam,

iż samo dziecię dziwi się swéj śmiałości. Jednak nie zupełnie ufając swéj sile, czyni jeszcze kilka kroków naprzód, poczém gwałtownie siada. Nie trzeba sądzić, iżby dziecię po pierwszéj próbie chodzenia nie wracało już do pełzania i czołgania, owszem zwyczajnie przez niejakiś czas czyni pauzę w chodzeniu i używa dawnego sposobu zmiany miejsca. Podczas ponownéj próby chodzenia malują się na twarzyczce dziecka dwa uczucia: ostrożność i siła postanowienia. Przysuwa ono jednę nóżkę do drugiéj i jednocześnie wyciąga rączki, albo przynajmniéj jednę dla utrzymania potrzebnéj równowagi. A powodem téj drugiéj jego podróży bywa również przedmiot w pobliżu się znajdujący. Zwykle radosny okrzyk matki pozbawia go siły i przyprawia o upadek. Możnaby upatrzéć pewną analogią pomiędzy temi pierwszemi krokami dziecka a młodemi talentami, których także oklaski pozbawiają siły.

Z początku ten chód jest bardzo nie pewny, wahający się, lecz stopniowo nabiera większéj pewności, mocy i zamienia się w przyzwyczajenie, nie wymagające żadnego udziału woli.

W tym téż czasie rączki nabierają nowéj zdolności zanoszenia jadła do ustek, a więc bez obcéj już pomocy dziecię nasycić się zdoła.

Datąd rozwój cielesny dziecka odbywał się niemal równolegle z rozwojem niższych istot, zwierząt czworo-nożnych; lecz chwila, w któréj o własnéj sile, z główką podniesioną do góry postępować zaczyna, jest owym punktem, w którym i rozwój jego cielesny wyższy bierze kierunek. Albowiem nawet i małpa nigdy nie zdoła się obyć bez podpory, a pomimo to trzyma się pochyło nie tak jak człowiek.

Podobnież niejednostajnie jak zdolność chodzenia rozwija się i zdolność mowy.

Jedne dzieci, a to przeważnie dziewczynki prędzéj mówią, niż chodzą.

Bardzo był szczupły dotychczasowy zakres mowy dziecka, dopiéro bowiem w 22-gim tygodniu odważyło się ono na wymówienie artykułowego wyrazu, chociaż dokładnie już rozumiało znaczenie 20 wyrazów. Częstokroć się zdarza, iż pierwszym wyrazem, wymówionym przez dziecię, nie jest ani: mama, ani papa, ustawicznie niemal obijający się o uszy, lecz zupełnie inny, jakby podsłuchany, który mu się daleko lepiéj podoba (1). W ogóle dzieci opuszczają tru-

---

(1) I tak np. chłopczyk Sigismunda powtórzył najprzód końcowe dźwięki wyrazu, jakim piekarz obwoływał po mieście swój towar t. j. etzel (Bretzel).

dniejsze spółgłoski i wymawiają tylko samogłoski z łatwiejszemi spółgłoskami i tak zamiast tato mówią: ato.

W 17-ym tygodniu dziecię przestało gwarzyć i wymawiało końcowe sylaby słyszanéj mowy. Zwyczajnie jakby za jednym pędem wygłaszało kilkanaście takich dźwięków, poczém się zatrzymywało jakby dla nabrania tchu. Dźwięki te w ogóle podobne są do dźwięków, jakich używają dzicy mieszkańcy wysp oceanu Spokojnego: ta, tu, pa, pe, i, ti, i t. d.

Skoro już dziecię zacznie wymawiać całe wyrazy, to pospolicie najpierwszemi wyrazami są: papa, mama, jako téż imiona osób je pielęgnujących i tych, które najczęściéj widzi, jak Józia, Kasia, daléj nazwy pokarmów jak: mléko, bułka, mięso, cukier, wreszcie nazwy przedmiotów służących do ubioru. Następnie idą nazwy zwierząt, a nakoniec wyrazy: ulica, spacer i t. d.

Szczególniéj lubi dziecię wyrazy składające się z dwóch jednakowych brzmień, jak: papa, mama, mlimli, ciucia i t. d. Podobną predylekcyą mają i dzicy mieszkańcy, wspomnianych powyżéj okolic. Nie wiadomo zkąd to pochodzi, czy ztąd, że dziecię, któremu się udało wymówić pewną sylabę, radując się ze swego nabytku, powtórnie ją wygłasza, czy téż ztąd, iż rym powstający z tych samych sylab tak wielką sprawia mu przyjemność. Cały zasób wyrazów składa się z rzeczowników i przysłówków miejsca, a zaimka ty, używa dziecię tylko jako groźby lub wykrzyknika, zaimkiem zaś mój posiłkuje się już dziecię, zaledwie dwunastu władające wyrazami. Czyż nie powinno to przekonywać o głęboko wkorzenionym pojęciu własności, tém bardziéj, iż dzieci w tym wieku nieraz zacięty wiodą spór o to, co uważają za swoje.

Ilekroć dziecię wymawia wyraz, wyjąwszy wtedy kiedy gwarzy, wymawia go nie bez celu, bo chce posiadać przedmiot, jaki nim oznaczyło. Dziecię, umiejące do dwudziestu wyrazów, zaczyna używać już słów, lecz tylko w trybie bezokolicznym, bo w takiéj tylko formie je słyszy, jak np. chodź spać, będziemy teraz jeść; dziecię zaś wymawia tylko te wyrazy, na które pada nacisk, a daléj powtarza słyszane dźwięki naśladowcze jak: buch, bęc, hop i t. d. Wreszcie nie samo kiwnięcie lub wstrząśnięcie główką, lecz przysłówki: tak i nie wyrażają jego zezwolenie lub niezgadzanie się. Przymiotniki dopiéro później wchodzą w zakres jego mowy, nie tak z powodu trudności wymowy, jak raczéj, iż oddzielenie przymiotu od rzeczy należy do zawilszych działań umysłowych.

Teraz następuje wykłucie się pierwszych zębów, w skutek czego znacznie się zmienia twarzyczka dziecka. Szczęki nabierają wydatności, a wyraz twarzy jest już bardziéj wybitny i nie tak miękki

jak poprzednio. We wzroku przegląda już rozumna duszyczka, pomimo to, dziecię wyniesione na świeże powietrze wlepia swe oczki w jeden tylko przedmiot, jak gdyby długiego potrzebowało czasu do jego poznania. W domu zaś przeważnie przypatruje się przedmiotom ulubionym, jak: matce, ojcu, piastunce, księżycowi, ulicy i t. d. i takowe właściwém nazywa mianem. To ustawiczne przypatrywanie się dziecka przedmiotom jest pierwszym objawem jego siły obserwacyjnéj. Chce ono bliżéj poznać przedmiot i zaspokoić swą ciekawość. Główną więc pobudką, przyśpieszającą rozwój umysłowy dziecka, jest ciekawość i chęć naśladownictwa, chociaż właściwie nie należałoby téj pobudki nazywać ciekawością. Ktokolwiek bliżéj obserwował, z jak natężoną uwagą i zamyśloną minką przyglądają się dzieci wszystkiemu, co po raz pierwszy zobaczą, jak się cieszą, kiedy im się uda zrozumiéć to, czego dotąd nie rozumiały; ten niezawodnie zjawisko to duchowe nazwie żądzą wiedzy. Wielką zaiste sprawia przyjemność przyglądanie się téj kiełkującéj myśli w duszy dziecięcéj, kiedy dziecię jest zamyślone, lub całym wysiłkiem swéj duszy stara się naśladować ruchy lub głosy słyszane.

W tym téż kwartale dziecię weseli się już daleko swobodniéj, czując swą siłę; swawoli sobie na kanapie, podnosi się i staje, macha rączkami, a nie zważa na przypadkowe uderzenia i guzy. Wszystko zaś, czego rączką dosięgnie, w zbytku swawoli, rzuca na ziemię. Jest ono poniekąd podobne do młodzieńca, który, w nadmiarze siły żywotnéj, wywija po ulicy laską, lub nocną porą wracając do domu hałasuje i śpiewa, nie zważając na spoczynek innych. Obok radości widocznym jest w dzieciach tego wieku i przestrach. Dziewczynka w 14-ym tygodniu swego życia bała się psa i kota, a chłopczyk mając rok jeden nachylał główkę, ilekroć przechodził koło młyna, jakoby dla uniknięcia grożącego mu niebezpieczeństwa. Wkrótce potém przestraszył się szelestu słomy w sienniku umieszczonéj pod materacykiem, na którym się przewracał.

Jak powyżéj powiedzieliśmy, pierwsze wrażenia przestrachu otrzymuje dziecię za pośrednictwem słuchu, tak téż i teraz błyskawica nigdy go nie przestraszała, owszem z pewném zadowoleniem jéj się przypatrywało, ale za to grzmot czynił na nim niemiłe wrażenie. Lecz nietylko grzmotu lękają się dzieci, obawiają się nawet niezwykłego lub groźnego organu mowy i zaraz usteczka do płaczu ściągają. Wszakże i nadzwyczajne wrażenia wzrokowe mogą wzniecić obawę w dziecku. I tak np. maska na twarzy dorosłéj osoby; taż sama maska, podana w rękę dziecku, wcale go nie przestraszała. Podobne zjawisko okazują téż psy, konie i inne zwierzęta; niezwyczajna postać przestrasza je również.

Z końcem pierwszego roku życia przewyższa niemowlę wszystkie niższe istoty, nietylko pod względem umysłowym, lecz także i pod względem cielesnym. Ciałko jego teraz trzy razy więcéj waży niż przy urodzeniu, a porusza niém w sposób bardzo swobodny i pewny. Biegłość ta w ruchach zależy bardziéj od wzrostu jego duchowego niż cielesnego.

Przedstawiliśmy w ten sposób, o ile możności, szczegółowy rozwój dziecka pod względem fizycznym i umysłowym w pierwszych czterech kwartałach. Niepodobna nam tego uczynić w następnéj epoce, aż do połowy roku 3-go, a to z powodu tłumnie gromadzących się zjawisk.

I botanik bowiem, lub ogrodnik, z łatwością zaznaczy ukazanie się pierwszych pączków, wzrost ich i chwilę rozwinięcia, ale nie będzie już mógł z tąż samą drobiazgowością śledzić wrostu każdego listka, skoro całe drzewko zaczyna się niemi pokrywać. Przegląd nasz rozpoczynamy od zdolności umysłowych dziecka.

Jakkolwiek dziecię już chodzi daleko pewniéj niż poprzednio, to wszakże umié tylko chodzić po bardzo równéj powierzchni, a wszelka nierówność pozbawia go równowagi, gdyż nie podnosi jeszcze nóżek, lecz je tylko posuwa; skoro zatém nóżka trafi na dołek lub górkę, zmienia się środek ciężkości i dziecię upada. Przecież po kilkunastu niefortunnych próbach, nabiera większéj wprawy, a teraz przechadzka po ścieżkach ogrodu idzie mu już z łatwością. Pokonawszy tę trudność, dziecię chce przemódz drugą i stara się przejść próg. Trzyma się jedną rączką ramy drzwi, z ostrożnością podnosi nóżkę i stawia ją za progiem. Postęp to już wielki, aż wreszcie po kilkunastu próbach, spiesząc się naprzykład za osobą wychodzącą, już bez opierania się o ramę, przez próg przechodzi. Następnie odważa się na czyn daleko śmielszy, bo usiłuje wejść na schodki znajdujące się w mieszkaniu. Wtedy podobne jest do podróżnego, który po wielu trudach wdrapał się na wysoką górę. Schodzenie ze schodów przyprawia dziecię o zawrót głowy i dopiéro po dłuższym czasie próby pozbywa się malec tak przykrego uczucia.

Pomimo tego postępu trudno dzieci przyzwyczaić do przejścia małéj kałuży i zwyczajnie wolą w niéj brodzić niż ją przestąpić. Zdaje się, iż przyczyną tego nie jest opieszałość, lecz niepewność, czy zdołają tak wielki krok uczynić. Łatwiéj już im przychodzi przyspieszyć kroku, i dla tego téż wiele dzieci, chcąc czémprędzéj stanąć u celu, zaczynają biedz kłusem, lecz zbytecznie pochylając główkę, przed dojściem do mety upadają na ziemię.

Rączki i nóżki nabrały już teraz znacznéj wprawy. Rączkami dziecię nie tylko umié już chwytać, brać, lecz nauczyło się i rozrywać. Chwyta tedy i rozrywa to prawą, to lewą rączką i dopiéro po upływie dwóch lat daje pierwszeństwo ręce prawéj (1). Bawi się więc jednocześnie obu rączkami, ale zwyczajna zabawa, piłeczka, ma zbyt jednostajną postać, i dla tego przekłada nad nią przedmioty rozmaitego kształtu, rozmaitéj wielkości. Najchętniéj się téż bawi pudełkami, szkatułkami, których otwieranie i zamykanie sprawia mu wielką radość; na nich to bowiem uczy się poznawać wnętrze rzeczy.

Najulubieńszą zabawką dzieci w tym czasie jest rzucanie, za co z zupełną niesłusznością otrzymują połajankę, gdyż chcą się tym sposobem przekonać o swéj sile, a jak dorosły młodzieniec, stojąc nad rzeką, lub na skale, rzuca kamień, aby się dowiedziéć jak daleko siła jego sięga, tak i dzieci próbują swéj mocy.

Teraz uczy się już dziecię wypluwać, co z początku z wielką przychodzi mu trudnością, szczególniéj przy nagromadzeniu dosyć wielkiéj ilości śliny (2). W tym téż czasie dziecię chwytało rączkami szklankę, którą mu podawano, i zanosiło ją do usteczek. Odtąd już nie wolno było piastunce dopomagać mu w téj czynności.

Już nie sama podłoga lub ziemia służyła dziecięciu za miejsce wypoczynku, lecz stołeczek łub krzesło. Pomału zbliżało się do stołeczka, a stanąwszy w jego pobliżu, obracało się tyłem i poczuwszy nóżkami brzeg jego, schylało się i usiadło. Z początku bardzo mu trudno przychodziło utrzymać się w téj postawie. Skoro zaś usiadło, widać było radość na jego twarzyczce i wesołość swoję wyrażało bujaniem nóżkami. Zadowolnienie dziecka było zupełnie słuszne, albowiem pozycya siedzącego Europejczyka piękniejsze sprawia wrażenie, niż dzikiego, lub siedzącego na sposób wschodni. Wszakże z niéj daleko łatwiejsze jest przejście do stania, chodzenia, działania; wystawmy sobie Jowisza Olimpijskiego, siedzącego nie na tronie z kości słoniowéj, lecz w kucki, a będziemy mieli jakieś obrzydłe bożyszcze w miejsce bożka ludu, najwyżéj pod względem estetycznym ukształconego.

Wszystkie dzieci tego wieku, tak chłopczyki jak dziewczęta, lubią jechać, czy na kolanach, czy choćby na drewnianym koniku.

---

(1) Gdyby zaś i nadal dziecię chwytało wszystko lewą ręką, to łatwo temu zaradzić, zakończywszy rękaw lewéj ręki workiem, tym sposobem zmusimy je do używania ręki prawéj.

(2) Chłopczyk Sigismunda mając 19-cie miesięcy wyrzucał łupinę od agrestu.

Jest to niejako popęd wrodzony użycia sił naturalnych, które służą do zmniejszania przestrzeni i skrócenia czasu. Tak zaś zakorzenioną jest ta dążność panowania nad innemi istotami, iż dziecię bardzo samowolnie postępuje sobie z drewnianym swym konikiem, ciągnie go, kręci i zmusza do ruchów wymaganych. Niewłaściwie byłoby tu mówić o braku względności w postępowaniu ze zwierzętami. Na tym bowiem stopniu dziecię nie pojmuje jeszcze przykrości, jaką zwierzętom sprawić może.

Z kolei przypada pokonanie nowych trudności, to jest zapanowanie nad mięśniami odchodowemi. Dotąd mięśnie te nie ulegały bynajmniéj woli dziecka, i otwieranie ich następowało dla niego zupełnie bezwiednie, gdy przeciwnie wszystkie inne były posłuszne jego woli. Nie ma więc nic dziwnego, że zmuszenie do uległości woli dziecka tych nieokiełznanych dotąd części jego ciała z tak wielką przychodzi mu trudnością. Wszakże przy staranności dozorujących i tę trudność wkrótce pokona, jeśli przez pewien przeciąg czasu pielęgnujący będą je budzili we właściwéj porze w celu przypomnienia mu funkcyj naturalnych, które spełnić powinien. Późniéj już dziecię samém ciśnieniem na mięśnie, o których mowa, przebudzać się będzie. Tu więc przyzwyczajenie jak i w całém pierwotném wychowaniu odgrywa największą rolę. Niesłusznie utyskują na to, że jesteśmy niewolnikami przyzwyczajenia; przeciwnie jest to największém dla nas szczęściem, idzie tylko o to, żeby przyzwyczajenie to zawsze w kierunku naszego dobra fizycznego i umysłowego się odbywało.

Co się tyczy wrażeń zmysłowych, nabrały one już więcéj jasności i trwałości, a kiedy dawniéj podobne były do tych, jakie ma prostak wiejski będący po raz pierwszy w teatrze, to teraz są o wiele wybitniejsze, wyraźniejsze.

Ze wszystkich wszakże zmysłów w téj epoce, najczulszym jest smak, zkąd pochodzi, iż dziecię z wielką ciekawością zbliża się do każdéj nowéj potrawy, przecież najmilszemi wrażeniami są wrażenia słodyczy, a przyjąwszy kwasy, krzywi niemiłosiernie twarzyczkę, lecz i do nich pomału się przyzwyczaja. Podobnież się dzieje i z rzeczami gorzkawemi jak z piwem. Dziecię w tym czasie jest przeważnie smakoszem, i tylko ukazanie się miłéj sobie osoby wita głośniejszym radośnym okrzykiem, niż ciastko, gruszeczkę lub cukierek. Zmysł dotyku również jest już dosyć wykształcony, a dziecię w ciemności umiało rozróżnić przedmioty, które mu podawano jako to: jabłko, książkę, futro i tym podobne.

Wyższą téż już jest obecnie i czynność ucha; dziecię umie rozpoznać po głosie kilka dobrze znanych osób i zwierząt i lubi grać so-

bie na fujarce, trąbce lub bębenku. Huczna muzyka z początku je ogłusza, lecz spokojna, niewrzaskliwa melodya zawsze mu jest miłą.

Bystrzejszym wszakże jest wzrok, niż słuch. Dziecię pilniéj przygląda się rzeczom bliskim i z większém zrozumieniem spogląda na odległe, przecież nie daje pierwszeństwa jednéj barwie nad drugą (1). Rzeczywiście dzieci tego wieku nie rozróżniają jeszcze kolorów, choćbyśmy kilkakrotnie nazwy ich powtarzali. Czarny tylko kolor jest dla nich wstrętny i niemiły, bo zbyt jest ponury, lecz za to jak i dzicy przekładają świetne, jasne, błyszczące kolory, a widok różnobarwnemi przedmiotami zastawionéj wystawy sklepowéj zawsze pobudza je do zachwytu. Rozpoznają téż już z konturów same przedmioty. Dziecię bardzo lubiło przyglądać się rycinom, a niewymownie się radowało, skoro mu się udało odgadnąć ich znaczenie. Wymawiało ono z radością: dom, gdy spostrzegło jego obraz, jakkolwiek widok rzeczywistego domu był mu zupełnie obojętnym. Łatwo to sobie wytłómaczyć; nieraz widywało już dom, ale oglądanie jego czyniło mu pewną trudność, musiało bowiem zwracać wzrok to na prawo, to na lewo, tu zaś jednym rzutem oka cały obraz jego obejmowało. Zresztą rycina przedstawiała dla niego zagadkę, któréj rozwiązanie sprawiało mu pewną przyjemność, gdy przeciwnie dom nie miał dla niego nic nowego. Jakkolwiek pospolicie utrzymują, iż dzieci w tym wieku przekładają kolorowane obrazki nad niekolorowane, wszakże toż samo dziecię z tém samém zajęciem przyglądało się dwóm obrazkom, z których jeden przedstawiał domek malowany drugi—niemalowany; a ku wielkiemu zdziwieniu ojca odgadywało z samych zarysów przedmioty nawet rzadko widywane. Jeśli zaś przedmiot nie wyobrażał nic konkretnego, to nadawało mu pewne znaczenie i tak: kwadrat był dla niego karmelkiem, kółko—talerzem itd.

Wkrótce téż nauczyło się rozróżniać tak w rzeczywistości jak i na obrazkach, chłopczyków od dziewczynek, jakkolwiek ubiór ich nie przedstawiał wielkiéj różnicy. Dziwném jest także, jak dzieci

---

(1) Wspomniana już kilkakrotnie dziewczynka miała w 14-tym tygodniu swego życia okazywać wielką radość na widok różnobarwnych szmacików. Ciekawą byłoby rzeczą dokładniejsze poczynić obserwacye, czy rzeczywiście poczucie piękności o tyle wcześniéj rozbudza się w dziewczętach, niż w chłopcach. Żadnéj przecież nie ulega wątpliwości, iż chłopcy z niechęcią ubierają się, choćby w najładniejsze sukieneczki, gdy dziewczątka tegoż samego wieku z wewnętrznćm zadowoleniem przywdziewają nowe, ładne ubranie.

najdokładniejsze obrazki w swojéj fantazyi uzupełniają. Dla dziecka owal, dwie kropki i pionowa pomiędzy niemi linia przedstawiają już twarz, ale to jest także więcéj ujemną stroną umysłu dziecinnego, niżeli dodatnią, bo dziecię znając nie wiele przedmiotów zadawalnia się głównemi ich cechami, a o inne wcale nie dba.

W tym téż czasie daleko silniejszy jest popęd do naśladownictwa; dziecię z łatwością uczy się od piastunki podawać rączkę, dawać buzi, ściskać za szyję, podpierać się pod boki rączkami itd. a wkrótce téż bez nauki naśladuje czynności ojca, matki; chodzi z laską ojcowską, udaje, iż pali jego fajkę, pisze szyfrem na tablicy, lub piórem na stole, lecz czyni to, jak małpeczka (1). Warto tu zanotować następne zdarzenie. Dziecię mając 18-ie miesięcy zebrało drewienka i wióry i zaniosło je do drugiego pokoju, w którym się w piecu paliło, a przesunąwszy je przez otwarty szyber drzwiczek, z zadowoleniem na ojca się obejrzało. Jakaż to różnica pomiędzy dzieckiem w tym wieku a niższemi istotami. Wszystkie zwierzęta, jak wiadomo, boją się ognia, albo też na oślep weń biegną.

Co się tyczy zasobu wyrazów języka dziecięcego, to do części mowy dotąd używanych przybywają przymiotniki, z których najpierwszemi bywają: ładny i piękny, późniéj zaś dopiéro brzydki i zły, co zdaje się ztąd pochodzić, iż niemiły przedmiot zbyt wielkim przejmuje je wstrętem. Następnie już słownik dziecięcy dosyć prędko się wypełnia. Wszystkie wszakże wyrazy stają obok siebie luzem i nie służą jeszcze do wyrażenia całkowitéj myśli i tak: dziecię wymawiało już 6o wyrazów, a nie było jeszcze w stanie wypowiedzieć żadnego zdania. Częstokroć dziecku brakuje wyrazu na objawienie swéj myśli, gdyż minka jego podobnież bywa zakłopotaną, jak i nas dorosłych, gdy, jak to mówią, mamy na języku wyraz, a wymienić go nie możemy. Wtedy to jakoby gradem przesuwają się w myśli naszéj wyrazy, ale właściwego znaléźć nie jesteśmy w stanie. Toż samo dzieje się z dziecięciem, które dopiéro przy pomocy starszych otrzymuje wyraz upragniony. Dawniéj dziecię częstokroć powtarzało słyszaną melodyą, teraz zaś trudno je było do tego namówić; lecz za to z największą dokładnością starało sie powtarzać wyrazy z właściwym akcentem.

---

(1) Słusznie uczymy dzieci w tym czasie witać inne osoby, to bowiem pierwszy objaw sympatyi człowieka dla człowieka, dla tego zwykle towarzyszy tym wyrazom uśmiech.

Ciekawą byłoby rzeczą obliczyć przecięciowy zasób mowy dziecka w każdéj jego epoce u rozmaitych ludów, co rzuciłoby wielkie światło na stopień ich stosunkowego rozwoju.

Dzieci tego wieku mają dosyć bystrą pamięć, tak rzeczową, jak i wyrazową, ale bardzo niedokładną pamięć czasu i przestrzeni. Nietylko, że dziecko wniesione do pokoju zawsze zwracało oczy w tę stronę, gdzie stał przedmiot, który już dawniéj je zaciekawił, ale nadto, kiedy mu pokazano rycinę Humboldta i wymieniono nazwisko znakomitego człowieka, to po sześciu jeszcze tygodniach, ujrzawszy ją powtórnie, ku wielkiemu zdziwieniu ojca zawołał: Humboldt.

Do wyższych czynności umysłowych zaliczamy następujące zdarzenie, ojciec pokazał mu wypchanego cietrzewia i wymówił wyraz: ptak. W tejże chwili dziecię odwróciło się do pieca, na którym oddawna stała wypchana sowa i powtórzyło tenże sam wyraz. Widać ztąd, iż miało niejakie już pojęcie gatunku.

Równolegle z mową rozwijają się siły czysto umysłowe dziecka, jak: fantazya, pamięć, rozum itd. Jak bujną jest fantazya w dzieciach tego wieku za dowód może służyć to, iż kiedy miało 18-cie miesięcy piło z pustéj szklanki, poczém uśmiechało się i głaskało po brzuszku, jak gdyby coś smacznego wypiło, a dawało pić swemu konikowi porcelanowemu, chociaż nigdy dotąd nie widziało koni pijących. Całowało też i ściskało dzieci i zwierzęta na rycinach.

W téj epoce dziecię po większéj części tylko gromadzi wyobrażenia, których połączenie zostawia późniejszemu czasowi; nie tworzy wniosków, nie wyprowadza sądów w ściślejszém znaczeniu, chociaż pod pewnym względem kojarzy z sobą wyobrażenia, tyczące się przedmiotów sprawiających mu przyjemność.

I tak np. uśmiechało się dziecię, ilekroć ujrzało ojca wyciągającego szufladę, w któréj się znajdowało pudełko mieszczące słodycze. Wnioskowało bowiem, iż za otworzeniem szuflady musi koniecznie nastąpić udzielenie mu słodyczy, jak to już poprzednio bywało. Rozumiało ono już obietnicę, gdyż skoro mu obiecano cukierek czyniło to, o co go proszono. Musiało więc wyobrażać sobie, że za nastąpieniem jednéj rzeczy, nastąpi i druga. Kiedy miało 15-ie miesięcy, sparzyło sobie paluszek przy świecy i od tego czasu już więcéj go do niéj nie zbliżało. Widać, iż musiało sobie przypominać ból sprawiony sparzeniem. Podobne rozumowania spotykamy i u zwierząt jak np. u psa.

W 18-ym miesiącu życia dziecię otrzymało od ojca siano dla podania go owcy. Z zadziwieniem spoglądało jak zwierzę otworzyło

pysk i zjadło ofiarowaną sobie strawę. W kilka dni potém spostrzegło na drodze ptaszka, czémprędzéj urwało trawy i pobiegło do niego, podając ją do zjedzenia. Uczyniło tu błędny wniosek; tak owca, jak ptak poruszają się z miejsca na miejsce, a więc muszą tego samego używać pożywienia.

Kiedy dziecię miało 14 miesięcy, dla przekonania się o ile umié odróżniać wielkości podobnych rzeczy, położył mu ojciec najpiérw mały kawałek cukru, a skoro chwyciło go rączką, położył mu drugi większy; dziecię w téjże chwili rzuciło mniejszy a chwyciło rączką za większy. Wkrótce potém położył ojciec odrazu dwa kawałki: jeden mniejszy, drugi większy; tym razem oba objęło rączką i żadnego już nie puściło; widać ztąd, iż potrzebowało dłuższego zastanowienia, aby dojść do wniosku, iż oba jednocześnie posiadać może.

Jak powyżéj już wspomniana ciekawość pobudzała dziecię do bliższego przypatrywania się przedmiotom, tak teraz wyższy jéj stopień w połączeniu z nabytemi już elementarnemi pojęciami staje się powodem badania. Popęd ten okazuje się otwieraniem pudełek, szkatułek, zaglądaniem we wnętrze rzeczy, i jest podobny do studyum naturalisty badacza, niszczącego roślinę, kamień lub inny jaki okaz natury, aby z gruntu go poznać; ztąd to powstaje psucie zabawek i innych przedmiotów. I pod tym względem dziecię wyżéj stoi nad zwierzę, które nie posiada téj skłonności, a otwiera i przedziurawia przedmioty wtedy tylko, gdy w nich węszy lub domyśla się jadła, nie zaś z ciekawości.

Już z pierwszym dniem życia dziecię objawiło swą wolę, a to w celu pozbycia się przykrych wrażeń głodu, ściśnienia drobnych członeczków, wilgoci itd. Teraz wola jego jest już daleko silniejszą. Łatwiéj jeszcze dziecię ulega prawom natury; ale trudniéj prawu narzuconemu mu przez inne osoby. I tak np. dziecię bawi się kręglami i chce je postawić cienkim końcem na stole, próbuje raz, drugi, trzeci, może czwarty i dziesiąty, aż wreszcie zaprzestaje swych usiłowań, jak gdyby przekonało się, iż prawu natury nic oprzéć się nie zdoła.

Wkrótce potém chce zejść po schodach na dół i zabiéra się z całą odwagą do téj wyprawy, w tém starsi zmuszają je do powrotu; dziecię płacze, lamentuje, rozpacza, gdyż nie widzi słusznéj racyi tego przymusu, któremu wbrew swéj woli ulega, może téż jest przekonane, iż wyprawy téj z zupełném bezpieczeństwem dokonaćby potrafiło. Postępowanie dziecka jest zupełnie podobne do ptaszka, chcącego ulecić z pokoju i uderzającego kilkadziesiąt razy o szyby

okna, których istnienia nie przeczuwa i nie poznaje; ptaszek wreszcie po kilkudziesięciu bezskutecznych próbach ulega konieczności. Weźmy inne zdarzenie. Dziecię idzie z ojcem na przechadzkę, lecz nadchodzi godzina, w której ojciec musi wracać do domu, dziecię nie pojmuje téj konieczności, chciałoby jeszcze pobiegać, ucieka więc od ojca a ujęte tupie nóżkami, lub z płaczem powraca do domu. I cóż w tym postępowaniu dziecka widzimy zdrożnego. Wszak wyrażenie woli dziecięcéj, dziś tak energicznéj, jest tylko dalszym ciągiem rozwoju umysłu i uczucia. Jéśli zaś każdy z nas ulega bez szemrania konieczności, gdy więc zechcemy ulżyć sobie pracy wychowawczéj, niechaj wola nasza będzie dla dziecka taką koniecznością.

Oppel opowiada następujące zdarzenie. Dziecię dwuletnie bawiło się raz wieczorem; w tém wybiła godzina, o któréj się miało udać na spoczynek. Zbliża się do niego matka i powiada: Józio pójdzie teraz spać, już dosyć się bawił, zabaweczki włóżmy w pudełeczko, a mleczko już na stole, i to mówiąc zaczęła mateczka składać zabawki do pudełka. Ale Józio chciał się daléj jeszcze bawić i napowrót wyjmował składane zabawki. Mama przemawiała jeszcze, lecz nic to nie pomogło. Józio rozgniewał się i zaczął rzucać zabawki na ziemię, a kiedy go mama daléj zachęcała i chciała wziąć na ręce uciekł do kąta i zaczął płakać. Scena zakończyła się ustępstwem ze strony matki, a dziecko przeprowadziło swoję wolę. Lecz na drugi dzień spostrzegła matka, że źle postąpiła. O wyznaczonéj godzinie na spoczynek zbliżyła się do dziecka, i krótko powiedziawszy: teraz pora udać się do łóżeczka, wzięła malca na ręce, nie dając mu czasu do namysłu. Dziecię wyrywało się wprawdzie, ale to nic nie pomogło, mama silnie chwyciła rączęta dzieciny, szamotanie było niepodobném, a ściskanie rączek nie było bardzo miłém. Dziecię wkrótce się uspokoiło i zasnęło. Tak należy postępować w podobnych razach, gdzie posłuszeństwo uważane jest za konieczne. Lecz jest wiele innych zdarzeń, w których woli dziecka krępować nie należy. I tak np. gdy dziecię chciało włożyć paluszek do świecy; i cóż to szkodzi, że uczyni doświadczenie o cieple płomienia.

Nigdy nie należy okupywać woli dziecka, gdyż go to wprowadzi w błąd bardzo niemoralny, iż wolę jego kupić można, tak jak każdą inną rzecz, stosownie do wyrażenia jednego polityka, który twierdzi, iż wola każdego człowieka jest takim samym towarem, jak wszystko inne, tylko, że jéj cena bywa bardzo różna. Dla tego, dla zjednania sobie posłuszeństwa, krótki rozkaz, bez wielu słów, będzie najskuteczniejszy. Dziecię bowiem nie rozumie jeszcze, dla czego

obce słowa mają mieć więcéj wagi niżeli własne jego myśli, i to je gniewa i oburza. Nie należy przeto pozwolić na wzrost tego niemiłego w niém uczucia, ale czémprędzéj je przytłumić trzeba zmuszeniem dziecka do uległości. Dziecię, które wykonało rozkaz, nie myśli już o przykrości, jaką mu wykonanie sprawiło; w umyśle jego zaczynają się snuć wyobrażenia zwracające jego uwagę w inną stronę.

Częstokroć dzieci udają tylko, iż chcą przeprowadzić swą wolę i drażnią tém starszych, przekomarzając się z nimi. Tak np. dziecię, doświadczywszy gorącości płomienia, drażniło ojca udając, iż palec zbliża do świecy, poczém obracało się ku niemu z minką wyzywającą, jak gdyby chciało powiedzieć: chociaż zabroniłeś mi, nie zważam na twój zakaz. Zwracanie na niego uwagi pobudzało go do coraz większego drażnienia, aż wreszcie ojciec udał, iż tego nie spostrzega, a wtedy i dziecię przekomarzać się zaprzestało. Wskazówka to wielkiéj doniosłości, gdyż uczy, iż w pewnych razach pozorne niezważanie na dzieci więcéj znaczy, niż połajanka. Częstokroć niewłaściwie a energicznie występująca wola dziecka jest wynikiem przyzwyczajenia, za co odpowiedzialność spada na samych tylko wychowawców. Dziecię szło wesoło ze swą piastunką przez ćwierć godziny. W tém spotkawszy ojca zaczęło do niego wyciągać rączęta i płacząc domagało się, by je wziął na ręce. Nie było ono bynajmniéj znurzone, gdyż i dłuższe przechadzki raźnie odbywało ze swoją przewodniczką, lecz grymasiło tylko. Powodem tego był sam ojciec, który poprzednio, chcąc ulżyć malcowi, kilka razy brał go na ręce. Teraz usłużność ojca wzięło dziecię za obowiązek, za prawo sobie służące. W ten to sposób powstają serwituty, niesłuszne wymagania.

Temperament, owa atmosfera dziecinnego umysłu, jest bardzo zmienny; wszystkie dzieci są sangwinikami, dla tego też nastrój ich duszy przechodzi za najmniejszym podmuchem z jednéj ostateczności w drugą. Grymasy, owo pożądanie rzeczy jakiéjś i natychmiast następujące jéj odrzucanie, czemu towarzyszy zwyczajnie płacz, niezadowolenie, pochodzące już to z cielesnéj niedyspozycyi, już to z braku zmysłowych i umysłowych bodźców, należy wziąć pod szczególną uwagę. Dziecię w tym nastroju ducha, może instynktownie chcąc go się pozbyć, wymaga czegoś, sądząc, iż to je rozweseli. Tymczasem wkrótce się przekonywa, że tak wielce pożądanemu przedmiotowi brakuje siły zażegnywającéj jego zły humor, i dla tego też go z niechęcią odrzuca. Następnie w skutek kojarzenia wyobrażeń, przenosi żądanie swoje na inną rzecz i jéj teraz pragnie. Skoro zaś piastunka zadosyć uczyni temu nowemu jego życzeniu, poznaje, iż

i ten nowy przedmiot nie ma władzy jaką mu przypisywał i żąda jeszcze nowego lub nawet poprzedniego itd.

Zdaje się, iż w duszy dziecka następują też same procesy, co w duszy znudzonego samotnika, który, aby się rozerwać, otwiera książkę, lecz wkrótce ją porzuca, bo zbyt go nudzi; otwiera fortepian, uderza kilka taktów, ale znajduje, iż struny są tak rozstrojone, jak i dusza jego; od fortepianu przechodzi do okna, ale i okolica wydaje mu się bardzo monotonną i powiększa tylko jego wewnętrzne rozdrażnienie. W tym razie powinniśmy o ile możności starać się o przyniesienie ulgi duszy dziecka, aby takie chwilowe usposobienie nie zamieniło się na chroniczne. Głównym środkiem będzie postarać się o usunięcie niedomagania cielesnego, ponieważ zaś to nie da się uczynić w jednéj chwili, przeto należy mieć szczególnie zajmującą zabawkę, zdolną rozerwać dziecko w takiém jego melancholijném usposobieniu. Gdyby zaś grymasy były skutkiem rozpieszczenia, wygórowanego egoizmu dziecka, wtedy zostawić należy dziecię w samotności, a wkrótce się uspokoi. Wszakże i dorośli ludzie w rozdrażnieniu przenoszą swój gniew lub nudę na zupełnie niewinne osoby, a sami sobie zostawieni wkrótce przychodzą do przytomności, bo nie mają już kogo dręczyć. Dziecię (1) mając 20 miesięcy zaczęło ogromnie grymasić. Matka nie mogła mu niczém dogodzić. Posadziła wreszcie malca na środku podłogi i wyszła za drzwi, przyglądając się niepostrzeżenie z drugiego pokoju, co dziecię sobie pocznie. Z początku malec krzyczał jak opętany, miał bowiem gardziołko bardzo silne, lecz wkrótce płacz jego się uciszył, wreszcie umilkł zupełnie. Podniósł się z ziemi, zbliżył do zabawek i zaczął się z niemi bawić. Po upływie pół godziny weszli rodzice do pokoju, dla przyjęcia wieczornego posiłku, ale ojciec uprzedzony przez matkę nie spojrzał nawet na malca. Wkrótce dziecię podeszło do matki, oparło się rączętami o jéj kolana i spojrzało jéj w oczy, jak gdyby chciało prosić o przebaczenie. Matka nic nie mówiąc, wzięła je na kolana i udzieliła mu zwykłego posiłku. Kilkakrotne podobne postępowanie rozsądnéj matki wyleczyło dziecię stanowczo z wszelkich grymasów, a obyło się bez użycia kary. Błędem bowiem jest wielkim gnębiące uczucie nudy przytłumiać jeszcze bardziéj gnębiącém uczuciem postrachu. Na nudę wreszcie najlepszém lekarstwem będzie wesołość,-zmiana miejsca, a więc, jeśli pogoda i pora roku pozwala, wynoszenie dzieci na świeże powietrze, co zwyczajnie jakby czarodziejską rószczką, zmienia ich smutek w radość. Uczyniono też spo-

---

(1) Zdarzenie opisane przez Teresę Oeser.

strzeżenie, iż takie chwile grymasów nastają po większéj części o zmroku, a giną za wniesieniem światła do pokoju. Chąc, jedném słowem, uniknąć grymasów, przedewszystkiém dbać o to trzeba, aby dziecię zawsze było zajęte, gdyż nikt bardziéj nie cierpi na hypokondryą jak: emeryci, kapitaliści, bogacze, jedném słowem ludzie bez zajęcia. Powyżéj wspomnieliśmy, iż nie należy dzieci przestraszać, gdyż i tak same bardzo łatwo ulegają temu przykremu uczuciu.

Dziecię obawiało się deski do prasowania, może dla tego, iż raz z niéj upadło, może zaś dla tego, że na niéj była wielka, czarna plama, obawiało się i pieca do którego pozwolono mu zajrzéć, podczas opalania. Pomimo to codziennie prowadziło ojca tak do deski jak i do pieca.

Tak to powstaje upodobanie do klechd, baśni odznaczających się okropnością, a w późniejszym wieku zamiłowanie nadzwyczajnych powieści, wykroczeń kryminalnych itd.

Dotąd dziecię używało rączek tylko dla przyjęcia pożądanych rzeczy, teraz używa ich do swojéj obrony. Skoro gorliwie zajęte jest zabawą, a zbliży się ktoś, chcąc je pocałować, wtedy dziecię odpycha rączką, lub nawet uderza, chociażby nigdy jeszcze nie widziało uderzających ludzi. Uderzenie to jest tak naturalném, jak kąsanie pieska, któremu dokuczają. Czyn ten, wprawdzie nie zupełnie grzeczny, nie jest jeszcze niemoralny, może zaś stać się takim z naszéj winy wtedy, kiedy, pomimo niechęci okazywanéj przez dziecko, będziemy chcieli je koniecznie pocałować, tym bowiem sposobem rozdrażnimy je i pobudzimy do gniewu, a więc do uczucia niemoralnego. W takich razach po raz pierwszy wychodzi w dziecku na jaw uczucie żalu. Jeśli bowiem osoba przez dziecko uderzona opuszcza je i, zakrywając sobie twarz, udaje płaczącą, natenczas dziecię nie wié, co ma czynić i podobne jest do człowieka występnego, złapanego na uczynku, a w końcu zwyczajnie wybucha wielkim płaczem. Jeśli zaś wrażenie mniéj było silne, to dziecię nie zaczyna wprawdzie płakać, lecz następuje dywersya w dotychczasowych jego myślach i dopiéro stopniowo, pomału wraca do przerwanéj zabawy i przybiéra dawną spokojną minkę. Nie możemy na pewno powiedzieć, czy dziecię samo z siebie zdolneby było do przeproszenia osoby obrażonéj, bo zwyczajnie pierwsza zachęta pochodzi z ust osób starszych; wszakże prawdopodobném jest, iż dzieci starsze, nigdy niezachęcane do przeproszenia, same wreszcie doszłyby do okazania tego aktu skruchy.

Darwin mówi z tego powodu: „w 13-ym miesiącu odkryłem w mojém dziecku pierwszy ślad uczucia moralnego.“ Powiedział

on do swojego dziecka nie chcącego go pocałować: Dodo nie chce dać buzi ojcu, niegrzeczny Dodo. Słowa te zdawały się obudzać w dziecku niemiłe uczucie, a gdy ojciec się oddalił, ułożyło buzię do całuska na znak gotowości, jednocześnie w przykrém wzruszeniu machało rączką dopóty, dopóki ojciec nie przyszedł i nie przyjął jego całuska. Po kilku dniach zdarzyła się znów podobna scena, zakończona takiémże przeproszeniem, które widać musiało mu sprawiać wielką przyjemność, skoro późniéj nieraz udawało, że się gniewa, uderzało rączką ojca, a gdy ten odchodził machało rączkami i buzię na przeproszenie nadstawiało.

Był to już początek, mówi badacz angielski, owego udawania, owéj sztuki aktorskiéj, w któréj wiele dzieci tak bardzo się lubuje. W tym też czasie uczucia dziecka były tak silne, iż działając na nie łatwo było namówić je do uczynienia tego, czego żądano.

Obok tych uczuć dodatnich, będących uznaniem osobistości i w innych ludziach, powstaje także uczucie zazdrości, tak jak i w zwierzętach, które, wyjąwszy w czasie, kiedy małe swoje pielęgnują, zwyczajnie kierują się zazdrością bardzo egoistyczną. Wszakże egoistyczna ta wada u dzieci odmiennéj jest natury niż u zwierząt. Kiedy raz matka wzięła inne niemowlę na kolana, dziecię zbliżyło się do niéj, ciągnęło ją za suknię, jakby protestując przeciwko temu, co uważało za swoje wyłączne prawo. Za drugim razem gniewało je, iż najprzód innemu dziecku usłużyła, a chociaż ojciec, chcąc je udobruchać sam podał mu mleczko i nadto matka ofiarowała kawałek cukru, dziecię zagniewane nietylko mleczka nie przyjęło ale i cukier rzuciło na ziemię. Widzimy jak brzydki ten affekt jeszcze się bardziéj pogorszył. Wszakże zazdrość ta nie miała swego źródła w bezwarunkowéj niechęci ku innym dzieciom, gdyż skoro dziecięciu najprzód usłużono, to nawet z pewném zadowoleniem przyglądało się innym rówieśnikom podobnież spożywającym posiłek. Zapewne bezwiedne jego rozumowanie musiało się kręcić w następującém kółku: matka zawsze nosiła mnie na kolanach, zawsze mnie pierwszemu usługiwała, a więc i teraz to czynić powinna. Najskuteczniejszym środkiem przeciwko zazdrości będzie przyzwyczajać dziecię do towarzystwa innych dziatek, aby się przekonało, że i one mają swoje prawa; ale byłoby wielką niesłusznością naumyślnie pobudzać je do zazdrości i napawać się widokiem gniewu dziecka. Wszakże bliźniątka wspólnie wychowane nie ukazują wcale tego egoistycznego uczucia. Przeciwnie zaś przyzwyczaimy dzieci do życzliwości względem innych, skoro skłaniać je będziemy do udzielania drugim tego, co posiadają. Pod tym względem wszakże starsze

osoby zwyczajnie ciężko błądzą, bo przyjmują ofiarę tylko na pozór, udając, że ją spożywają, a po niejakim czasie zwracają dziecku napowrót ofiarowany cukierek, pierniczek, a nadto bezmiernie chwalą i pieszczą je za tę chwilową dobroczynność; tym sposobem uczą dzieci obłudy. Na seryo przeto brać powinniśmy ofiarowany sobie kawałek, gdyż bądźmy przekonani, iż żadne dziecię nie uczyni sobie wielkiego uszczerbku, jeśli zaś dobroczynność dziecka zbytecznie nas rozczula, to albo go do niéj nie pobudzajmy, albo téż po kilku godzinach ofiarujmy napowrót dziecku otrzymany od niego podarunek, lecz w charakterze daru od nas pochodzącego.

Tak prowadząc swe dziecię, Darwin przekonał się, iż w 9-ym kwartale swego życia żywo czuło przyjemność sprawioną dobrym uczynkiem, oddało bowiem ostatni kawałek ciasteczka swéj siostrze i wysoce tym czynem uradowane zawołało: Dobry Dodo. W dwa miesiące późniéj było bardzo czułe na szyderstwa i tak podejrzliwe, iż częstokroć kiedy dorośli ludzie rozmawiali i śmieli się, sądziło, że z niego żartują.

Trochę późniéj tj. kiedy dziecię miało dwa lata i siedm miesięcy nastąpił pierwszy objaw walki jego uczuć. Darwin ujrzał, jak wychodziło z sali jadalnéj, ale dziwném swém zachowaniem zwróciło uwagę ojca. Zaciekawiony tém ojciec wszedł do sali i przekonał się, iż dziecię pomimo niejednokrotnego zakazu musiało lizać potłuczony cukier. Ponieważ dziecię to nie było dotąd karane, dziwna więc jego minka nie wyrażała obawy kary, lecz sprzeczność pochodzącą z tego co uczyniło, ze świadomością tego, czego nie powinno było uczynić. Był to więc pierwszy objaw wyrzutów sumienia. W czternaście dni późniéj powtórnie spotkał je ojciec, kiedy wychodziło z tego samego pokoju, przypatrzył mu się uważnie i spostrzegł starannie zwinięty fartuszek.

Niezwyczajne zachowanie się dziecka i tym razem obudziło ciekawość ojca; na zapytanie co się znajduje w fartuszku, upewniało, iż nic w nim nie masz, aż wreszcie kilka razy rzekło mu z gniewem: idź precz, wszakże pomimo to ujrzał Darwin na fartuszku plamy soku owocowego. Widoczném było, iż dziecię kryło się ze swojém postępowaniem. Ponieważ zaś je wychowywano tylko podniecaniem jego dobrych uczuć, wkrótce zamiłowało prawdę i otwartość.

Podobne zdarzenie miało miejsce i z innym chłopczykiem obserwowanym przez Oppela; kiedy ten miał już pół trzecia roku, lubił odwiedzać sąsiada, który go zaznajamiał z najbliższém otoczeniem i wreszcie pokazał mu cukierniczkę. Po otworzeniu téjże dziecię otrzymało kawałek cukru. Nazajutrz po wyciągnięciu szuflady z ko-

mody, w któréj znajdowała się cukierniczka, dziecię otworzyło ją i otrzymało znów kawałek cukru. Wreszcie na trzeci dzień, podczas gdy sąsiad otwierał szufladę, odeszło od niego i samo otworzywszy cukierniczkę wyjęło kawałek cukru, nie kryjąc się z tém bynajmniéj, bo nawet trzymało go w usteczkach i mówiło: ach, jak to smaczne.

Dziecię nie wiedziało, że dopuszcza się nieprawości. Następnego dnia znów to samo się powtórzyło, ale teraz sąsiad zawołał je do siebie i objaśnił, że jeśli dziecię będzie tak brało cukier bez jego wiedzy, to wkrótce wyjdzie cały zapas, a sąsiad nie będzie nawet wiedział co się z nim stało. Powinien więc za każdym razem prosić go o pozwolenie. Trwało to znów kilka dni, aż wreszcie sąsiad mu objaśnił, iż nie dosyć jest prosić o pozwolenie, lecz trzeba jeszcze zaczekać, aż mu je udzielą. Bo gdyby kto chciał wziąć twoje kręgle bez twego pozwolenia, tobyś się na niego gniewał. Chłopczyk doskonale to zrozumiał i odtąd nie dopuszczał się przekroczenia przeciwko cudzéj własności.

W téj epoce stoi dziecię o tyle wyżéj od wszystkich innych istot, iż z niemi nawet porównane być nie może. Już indywidualność dziecka nabrała właściwych zarysów, a jakkolwiek zarysy te są jeszcze bardzo mgliste i niepewne, to wszakże na nich opiéra się to, co charakterem nazywamy. Ukazują się już przymioty szczególne, z których możemy wnosić, jak w danéj okoliczności zachowa się to, a jak inne dziecię. Jedno bowiem jest bojaźliwe, nieśmiałe, w sobie zamknięte; drugie—wesołe, rozpustne, chętnie się udzielające i śmiałe względem obcych; jedno łatwo da się prowadzić i jest posłuszne jak baranek; drugie—uparte jak koziołek. Przymioty te po części są wrodzone, o czém przekonać się można na bliźniętach, które okazują tak wielką niejednostajność usposobienia. Wszakże wychowanie i stosunki, w jakich dziecię żyje, ogromnie wpływają na zmianę odcieni tych indywidualności, które stawiają znów człowieka wyżéj nad wszystkie stworzenia. Pomiędzy bowiem wszystkiemi zwierzętami dziko żyjącemi, każdy okaz jest przedstawicielem całego gatunku, jeśli zaś ukazują się pewne odcienia, to tylko pomiędzy swojskiemi. Nie można bowiem zaprzeczyć, że np. kury posiadają pewne indywidualne przymioty, podobnież psy i konie.

Lecz czémże to jest w porównaniu z niezliczonemi odcieniami, ukazującemi się w człowieku już od najpierwszego jego dziecińśtwa!

W podobny sposób badając życie dziecka, nie jednę otrzymamy wskazówkę, która będzie jakoby gwiazdą przewodnią, kompasem służącym do kierowania dalszém jego wychowaniem. Spostrzeżemy bowiem nie jeden przymiot wybitniejszy od drugiego, a zarazem i słabsze strony umysłu dziecięcego, które starać się powinniśmy przyprowadzić do harmonijnéj z innemi równowagi. Wtedy to wychowanie zamieni się na prawdziwą sztukę, a wychowawca stanie się badaczem nie powtarzającym na oślep cudzych zdań, lecz zdobywającym drogocenną prawdę wprost z życia, którą téż w życiu skutecznie zastosować zdoła.

*Henryk Wernic*

---

# POMNIKI DZIEJOWE.

*Monumenta Poloniae historica.* Pomniki dziejowe Polski. Tom III wydany nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie, opracowany przez lwowskie grono członków komisyi historycznéj téjże akademii. Lwów, w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1878. 8-o, str. XII. 876.

Już trzy lata mijają od śmierci Augusta Bielowskiego. Ktokolwiek znał bliżéj tego nieodżałowanego, prawdziwego kapłana nauki, który tak gorącą miłością ukochał nasze „pomniki dziejowe" i całe życie swoje, wszystkie swe siły im poświęcił, ten zawsze wspomnienie téj szlachetnéj, pełnéj poświęcenia postaci do najwznioślejszych wspomnień będzie zaliczał. Nie dane mu było doczekać się dokończenia tego wielkiego przedsięwzięcia, o któróm przez długie lata z upragnieniem marzył, którego część znaczną niezłomną swą energią, o własnych siłach i szczupłych środkach przywiódł do skutku. Zmarł, jak wiadomo, nagle, wśród rozpoczętego już druku trzeciego tomu swych „Monumentów," o którym właśnie kilka uwag nakreślić zamierzamy, zasnął, nie wiedząc o tém, że usypia na zawsze. Ale można śmiało powiedzieć, że gdyby mu było przyszło z całą świadomością żegnać się ze światem, nie byłoby mu ciężko się z nim rozstawać, gdyż wiedziałby, że dzieło, z któróm cała istota jego jak najściśléj się zrosła, w pewnych i godnych zaufania pozostawia rękach. Już w pracach przygotowawczych do III-go tomu Monumentów, lwowskie grono członków komisyi historycznéj gorliwie mu pomagało, niektórzy z pośród młodszych towarzyszy rozebrali byli pomiędzy siebie poszczególne części trudnego zadania, jemu samemu, prócz niektórych pomników, krórych opracowanie sobie zastrzegł, pozostawało naczelne kierownictwo całego przedsięwzięcia.

Między wszystkiemi wydawnictwami naszych źródeł zajmują Monumenta Poloniae historica niezaprzeczenie najpoważniejsze stanowisko. Niewiele wprawdzie znajdziemy w nich materyałów, któreby poprzednio były zupełnie nieznane, niektóre z nich już dawniéj do-

czekały się były nawet kilku wydań, ale przeważnie wydań tak niekrytycznych, że w umiejętny, z dzisiejszém stanowiskiem nauki zgodny sposób niepodobna było z nich korzystać. Śmiało rzec można, że dopiéro Monumenta torują drogę krytycznéj, naukowéj pracy na polu pierwszych wieków naszéj historyi; kto przed kilku laty jeszcze posługiwać się musiał wydaniami Sommersberga, Lengnicha a choćby nawet Bandtkiego, ten ocenić to zdoła. Wprawdzie, dyplomataryusze, których tak znaczna ilość pojawiła się u nas w ostatnich czasach i Helclowskie pomniki prawa polskiego więcéj światła rzuciły na tę epokę, aniżeli nowe wydanie historyograficznych źródeł w Monumentach; te ostatnie jednak składają się na ogólną kanwę tradycyi dziejowéj tych czasów, bez nich w badaniach naszéj średniowiecznéj historyi ani kroku niemożna postąpić, a właśnie dla tego, że zasób ich jest tak szczupły, że każde ich słowo z jak największą sumiennością odważać należy, krytyczne, z wszelką ścisłością dokonane wydanie tych pomników tém konieczniejszą było potrzebą.

Z trzech wydanych dotąd tomów Monumentów najważniejszym bez wątpienia jest drugi, o którym przed kilku laty w inném miejscu pisaliśmy obszernie (1), zebrano w nim bowiem najgłówniejsze nasze kroniki, mistrza Wincentego, kronikę wielkopolską i Jana z Czarnkowa wraz z znaczną częścią roczników. Pierwszy tom, wydany przed piętnastu laty, niemało uradował wszystkich badaczy pierwotnych naszych dziejów, jako początek upragnionéj od dawna publikacyi, nie czynił jednak na razie zadość najbardziéj naglącéj potrzebie, zawierał bowiem po największéj części pomniki, które już przedtém były znośnie lub nawet wcale dobrze wydane, tak że właściwie tylko ich zebranie i zestawienie było główną tego tomu zasługą. Pomiędzy pierwszym a drugim tomem Monumentów, w r. 1866 pojawiły się w Pertzowskich *Monumenta Germaniae historica* roczniki polskie w wydaniu Arndta i Röpella; i odtąd dopiéro cała do owego czasu prawie jeszcze nietknięta skarbnica naszéj annalistyki średniowiecznéj stała się przystępną dla badania historycznego. Wydawcy niemieccy, którym Bielowski z rzadką zaprawdę uczynnością tyle w ciągu ich pracy oddał był usług, uprzedzili go zatém w pierwszém, krytyczném wydaniu tych pomników, tak że jego wydanie roczników, w następnych tomach Monumentów umieszczone, nie miało już tego uroku nowości; z tém wszystkiém, kto te wydania porównał, musi polskiéj publikacyi bezwzględnie przyznać wyższość i osądzić, że w obec edycyi Bielowskiego wydanie niemieckie, choć tak niedawno

---

(1) Ob. Goettinger gelehrte Anzeigen z r. 1873 str. 33—48.

dokonane, ustąpić powinno z pracowni badaczy jako rzecz przestarzała. Trzeci tom Monumentów, który w ogóle pod względem ważności zawartych w nim materyałów z poprzednim mierzyć się nie może, zawiera właśnie dalszy ciąg wydania roczników, a w nim niektóre zabytki naszéj annalistyki, które wydawcom niemieckim zupełnie były nieznane. Prócz tych roczników, prócz katalogów biskupów krakowskich i arcybiskupów gnieźnieńskich, po raz pierwszy tutaj ogłoszonych, i kilku pomniejszych pomników, zawiera ten trzeci tom także źródła szląskie, których ogłoszenia w naszych Monumentach z upragnieniem oczekiwali u nas badacze dziejów średniowiecznych, dotychczas zmuszeni ich szukać po obcych, nie tak dostępnych zbiorach.

Tom trzeci charakterystycznie odróżnia się od dwóch poprzednich: widać, że go wydała korporacya zbiorowa, instytucya publiczna, nie znać na nim tych cech wybitnych publikacyi prywatnéj, któremi się obydwa poprzednie tomy odznaczały. Mimo wszelkiéj bowiem czci, mimo najgłębszego pietyzmu, jaki mamy dla pamięci Bielowskiego, musimy przyznać, że nieszczęsna jego teorya pierwotnych dziejów Polski pozostawiła i w Monumentach widoczne ślady. Epitet ten, który bez wszelkich zastrzeżeń nadaliśmy teoryi we „Wstępie krytycznym do dziejów Polski“ wyłożonéj, nie powinien dziś już razić nikogo, gdyż z zasłużonym wydawcą Monumentów wstąpił do grobu jéj twórca i jedyny zarazem zwolennik a podobno i on sam w ostatnich latach życia poznał się na tych manowcach, na które go ta teorya zawiodła. Pierwszy tom Monumentów wygląda zwłaszcza jak *codex probationum* do „Wstępu krytycznego,“ w całym planie jego, w wyborze wyciągów z obcych źródeł, w prolegomenach i w aparacie krytycznym, wszędzie rozlega się donośnie echo pomysłów lęchickich. Mniéj już krzywdy wyrządziła ta teorya drugiemu tomowi, i tu jednak cała, tak obszerna przedmowa nastrzępiona jest reminiscencyami z „Wstępu krytycznego,“ a owa bezprzykładna w dziedzinie krytyki historyograficznéj herezya, na któréj się przeważnie cały gmach lęchickich pomysłów opierał, awansująca Mierzwę na godność najstarszego naszego kronikarza, odezwała się jeszcze raz w wydaniu tego pomnika i oszpeciła niepotrzebnie tak staranną zresztą edycyą mistrza Wincentego. Nie ujmowało to wszystko już wartości naukowéj całéj publikacyi w drugim tomie, ale w każdym razie była to rzecz rażąca w obec jéj poważnego, prawdziwie „monumentalnego“ charakteru. Otóż w nowym tomie Monumentów nie ma już nic takiego, coby w jakikolwiek sposób trąciło lęchicką teoryą; co prawda, już i sama natura zawartych w nim materyałów niewiele pozostawiała do tego sposobności, w ogóle jednak widać, że tom ten powstał pod umiejętną dłonią pracowników, pewną stopą po

ubitym gościńcu metody krytycznéj stąpających. Nie znać w nich pracy tych pozostałości dyletantyzmu, których Bielowski właśnie dla tego, że sam, z niezłomną, podziwienia godną energią na przebój drogę torował, do ostatka nie mógł się pozbyć. Najwięcéj téż usterek przyjdzie nam téż podobno wytknąć wydaniu tych pomników, które jeszcze sam Bielowski do trzeciego tomu zdążył opracować, a uczynimy to w tém przeświadczeniu, że gdyby był mógł jeszcze odczytać te uwagi, byłby je przyjął z tą ojcowską, wszelkiéj osobistéj drażliwości pozbawioną przychylnością, z myślą ku jedynemu a wspólnemu naszemu celowi, to jest ku wyświeceniu prawdy wyłącznie zwróconą, tak jak za życia nieraz nasze spostrzeżenia, tylekroć z jego zapatrywaniami sprzeczne, z niezrównaną dobrocią raczył przyjmować.

Przez Bielowskiego opracowane są, z kilkoma drobnemi wyjątkami, wszystkie roczniki, które więcéj niż trzecią część całego tomu stanowią. Na samym początku spotykamy *rocznik wielkopolski*, jeden z najważniejszych annalistyki naszéj pomników, którego wydania od dawna z upragnieniem oczekiwano, gdyż z edycyi Sommersberga niepodobna było korzystać. Ktokolwiek zastanawiał się nad tym rocznikiem, spostrzegł zadziwiającą jego zgodność z kroniką wielkopolską (Boguchwała i Godysława Paska) i musiał ztąd wnosić, że dokładniejsze zbadanie tego rocznika mogłoby posłużyć za klucz do rozstrzygnięcia spornych kwestyj o téj kronice, które w ostatnich czasach często poruszano. My sami mieliśmy sposobność zaznaczyć nasze zapatrywanie o stosunku między rocznikiem wielkopolskim a kroniką, zapatrywania, któreśmy utworzyli sobie na podstawie Sommerbergowskiéj edycyi z pomocą waryantów jednego czy dwóch rękopisów, bez dokładniejszego zgłębienia kwestyi, które w braku krytycznéj edycyi było rzeczą niemożebną (1). Zdawało nam się, że ani rocznik nie był źródłem kroniki, ani też do stwierdzenia odwrotnego stosunku nie widzieliśmy dostatecznych powodów, sądziliśmy, że Boguchwał i Godysław byli zarazem rocznika i kroniki autorami, że rocznik, pisywany przy poznańskiéj katedrze, był pierwszym, niekiedy obszerniejszym, niekiedy mniéj dokładnym rzutem annalistycznych zapisek, które później pod ręką tych samych autorów doznały w kronice dalszego opracowania. Kiedy w ostatnich jeszcze tygodniach przed śmiercią Bielowskiego otrzymaliśmy pierwsze arkusze drukującego się wówczas trzeciego tomu Monumentów, ucie-

(1) Ob. Przewodnik naukowy i literacki z r. 1873 str. 886 nast. i Przegląd krytyczny z Października r. 1875.

szyliśmy się niemało, że czcigodny ich wydawca przychylił się zupełnie do naszego zapatrywania. Z czasem jednak sami uczuliśmy pewne wątpliwości, czy to zapatrywanie ostoi się w obec odtworzonego krytycznie tekstu rocznika. W ostatnich właśnie czasach zajęto się gorliwie badaniem t. z. kroniki Boguchwała i Godysława, a tém samém i roczników wielkopolskich, a wyniki tych badań, jakkolwiek jeszcze drukiem nieogłoszone, w ogólnych przynajmniéj zarysach nie są już dziś bynajmniéj tajemnicą (1). Badania te doprowadziły bez jakiegokolwiek porozumienia się, bez wszelkiéj wymiany spostrzeżeń pomiędzy zajmującymi się niemi pracownikami, do godnego rezultatu, że kronika wielkopolska ani Boguchwała, ani Godysława nie jest dziełem, ale kompilacyą XIV wieku, w drugiéj swéj części przeważnie na roczniku wielkopolskim opartą. Rozpatrzywszy się dokładniéj w roczniku, tak jak to w obec nowego wydania jest już rzeczą możebną, odwołujemy chętnie dawne nasze zapatrywanie, z niedostatecznéj znajomości tego pomnika wynikłe i schylamy czoło przed wynikiem tych badań, których ogłoszenia z niecierpliwością wyglądamy. Rzecz jasna, że w obec tego druga część kroniki (od r. 1202), jako materyał z drugiéj ręki wzięty traci przypisywaną jéj dotychczas doniosłość, a natomiast w dwójnasób podnosi się wartość i znaczenie rocznika, dotychczas tak po macoszemu traktowanego.

Bielowski uważa ten rocznik za dalszy ciąg fragmentu, który również pod nazwą wielkopolskiego rocznika w zestawieniu z początkiem r. kapitulnego w II tomie Monumentów (str. 789 n.) wydał. Fragment ten zawiera przedewszystkiem ów ciekawy zabytek annalistyki niemieckiéj od r. 730 do początku XI wieku, który, jak wiadomo, krakowskiemu duchowieństwu katedralnemu za fundament do budowy rodzinnego rocznika posłużył, prócz niego zaś kilka suchych, również z r. kapitulnym zgodnych zapisek. Według Bielowskiego, kończy się ten fragment na r. 1190, skoro zaś znajduje się w kodeksach, rocznik wielkopolski zawierających, a rocznik ten zaczyna się zapiską z r. 1192, widoczną ma być ztąd łączność tych dwóch pomników. Dość jednak otworzyć Sommersberga SS. rerum Siles. II na str. 94, by się o omyłce Bielowskiego przekonać. W Sommersbergu ma-

---

(1) Równocześnie zajmowali się temi studyami Dr. Wojciechowski i Dr. Warmski. Autor „Chrobacyi“ odczytał swą pracę na posiedzeniach lwowskiego grona komisyi historycznéj przy Akademii Umiejętności, nie będzie to więc niedyskrecyą, jeśli o wyniku jego badań wspomni się w piśmie publicznem a może go to skłoni do rychlejszego ogłoszenia pracy, któréj z niecierpliwością wyglądamy. Rozprawa p. Warmskiego, za którą na uniwersytecie gettyngskim otrzymał stopień doktora filozofii, w tych dniach, jak się dowiadujemy, ma wyjść z pod prasy.

my, jak wiadomo, przedruk wrocławskiego kodeksu, z którym pod względem układu zawartych w nim warunków kodeksy wilanowski i sieniawski zupełnie się zgadzają (Mon. P. t. II 609), a zatém, z wyjątkiem Ottoboniańskiego, wszystkie rękopisy, w których ten fragment się znajduje (tamże, str. 782). Otóż widzimy, że we wszystkich tych kodeksach fragment ów nie kończy się bynajmniéj zapiską z r. 1190, ale po niéj następuje dalszy ciąg rocznika, zrazu z suchych notatek złożony, od r. 1279 przeradzający się w wcale obfite opowiadanie, które w głąb' XIV wieku się ciągnie, a w którém dostrzedz można tyle właściwości pióra Jana z Czarnkowa, że cały ten rocznik uważać podobno należy za wstęp do kroniki tego autora, może niezupełnie wygładzony i ociosany; wiadomo bowiem, że wszystkie te rękopisy zawierają również kronikę Jana z Czarnkowa. Tę dalszą część rocznika wydał Bielowski na str. 204—212 III tomu pod nazwą rocznika kujawskiego, i tutaj w przedmowie sam zastanawia się nad tém, czy to nie jest robota Jana z Czarnkowa, oświadczając się ostatecznie przeciw temu przypuszczeniu (1). Nie ma jednak żadnéj wątpliwości, że ten fragment, przez Bielowskiego początkiem rocznika wielkopolskiego nazywany, z t. z. rocznikiem kujawskim nierozerwalną całość stanowi a z właściwym rocznikiem wielkopolskim, którego początek istotnie sięga r. 1192, nie ma żadnego związku.

Nazwa rocznika wielkopolskiego mogłaby się wydawać za ogólną i tém bardziéj niepotrzebną, skoro wiadomo, że go spisywano przy katedrze poznańskiéj, że najgłówniejsza część jego jest dziełem Boguchwała i Godysława. I rzeczywiście jest to w całém tego słowa znaczeniu rocznik katedralny poznański, ale dopiéro mniéj więcéj od r. 1239. Od tego bowiem roku zaczynają się te obszerne, dokła-

(1) Rocznik ten, zakończony tak jak w rękopisie wrocławskim (Sommersberg II 96) t. j. zapiską o wojnach Łokietka z krzyżakami, wygląda zupełnie jak wstęp do kroniki Jana z Czarnkowa, która według wydania Szlachtowskiego zaczyna się rozdziałem o śmierci Łokietka. (Mon. Pol. t. II 619). W tym kształcie, w jakim go Bielowski wydał pod nazwą r. kujawskiego, t. j. bez wiązanego z nim ściśle a w zestawieniu z r. kapitulnym wydanego początku, a natomiast z zakończeniem, zawierającém zapiski o śmierci Łokietka, Kazimierza i rządach Ludwika, trudno go zapewne za początek kroniki Jana z Cz. poczytać. To zakończenie znajduje się jednak tylko w niektórych rękopisach (ob. str. 211), i to nie wiadomo, czy w związku z resztą rocznika czy też osobno. Bez dokładnego opisu wszystkich ten pomnik zawierających kodeksów niepodobna téj kwestyi roztrzygnąć. Mnie się jednak wydaje rzeczą pewną, że ten rocznik w tym kształcie, jak go w Sommersbergu na str. 94—96 II tomie widzimy, jest początkiem kroniki Jana z Czarnkowa, owe zapiski zaś, które Bielowski na końcu swojego „rocznika kujawskiego“ wydał, są to zapewne pierwsze rzuty pierwszych rozdziałów kroniki, o których Szlachtowski w przedmowie do jéj wydania (M. P. t. II 614) wspomina. Por. moję recenzyą II tomu Monumentów, Gött. gelehrte Anzeigen 1873. 45.

dne zapiski annalistyczne, wśród których (już od r. 1244 począwszy) spotyka się tyle wzmianki z dziejów domowych poznańskiego kościoła. Zupełnie inny charakter mają suche, skąpe, początkowe zapiski do r. 1238, w których dwie charakterystyczne wzmianki zupełnie lokalnéj natury (1) wskazują wyraźnie, że to był fragment gnieźnieńskiego rocznika, który w Poznaniu doczekał się tak obszernéj i cennéj kontynuacyi (2). Rocznik poznański sięga nieprzerwanym ciągiem do r. 1273, poczém po dwudziestoletniéj przeszło przerwie następuje dopełnienie od koronacyi Przemysława (1295) do r. 1309.

Wydanie tekstu rocznika nie jest dokonane z tą drobiazgową ścisłością, jakiéj się dziś wymaga od tego rodzaju wydawnictw, jakkolwiek wydawca korzystał z obfitego, gdyż siedm manuskryptów obejmującego zapasu. Wszystkie te rękopisy należą do owéj grupy pokrewnych kodeksów, które prócz rozmaitych roczników zawierają zarazem kronikę Jana z Czarnkowa i kronikę wielkopolską. Wspominano o nich w Monumentach nie w jedném miejscu, w przedmowie do kroniki Jana z Czarnkowa, niektóre z nich doczekały się nawet dokładnego opisu, o niektórych jednak, jak np. o najważniejszym Ottobониańskim trudno sobie dokładnie zdać sprawę. Nie powinno się poprzestawać na luźnych uwagach o względnéj tych rękopisów wartości, jakie w II i III tomie Monumentów w kilku miejscach spotykamy, godziłoby się już raz wyjaśnić stanowczo ich filiacyą, gdyż cała ta grupa stanowi jednę i to blizko spokrewnioną rodzinę rękopiśmienną. Dokładne wyjaśnienie filiacyi szczególnie w wydaniu rocznika wielkopolskiego było koniecznie potrzebne. Rocznik ten bowiem we wszystkich tych kodeksach następuje po kronice wielkopolskiéj, kopiści zatém, przypominając sobie przy odpisywaniu rocznika, że już coś podobnego odpisywali powyżéj, opuszczali nieraz całe ustępy, niekiedy bez żadnéj o opuszczeniu wzmianki, niekiedy odwołując się wyraźnie do kroniki, wyrazami: „*hoc iam est etiam post hoc expressum et ergo causa utilitatu seu causa papiri et laboris obmitto,*“ lub „*que iam scripta est superius in quarto sexterno a principio computando*“ i t. p.; w skutek tego co do obfitości tekstu pomiędzy różnemi rękopismami wielka panuje rozmaitość. To tylko pewna, że według znanych dziś rękopisów niepodobna pełnego tekstu rocznika

(1) 1192. Gneznense castrum combustum et monasterium ibidem. 1220. Turris ecclesie cathedralis Gneznensis ruit.

(2) Do r. 1238 ciągną się, jak powiedziano, owe suche zapiski, wśród nich pod r. 1232 pierwsza wiadomość „poznańska,“ o przywileju nadanym Pawłowi biskupowi poznańskiemu. Może więc już odtąd zaczynają się zapiski poznańskie, może zaś tę jednę później pomiędzy gnieźnieńskie wtrącono.

odtworzyć i niektóre luki rocznika tylko odpowiedniemi ustępami kroniki w przybliżeniu można wypełnić, wreszcie, że ze wszystkich manuskryptów najpełniejszy jeszcze tekst zawiera rękopis Ottoboniański, „po nim,“ jak Bielowski słusznie twierdzi, „idzie rękopis królewiecki (1), zaś rp. Sędziwoja i Stanisława Augusta zajmują pod tym względem miejsce ostatnie,“ każdy przyzna, że w obec takiego stosunku rękopisów dokładne wyjaśnienie filiacyi było rzeczą nie tak bardzo trudną a do odtworzenia pierwotnego tekstu niezbędną. Wydawca nie dokonał jednak tego i postanowił tylko, idąc w wydaniu, jak należało głównie za kodeksem Ottoboniańskim, wszystkich innych odmianki i niedostatki wykazywać. Otóż możemy zaręczyć, po dokładném porównaniu tekstów w rp. Ottoboniańskim, królewieckim, Sędziwoja i wrocławskim, że wydanie Bielowskiego w bardzo niedostateczny sposób uwzględnia odmianki i właściwości tych innych rękopisów, w ogóle aparat krytyczny jest zbyt po macoszemu traktowany, co zapisujemy dla przestrogi, gdyby kto na nim jakieś wnioski chciał opierać. Mniejsza o pojedyncze odmianki, największém jednak niedostatkiem tego aparatu krytycznego jest bardzo niedokładne w wielu miejscach oznaczenie, których ustępów w rozmaitych rękopisach brakuje. Kilkanaście ustępów, opuszczonych we wszystkich rękopisach, czego ślad przechował się jedynie w zapiskach kod. Ottoboniańskiego lub królewieckiego (de morte Petri Pomorani canonici Poznaniensis est supra premissum. Item de morte ducisse Salomee ducisse Glogorie est premissum i t. p.) należało wypełnić według kroniki wielkopolskiéj z odznaczeniem za pomocą drobniejszego druku. Pomimo to wszystko, możemy się cieszyć z téj edycyi rocznika wielkopolskiego, gdyż dopiéro ogłoszenie najpełniejszego jego tekstu według kodeksu Ottoboniańskiego daje nam o nim dokładne wyobrażenie; a jakkolwiek radzibyśmy widzieli w Monumentach wydanie z wszelką ścisłością dokonane, przyznać wszakże możemy, że i ta edycya głównym, praktycznym potrzebom historycznego badania zdoła zadość uczynić.

Po roczniku wielkopolskim następują *Spominki gnieźnieńskie*, t. j. trzy grupy luźnych zapisek, z téj samej, co rocznik, rodziny rękopisów pochodzących. Dwie pierwsze grupy dałoby się może zre-

---

(1) Z tém wszystkiém rękopism królewiecki, którego dokładną kolacyą posiadamy, jakkolwiek zawiera wiele ustępów, brakujących we wszystkich rękopisach prócz Ottobońskiego, ma także luki, które znów w gorszych rękopisach jak np. w wrocławskim lub rp. Sędziwoja są wypełnione. Kod. królewiecki ma jednak obok pewnéj kapryśności w opuszczaniu wielu ustępów tę niezaprzeczoną zaletę, że po największéj części, równie jak kod. Ottoboniański z każdego opuszczenia dokładnie zdaje sprawę.

dukować do jednéj, gdyby pierwsze dwie zapiski drugiéj (1025, 1034) przesunąć po za dwie ostatnie pierwszéj grupy (1138, 1142), gdyż przypadkowe przerzucenie zapisek annalistycznych nie jest rzadką rzeczą w tego rodzaju pomnikach; w ten sposób zaś z dwóch pierwszych grup utworzyłby się fragment rocznikarski, również wielkopolskiego pochodzenia, sięgający od stereotypowego polskich roczników początku, t. j. od chrztu Mieszka, do r. 1232 z dodatkiem wiadomości o śmierci obydwóch Bolesławów w r. 1279. Zapiski te mają niepospolitą doniosłość, gdyż, z małemi wyjątkami, tylko w tym jedynym fragmencie się przechowały, a zawierają kilka nieobojętnych w dziejach wielkopolskich XII wieku wiadomości; należały one do materyałów, z których kronika wielkopolska korzystała. Trzecia grupa zawiera rozmaite zapiski z XIV wieku bez żadnego porządku chronologicznego. Żadna z tych grup nie zasługuje jednak na nazwę spominek *gnieźnieńskich*; w trzeciéj mogłyby popierać ten domysł tylko dwie wiadomości o arcybiskupach gnieźnieńskich, że to jednak byli zwierzchnicy całego kościoła polskiego nie można tych ustępów uważać za rzeczy lokalne gnieźnieńskie, zresztą zaś więcéj zapisek téj trzeciéj grupy odnosi się do Kujaw, Łęczycy i Mazowsza. Pierwsze dwie grupy zaś mają wybitnie wielkopolski charakter, ale lokalnych wzmianek o Gnieźnie nie możemy się w nich dopatrzéć.

*Rocznik franciszkański krakowski*, dotychczas tylko z Lengnichowskiego wydania Mierzwy znany, doczekał się także tutaj dopiéro przyzwoitéj edycyi. Jest to ostatnia annalistyczna część kroniki Mierzwy wraz z pośredniém ogniwem, łączącém wyciąg kroniki mistrza Wincentego z rocznikarskiém dopełnieniem (1). W krótkiéj, zbyt krótkiéj przedmowie nie rozróżnia wydawca tych dwóch odrębnych części tego pomnika, nie zwraca również uwagi na bliskie jego powinowactwo z jedną częścią składową rocznika małopolskiego. Pisząc dawniéj o tym roczniku, przypuszczaliśmy, że nieład chronologiczny, który w nim panuje, powstał wskutek przerzucania kart w jakimś manuskrypcie, który był źródłem wszystkich trzech znanych nam rękopisów, i podawaliśmy wskazówki do przywrócenia pierwotnego, jak nam się zdawało, chronologicznego porządku (2). Przypatrzywszy mu się jednak bliżéj w tém nowém wydaniu, przekonywamy

(1) W ten sposób w skutek teoryi Bielowskiego o kronice Mierzwy, cały ten pomnik rozdzielony jest w Monumentach na trzy części, jako: 1) właściwa kronika Mierzwy (t. II. str. 163, nast.), 2) kroniki Mierzwy dopełnienie, w zestawieniu z kroniką mistrza Wincentego (tamże str. 283—438) i 3) rocznik franciszkański krakowski (t. III str. 46—52).

(2) Smolka, Polnische Annalen, 24 n.

się, że w obecnym układzie zapisek nic zmieniać nie należy, że była to od samego początku dość bezładna zbieranina z franciszkańskich źródeł czerpana, i nie żałujemy bynajmniéj, że wydawca za przypuszczeniem naszém nie poszedł. Nowa nazwa, którą wydawca pomnikowi temu nadał, choć trochę zanadto ogólna w obec tylu innych zabytków naszéj annalistyki franciszkańskiéj, jest o tyle usprawiedliwiona, że w nim charakter rocznikarstwa minoryckiego wybitnie się objawia.

Z obfitego zasobu wydanych w III tomie roczników najwięcéj zasługują na uwagę, prócz dwóch powyższych, dwa szczególniéj ważne, już od lat kilkunastu z wydania Arndta i Röpella znane roczniki, świętokrzyski i małopolski.

W wydaniu *rocznika świętokrzyskiego* rozporządzał Bielowski nierównie obfitszym aparatem rękopiśmiennym, niźli wydawcy niemieccy, korzystał bowiem z 11 rękopisów, edycya Mon. germ. hist. opiera się zaś tylko na 5 manuskryptach. Rzecz jasna zatém, że tekst nowego wydania jest o wiele poprawniejszy i powinien niemiecką edycyą zupełnie wyrugować, tém bardziéj, że niektóre z nowo użytych rękopisów, jak np. pilźnieński i wileński w arystokracyi rękopiśmiennéj pierwsze zajmują miejsce, inne, jak np. Krasińskich i rp. sochaczewski, jako odrębne cokolwiek redakcye rocznika, również zasługują na szczególną uwagę. Ścisłéj klasyfikacyi rękopisów i tym jednak razem wydawca nie dokonał, z opisu rękopisów tylko i z odmianek widzimy, że rp. Krasińskich i sochaczewski zawierają tekst w wielu ustępach znacznie od wszystkich innych odmienny, a jeśli wskazówką do podziału rękopisów na grupy ma być termin, dokąd rocznik w każdym rękopisie sięga, to rp. I i V (do 1399) stanowiłyby jednę grupę, II, IV i VI (do 1410) drugą, VII zaś (do 1427), którego tekst ma być do I bardzo podobny, należałoby osobno umieścić (1). Nie wiadomo jednak, czy taka klasyfikacya ostoi się w obec głównego względu, na którymby ją oprzéć wypadało, t. j. w obec pokrewieństwa tekstu. Wydawca oświadcza, że rękopis pilźnieński i uniw. Jagiell., „wzajem się uzupełniające, wziął za podstawę wydania," nie uzasadnia tego jednak wyjaśnieniem filiacyi rękopisów.

Wstęp ogólny, w którym należało oznaczyć wartość źródłową rocznika i stanowisko jego w annalistyce naszéj, jest bardzo pobieżny i niedostateczny; nie zawiera nic prócz krótkiéj charakterystyki, opartéj na porównaniu rocznika z tym cennym, najstarszym fragmen-

---

(1) Mss. III, VIII i XI zawierają tylko fragmenta rocznika, IX zaś i X, jakeśmy mówili, tekst znacznie odmienny.

tem rocznikarstwa polskiego, który Bielowski także „rocznikiem świętokrzyskim dawnym“ nazywa (Ann. Cracov. vetustissimi Arndt). Tak więc daje nam ta edycya tylko sam tekst rocznika z obfitym aparatem, ale bez żadnego krytycznego opracowania; ktoby chciał z rocznika korzystać, nie będzie wiedział, odkąd się zaczyna jego część samodzielna, w których partyach był spisywany współcześnie ze zdarzeniami t. j. właściwym rocznikowskim sposobem, na jakich źródłach opierają się partye dawniejsze i t. p. Wszystko to są zagadki, których wydawca nawet zgoła nie porusza a bez rozwiązania których w obec dzisiejszego stanowiska nauki z rocznika prawie wcale korzystać nie można. Gdyby był przynajmniéj to tylko zechciał uwzględnić, co przed sześciu laty napisaliśmy o tym roczniku a co nie było bynajmniéj jakiémś chwiejném przypuszczeniem, ale rzeczą pewną, na ścisłym opartą dowodzie (1). Wykazaliśmy bowiem, że cała pierwsza część rocznika do r. 1278 (2) nie jest niczém inném, jak odrębną redakcyą rocznika krótkiego, ubarwioną gdzieniegdzie dodatkami z innych źródeł a w ostatnich dziesiątkach lat przed tym terminem dopełnioną świeżemi wspomnieniami, czerpanemi z niedawnéj tradycyi. Nietrudno téż było, idąc za tą wskazówką, wykazać źródła większéj części tych dodatków: są to żywot św. Stanisława, na którym opierają się między innemi obszerne ustępy o Kazimierzu Mnichu (3) (str. 62 n.) i o męczeństwie św. Stanisława (str. 66 n.) (4) oraz kronika Marcina Opawskiego, źródło zagadkowych na pozór zapisek z lat 1160, 1167, 1168 i 1170 (5). Wydzieliwszy odrębną redakcyą rocznika krótkiego i te dodatki z innych źródeł czerpane, które nawet, jak to się często w tego rodzaju wydawnictwach dzieje, można było odznaczyć odmiennym drukiem, byłby wydawca uwydatnił zapiski, samemu tylko rocznikowi właściwe a rozpoczynające się od r. 1224, wraz z granicą, od któréj się samodzielna część jego zaczyna.

I na tém jednak nie byłoby się kończyło zadanie wydawcy. Pozostawało do rozstrzygnienia pytanie, dla ocenienia wartości źródłowéj rocznika niezmiernie ważne, czy po za tą granicą zaczynają się współczesne zapiski rocznikarskie, czy też rocznik założono

---

(1) Smolka, Polnische Annalen str. 20 n., 97 n.

(2) Mylna data, powinno być 1283. Jest to zapiska: Dux Lestko congrediens cum Lithwanis—rehabuit,“ (str. 76), por. Roczn. krótki pod r. 1283, Mon. Polsk. t. II str. 815.

(3) Ob. Smolka, Tradycya a Kazimierzu Mnichu, Rozprawy i Sprawozdania wydz. fil. hist. Akademii Umiejętności, VI. 350

(4) W ustępie o św. Stanisławie znajdują się dodatki czerpane zapewne z tradycyi.

(5) Mart. Oppar. Chron., Mon. Germ. hist., SS. XXII. 435, 469, 470.

później, tj. w ciągu wieku XIV, a w takim razie należało ten czas ściśléj oznaczyć. Obydwa źródła, do ułożenia pierwszéj części użyte, nie sprzeciwiałyby się współczesności zapisek drugiéj części, gdyż i żywot św. Stanisława i kronika Marcina Opawskiego mogły się już znajdować w klasztorze świętokrzyskim w końcu XIII wieku. Przeciw téj współczesności przemawiałyby jednak dwa względy. Pod r. 1259 w opisie drugiego napadu Tatarów umieszczona jest bulla Bonifacego VIII z 11 Listopada 1296, (1) co świadczyłoby za tém, że rocznik co najrychléj założono w r. 1297. Nadto śmierć Leszka Czarnego zapisana jest w formie koszlawego wierszyka pod r. 1298 między zapiskami z lat 1296 a 1305, choć z dokładną datą dnia „in die beati Jeronimi;“ rzecz jasna, że wierszyk ten z luźnéj jakiéjś zapiski wciągnięto do rocznika pod mylną datą, tj. właśnie o 10 lat później, a więc w czasie, kiedy już pamięć Leszka Czarnego w klasztorze świętokrzyskim przygasła. Trzeba jednak przyznać, że te dwie okoliczności nie rozstrzygają kwestyi stanowczo, gdyż i bulla Bonifacego VIII i zapiska o śmierci Leszka Czarnego mogły się dostać do rocznika przy późniejszém jakiémś opracowywaniu.

Najważniejszą dla rozstrzygnienia téj kwestyi byłoby rzeczą stwierdzić, czy rocznik świętokrzyski w drugiéj swéj części nie objawia pokrewieństwa z jakiemi innemi źródłami. Otóż z jednem tylko, od niedawna dopiéro znaném źródłem, tj. z katalogiem (IV) biskupów krakowskich. Wydawcy trudno było to spostrzedz, gdyż wówczas, kiedy się wydaniem rocznika świętokrzyskiego zajmował, nie było jeszcze starannego wydania katalogów, które w tymże samym III tomie, o dwieście stronic daléj się znajduje. Spostrzegł to jednak p. Kętrzyński wydawca katalogów, ale nie w całéj rozciągłości (2) i żadnych wniosków z tego faktu nie wyciągnął. Pokrewieństwo to jest najbardziéj widoczne w zapiskach o Pawle z Przemankowa (str. 75, 363), o śmierci Przemysława (str. 76, 365), i o Wacławie (str. 77, 365), równie jednak jest niewątpliwe w zapiskach z XIV wieku o biskupach krakowskich, Janie Grozie, Piotrze Szyrzyku, Bodzancie, Floryanie i Zawiszy Kurowskim. Zdawałoby się na pozór, że najprawdopodobniéj rocznik czerpał z katalogu, gdyż co do szczegółów o śmierci, ordynacyi, konsekracyi itp. biskupów

---

(1) Bulla ta ma we wszystkich rękopisach mylną datę 1259, wszelkie wątpliwości usuwa jednak drugi rok pontyfikatu. Ob. Potthast, Regesta pontificum II. N. 24423.

(2) Kętrzyński zwraca na to uwagę tylko przy zapisie o zabójstwie Przemysława w następujących słowach str. 365. Tak daleko czerpały katalog i rocznik świętokrzyski z jednego źródła; dalszy ciąg zaś wyjęty jest skądinąd.

łatwiéj może być pierwotném źródłem katalog, na podstawie archiwalnych źródeł układany, niźli rocznik świętokrzyskiego klasztoru, zresztą wiadomości te o biskupach są cokolwiek dokładniejsze w katalogu; godząc się zaś na to zdanie, należałoby założenie rocznika odnieść aż do końca XIV wieku. Natomiast jednak porównywając powyżéj wspomniane zapiski z XIII wieku, spostrzegamy, że tekst rocznika jest znacznie obfitszy i pod każdym względem w stosunku do tekstu katalogu robi wrażenie źródła pierwotnego. Co ważniejsza jednak, jeśli przypatrzymy się zapiskom katalogu z X, XI, XII i XIII wieku, o które jest bogatszym od katalogu III a które na rocznikarskim polegają materyale, spostrzeżemy, że wszystkie te zapiski znajdują się w roczniku świętokrzyskim. Jestto dowód dostateczny, że nie rocznik z katalogu korzystał, ale odwrotnie, zapiski te bowiem, jako z rocznika krótkiego pochodzące, są integralną częścią rocznika świętokrzyskiego (1).

Nie potrzebujemy zatém czasu założenia rocznika posuwać w ostatnie dziesiątki XIV wieku, rozważywszy jednak starannie charakter jego zapisek od r. 1287 począwszy, przekonamy się, że ten termin przypada mniéj więcéj około r. 1331 i że od zapiski o bitwie pod Pławcami (str. 78) zaczyna się rocznik w właściwém tego słowa znaczeniu, współcześnie ze zdarzeniami spisywany. Źródłem wszystkich wcześniejszych samodzielnych zapisek była tradycya a co najwięcéj w kilku tylko miejscach luźne notatki w księgach klasztornych przechowane (2).

Cennym dodatkiem tego wydania, którego edycya Arndta nie posiada, jest obfite dopełnienie rocznika świętokrzyskiego, sięgające do r. 1556, wyjęte z kodeksu Krasińskich i starannie opracowane przez Dr. Romana Maurera. Niewielkie wprawdzie znaczenie ma wśród źródeł XVI wieku rocznik średniowiecznym sposobem pisany, w każdym razie jednak dopełnienie to ma niektóre ciekawe zapiski, a jako rzecz zupełnie nowa zasługuje na uwagę.

---

(1) *Św. Wojciech, poselstwo po koronę*, męczeństwo pięciu pustelników, *interdykt po śmierci św. Stanisława*, przeniesienie ciała św. Stanisława, wojna czeska 1111 (pod Baldwinem), Piotr kardynał 1196 (pod Pełką), fundacye Iwona, Tatarzy 1271. Tylko zapiski podkreślone nie pochodzą z rocznika krótkiego.

(2) Dokładne uzasadnienie tego twierdzenia, któreby ramy téj recenzyi przekraczało, odłożyć muszę do osobnéj rozprawy. Zajmując się dawniéj tylko redakcyą rocznika krótkiego w świętokrzyskim zawartą a nie rozpatrując dokładniéj samodzielnéj części świętokrzyskiego, sądziłem, że współczesne zapiski jego rozpoczynają się tam, gdzie się kończy redakcya r. krótkiego. Wskutek tego błędna jest limitacya chronologiczna *żywota Piotrowego* w przytoczonéj powyżéj rozprawie mojej p. n. Tradycya o Kazimierzu Mnichu, co zresztą jeszcze niżéj będę miał sposobność wyjaśnić.

*Rocznik małopolski* należy niezaprzeczenie do najzawilszych w historyografii naszéj łamigłówek a przytém jest bez wątpienia jednym z najważniejszych rocznikarstwa polskiego zabytków. Bielowski tém głównie różni się w wydaniu tego pomnika od swych poprzedników, wydawców niemieckich, że Arndt i Röpel zestawiają razem cztery teksty swych „Annales Polonorum,“ jako odrębne redakcye tego samego rocznika, on zaś, oddzieliwszy t. z. redakcyą I wydawców niemieckich i wydawszy ją jako rocznik Traski w II tomie, resztę tekstów, jako rzecz od tego rocznika zupełnie różną wydał pod nazwą rocznika małopolskiego w III tomie Monumentów. Oceniając tom II zganiłem, i to dość ostro nawet, to rozrywanie Arndtowskich „Annales Polonorum,“ dziś jednak przyznać to muszę, że rocznik Traski za rzecz odrębną uważać należy, przekonany, nie nowém wydaniem wprawdzie, ale znakomitą rozprawą Dr. Kętrzyńskiego, niedawno ogłoszoną (1). Badania Kętrzyńskiego, jakkolwiek w wynikach swych zasadniczo się różnią od naszych zapatrywań, w rozprawie o rocznikach polskich niegdyś złożonych (2), w niektórych ważnych i wobec sądu o tym roczniku stanowczych punktach zgadzają się z niemi zupełnie (3). Nie tutaj miejsce rozbierać tę kwestyą obszernie, wymagałoby to osobnéj rozprawy, dość tylko zaznaczyć, że i Kętrzyński nie uważa tych badań za ukończone, przyznaje, iż bez nowego, dokładnego zbadania rękopisów muszą pozostać niektóre luki niewypełnione i nierozwiązane zagadki. Jest więc jeszcze pole do dalszych nad tym rocznikiem badań, zanim się wszelkie, najważniejsze przynajmniéj wątpliwości usuną i trudności rozwiążą; gdy to zaś nastąpi (a w takim razie nie wątpię, że główny zrąb zapatrywań Kętrzyńskiego się utrzyma), wartoby na podstawie tych wszystkich badań dokonać nowego, *wzorowego*, że się tak wyrażę wydania tego rocznika, w którymby wszystkie jego części składowe i wszystkie pokłady, z postępem czasu przy pierwotnym tekście nagromadzone, należycie rozróżniono i uzmysłowiono.

---

(1) Kętrzyński, o roczniku małopolskim. Przyczynek do annalistyki polskiéj w XIII i XIV wieku, w X. tomie Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, str. 201—242 i w osobnéj odbitce.

(2) Smolka, Polnische Annalen 31—52, 99—134.

3) Przedewszystkiém zgadzamy się co do wspólnéj podstawy roczników, krakowskiego i małopolskiego, do połowy XIII w. i co do znaczenia tekstu królewieckiego. Kętrzyński przyznając mi (str. 7) w zbyt nawet pochlebnych wyrazach słuszność w rozróżnieniu części składowych rocznika, w dalszéj części rozprawy nie uwzględnia prawie zupełnie tego rozróżnienia (mianowicie w partyi od r. 1270—1325) i to poczytywałbym mu za jeden z najważniejszych jego pracy niedostatków.

Bądź co bądź, takie wydanie wzrowe wielceby się różniło od zamieszczanéj w III tomie edycyi, i to pewna, że takie traktowanie tego pomnika, jakie tu znajdujemy, nie przysposabia go jeszcze zgoła do tego, żeby zeń w pracy historycznéj bez własnych mozolnych nad nim studiów z pewną ścisłością można było korzystać. Czytamy wprawdzie w przedmowie, że to jest praca rozmaitych kompilatorów, że „w kolei lat coraz nowe przybywały w nim dopełnienia,“ które „czerpane były z różnych źródeł i nie przez jednego dopełniacza“; słowem same takie ogólne uwagi, które co najwięcéj za charakterystykę pomnika uważać można, ale napróżno szukalibyśmy dokładnych, szczegółowych wskazówek, gdzie to owe dopełnienia rozróżniać należy, z jakich źródeł mniéj więcéj kompilatorowie czerpali itp. Wyniki naszych badań o tym roczniku były po części hipotetyczne i niekiedy nie wykraczały po za granicę skromnych usiłowań wprowadzenia jakiegoś ładu w ten chaos, jakim jest ten rocznik, nie dziw więc, że ich w tém wydaniu nie uwzględniono. Ale rozróżnienie składowych części rocznika między r. 1270 a 1325 nie było hipotezą i zdaje nam się, że na uwzględnienie zasługiwało. Przedewszystkiém zaś, jeśli co w naszéj pracy było rzeczą pewną i niezbitą, to ów tak jaskrawy, wybitnie franciszkański charakter rocznika małopolskiego i pokrewnych mu pomników, który staraliśmy się wyraźnie zaznaczyć, rozróżniając w annalistyce polskiéj odrębną, obfitą grupę franciszkańską. Nie uwzględnił tego jednak wydawca, nie wspomniał nawet w przedmowie ani słowem o Franciszkanach, a uznając tylko, że rocznik jest dziełem zakonu żebraczego, przypisuje zasługę jego spisania—Dominikanom, za czém nic a nic zgoła nie przemawia. Boć, że do źródeł, z których w roczniku korzystano należała kronika Marcina Opawskiego, Dominikanina, jeden z najbardziéj wszędzie w średnich wiekach rozpowszechnionych podręczników, to przecież rocznikowi dominikańskiego piętna nie nadaje. W inny sposób należało skorzystać z niedawnego odkrycia że rocznik małopolski z Marcina Opawskiego korzystał, należało się przekonać, że początek rocznika małopolskiego, utkany z ustępów kroniki Marcina i mistrza Wincentego a wydany w II tomie Monumentów, bez potrzeby od reszty oderwano, należało odwołać to wszystko, co wprzedmowie do edycyi tego początkowego ustępu w II tomie powiedziano.

Mimo to wszystko przyznać wypada, że to wydanie rocznika małopolskiego jest znacznie pożyteczniejsze i praktyczniejsze od Arndtowskiéj edycyi *Annales Polonorum*. Wyższość tę mianowicie w tém upatrujemy, że tekst kodesku lubińskiego, w wydaniu niemieckiém razem z tekstem kod. kuropatnickiego za jednę redakcyą

(III) uważany, umieszczony jest tutaj osobno, przez co uwydatniają się jego właściwości i bliższe raczéj z tekstem kod. królewieckiego pokrewieństwo (1). Do dalszych studiów krytycznych nad rocznikiem małopolskim zawiéra zatém to wydanie obfitszy i przydatniejszy materyał, jeśli zaś przyjdzie pora na nowe, jakeśmy się powyżéj wyrazili, *wzorowe* wydanie tego pomnika, to spodziewamy się w następnym tomie Monumentów znalazłoby się na nie miejsce .

Z pośród zabytków annalistycznych w III tomie po raz pierwszy ogłoszonych zasługuje rocznik, przez wydawcę *rocznikiem Krasińskich* nazwany, z powodu swéj oryginalności i zagadkowéj treści na szczególną uwagę. Rocznik ten znajduje się w rękopisie Krasińskich „pisany w XVI wieku, obok rocznika świętokrzyskiego, w drugiéj pierwotnie biało zostawionéj przedziałce. Pismo w nim jest nie jednostajne i odmienny trochę atrament. Zdaje się, jakby było nie jednej ręki a przynajmniéj nie jednoczesne i różnego pióra. Niektóre zapiski nie mają żadnego związku z historyą Polski i dawniéj były już tam wciągnione. Pomiędzy nie i na brzegu górnym wpisywano ten rocznik i zostawiano daléj znowu odstępy białe, w które późniéj czarniejszym atramentem zdarzenia niektóre wtrącono. Po roku 1060 jest przerwa: dwie stronnice zostawiono niezapisane, na dalszych dwóch robiono tylko dodatki do tekstu świętokrzyskiego rocznika mniejszéj wagi, zaś od karty 109 aż do 117 ciągnie się jednostajnie reszta tego rocznika z trzema tylko widocznie późniejszéj ręki wtrętami.“ Tak opisuje wydawca rękopis w bibliotece hr. Krasińskich zachowany, a opis ten jest istotnie koniecznie potrzebny, żeby zdać sobie sprawę z charakteru i genezy rocznika; chcąc zresztą zadanie to w sposób zupełnie zadawalniający rozwiązać, należałoby jeszcze sięgnąć do rękopisu i dokładniéj zająć się jego zbadaniem. Czytając ten opis rękopisu, możnaby myśléć, że to jest przypadkowa zbieranka luźnych, z rozmaitych źródeł czerpanych zapisek, trudno jednak, żeby w ten sposób powstał rocznik, jednolitą całość stanowiący, sięgający od chrztu Mieszka do połowy XIV wieku. Za odrębny rocznik uważa téż ten pomnik Bielowski, bez potrzeby jednak odróżnia w nim dwie części z powodu przerwy, która się w rękopisie znajduje, przerwa bowiem następuje po r. 1060, pierwsza zapiska zaś po przerwie jest z r. 1082 a odstępy dwunastoletnie pomiędzy zapiskami często się zdarzają; przed przerwą zresztą i po przerwie ma rocznik zupełnie ten sam charakter. „Pierwsza część tego rocznika,“

(1) Przyznajemy, że niejednego błędu w rozprawie naszéj o rocznikach polskich (z r. 1873) bylibyśmy się ustrzegli, gdybyśmy byli mogli z tego wydania korzystać.

mówi wydawca, „aż po rok 1060 ciągnąca się jest nader ważna z tego względu, iż ma kilka zapisków jednobrzmiących prawie z rocznikiem kapitulnym krakowskim i z rocznikiem kamienieckim: są to dwa roczniki najstarsze, których źródłem był, jak wiadomo, dawny zatracony już rocznik krakowski, wspomniany w bulli papieża Innocentego IV. A że zapiski rocznika Krasińskich, jakkolwiek zgodne co do istoty z rocznikiem kapitulnym i kamienieckim, różnią się jednak nieco od nich tak w oznaczeniu lat, jako i co do niektórych wyrażeń, a prócz tego ma niniejszy rocznik ważne zapiski takie, które się ani w obu pomienionych rocznikach ani w żadnym innym pomniku nie znachodzą, więc nasuwa się widocznie ten wniosek, iż podstawą tego oto rocznika Krasińskich był ów dawny, pierwotny rocznik krakowski wspomniany w bulli Innocentego IV papieża, i z niego on zapiski te powyjmował.“ Wydawca uważa to za rzecz tak pewną, iż wnosi stąd nawet, że ów pierwotny, zatracony rocznik krakowski, „znajdował się jeszcze w Polsce w wieku XVI i że z niego użytek wtedy robiono.“ My tego przypuszczenia zgoła nie podzielamy. Prócz rocznika kapitulnego i kamienieckiego mamy bowiem przecież inne jeszcze źródła pochodne, które z pierwotnego rocznika krakowskiego czerpały, trudno więc przypuścić, żeby w tym roczniku istotnie znajdowały się te oryginalne, tylko rocznikowi Krasińskich właściwe a pełne prawdziwych niespodzianek wiadomości, któreby wszyscy z pierwotnego rocznika korzystający, jakby z umysłu, jakby za wzajemném porozumieniem opuścili.

W całym bowiem roczniku Krasińskich od początku do końca pełno takich, jedynych w swoim rodzaju niespodzianek. Już pierwsza zapiska, że św. Cyryl i Metody ochrzcili Mieszka a św. Wojciech go bierzmował, należy do téj kategoryi, to znów pod r. 1040 jakiś Władysław, syn *króla tynieckiego*, zostaje biskupem krakowskim, to daléj mamy dokładną datę, kiedy Tatarzy, do owego czasu w wnętrzu góry jakiéjś zamknięci, po raz pierwszy na świat się wydobyli; późniéj zaś w ciągu XIII wieku spotykamy nie tak już dziwaczne, ale zawsze oryginalne, innym rocznikom zupełnie nieznane wiadomości, wśród coraz rzadziéj rozsianych zapisek, które i w innych rocznikach odszukać się dadzą. Po r. 1284 następuje dłuższa, dwudziestoletnia przerwa, siedm zaś następujących po niéj zapisek, które zakończenie rocznika stanowią, ma tę właściwość, że wszystkie bez wyjątku daty są w nich pomylone.

Niepodobna wykazać źródła oryginalnych wiadomości tego rocznika. Wydawca zwraca uwagę na ciekawe i również niespodziewane pokrewieństwo tekstu między zapiską o śmierci św. Wojciecha a t. z. *Passio b. Adalberti*, pomnikiem XI wieku, niedawno od-

krytym z którego, jak wiadomo, żaden historyograficzny pomnik u nas nie korzystał; słusznie również nadmienia, że ostatnie zapiski z XIV wieku objawiają niejakie pokrewieństwo z t. z. Spominkami wiślickiemi, także niedawno odkrytemi i wydanemi w tym dopiéro tomie Monumentów. Nie spostrzegł jednak wydawca bliskiego stosunku między niektóremi oryginalnemi wiadomościami tego rocznika a kilkoma ustępami Długosza, ob. zapiski z lat 1096 (Długosz, Hist. Pol. tom I str. 426), 1134 (Dł. I. 548), (1) 1152 (Dł. II. 50 pod r. 1158) 1204 (Dł. II. 235 pod r. 1231), 1229 (Dł. II. 230), 1230 (Dł. II. 232), 1242 (Dł. II. 289), 1249 (Dł. II. 321), 1252 (Dł. II. 352), 1254 (brachium—datum est Dł. II. 345), 1264 (Dług. II. 392), a może i 1222 (Dł. II. 212). Rękopis rocznika pochodzi z XVI wieku, mógłby więc ktoś przypuścić, że to autor w tym czasie żyjący upstrzył swą kompilacyą wiadomościami wyjętemi z Długosza. Tak jednak być nie mogło, niektóre bowiem z tych zapisek mają wybitnie rocznikarski charakter a jakkolwiek odpowiednie ustępy Długosza zawierają nierównie pełniejsze, balastem słów zaopatrzone opowiadanie, to w zapiskach rocznika znajdują się drobne szczegóły nieznane Długoszowi, ob. zwłaszcza 1204, 1229 (różnica: Bononia—Perusium), 1254. Niemniéj pewną jest rzeczą, że Długosz nie czerpał z tego rocznika, przynajmniéj w tym kształcie, jak go teraz posiadamy, gdyż byłby niezawodnie użył niejednéj z jego sensacyjnych wiadomości (przedewszystkiém 1.332, 1.253, a 1.220 lub 1.130 byłyby mu dopiéro materyału do amplifikacyi dostarczyły). Wytłómaczyć sobie zatém ten stosunek można tylko jakiémś wspólném źródłem, którego natury i wartości niepodobna ściśléj określić. Słowem, gdyby ktoś w dzisiejszych czasach chciał zmistyfikować naszych krytyków jakimś fabrykatem, trudnoby mu było wymyśléć coś bardziéj zagadkowego od tego rocznika. Warto wreszcie jeszcze nadmienić, że z dość obszernego ustępu o fundacyi kościoła dominikańskiego w Krakowie, z zapiski pod r. 1249, która pomiędzy posłami do Rzymu wyszczególnia jedynie jakiegoś podprzeorzego klasztoru Dominikanów z epitetu „pater fratrum ordinis Predicatorum," danego Prandocie z Białaczowa a wreszcie i z oryginalnéj zapiski o zgonie Iwona biskupa wnosić można, iż rocznik ten powstał pierwotnie w jakimś dominikańskim klasztorze.

Reszta materyałów rocznikarskich, po raz pierwszy w tym tomie wydanych, są to po największéj części drobiazgi niewielkiego

(1) Zapiska ta w innéj cokolwiek formie znajduje się także w innych rocznikach. Cytaty z Długosza podane są według wydania Przeździeckich.

znaczenia, które jednak wydać w Monumentach koniecznie należało; nieraz zresztą znajdzie się w nich coś wcale ciekawego. Trudności w wydaniu ich nie było, po większéj części bowiem zachowane są te drobiazgi w jednym tylko rękopisie i nie mają żadnego związku z innemi źródłami, któryby należało wyjaśnić. W części przygotował je jeszcze do druku Bielowski, w części opracowali je uczniowie seminaryum historycznego prof. Liskego, pp. Kalitowski, Lorkiewicz i Lukas; zbyt znany jest ten zakład, żeby trzeba dodawać, że opracowanie tych drobnych pomników dokonane jest bez zarzutu z wszelką chwalebną starannością. Jeden zarzut zrobiliśmy tylko redakcyi, że w ułożeniu tych materyałów nie zaprowadziła większego ładu, któryby ich przegląd ułatwiał; najstosowniéj było wydać je w kilku odrębnych grupach.

Pierwszą grupę stanowią t. z. *spominki*, tj. drobne zapiski rocznikarskie, od roczników właściwych odróżniające się ułamkowością, brakiem wszelkiego planu i zupełnym zwykle nieładem pod względem chronologicznym; charakterystycznem ich znamieniem jest zarazem lokalna zwykle cecha tych zapisek. Pomiędzy temi spominkami najważniejsze są: płockie i sochaczewskie, wiślickie i t. z. mięszane.

W drugiéj grupie umieścilibyśmy cztery roczniki: Chotelskiego (143o—1576), Kaspra Perzyńskiego (141o—1548), Stanisława Naropińskiego (996—155o) i Jana z Targowiska (1386—1491) i najwięcéj do nich pod względem treści zbliżony rocznik trzemeszeński z XVI w. pod tytułem „kronika klasztoru trzemeszeńskiego", wydany przez Dr. Hirschberga; są to wszystko, jak już z samych dat widać, późniejsze roboty rocznikarskie wiadomego pióra, z całym korpusem tak ściśle z sobą związanych naszych roczników nie mające żadnego związku genetycznego. Najciekawszy z nich jest rocznik Jana z Targowiska, biskupa przemyskiego. Daléj spotykamy między temi materyałami kilka luźnych opowiadań wierszem i prozą, jak i spustoszenie Sambora w r. 1498, hołd wołoski z r. 1486, ciekawe genealogiczne wiadomości o Ciołkach i Łaskich, wiersz na cześć Spytka z Melsztyna, znany wiersz o świętopietrzu z XV wieku, słowem materyały, które w planie wydawnictwa *Monum. Germ. histor.* zaliczono do kategoryi *Antiquitates*. Nareszcie kilka drobnych elaboratów historycznych z XV wieku, które zarówno koszlawe pod względem treści i formy, raczéj dla kompletu jako drobiazgi literackie niż jako materyały historyczne dostały przepustkę do Monumentów: t. z. rocznik mazowiecki (z XIV w.), rodowody i tablice królów polskich, t. z. kroniczka rymowana, t. z. „zbieranka skrócona o królach polskich,"

wreszcie obszerniejsza cokolwiek kompilacya, którą p. n. „Zdarzenie godne pamięci“ bardzo starannie wydał p. Larkiewicz.

Po tych wszystkich drobniejszych pomnikach następują cenne, po raz pierwszy tutaj dopiéro ogłoszone i z wzorową starannością wydane *katalogi biskupów krakowskich* i *arcybiskupów gnieźnieńskich*.

Niemałe trudności miał Dr. Kętrzyński w wydaniu katalogów biskupów krakowskich. Główną trudność stanowił zawiły stosunek między katalogami III, IV i V. Wydawca stara się po dokładném porównaniu tekstów zawiłości tę wytłómaczyć i opracowuje następnie tekst rocznika z wzorową dokładnością, stosując się ściśle do wskazówek, jakich mu wytłómaczenie stosunku między temi trzema katalogami dostarczyło, i odróżniając widocznie odmiennym drukiem poszczególne części składowe tego ważnego pomnika. Nie możemy powiedzieć, iżby rozwiązanie téj zawiłości wszelkie wątpliwości usunąć zdołało, przyznać jednak musimy, że samo wydanie bez przesady wszelkim tego rodzaju pracom za wzór służyć może. Nie poważamy się twierdzić, że teorya wydawcy o starożytności III katalogu jest mylną a jakkolwiek argumenta, przemawiające za tém, są wcale poważne, (1) to jednak nasuwają się pewne wątpliwości, czy katalog III istotnie kończył się na Gedeonie, czy raczéj nie jest może fragmentem. Choćbyśmy bowiem ustępy zaczynające się od „huius tempore“ itp. według wskazówki wydawcy uważali za dopiski marginesowe do pierwotnego tekstu dołączone, to i w takim razie ten tekst pierwotny wydałby nam się zanadto gadatliwym jak na pomnik z końca XII wieku, starszy od lakonicznych katalogów I i II. Zdanie Kętrzyńskiego o starożytności katalogu III opiera się wreszcie na tém, że w nim pierwsi biskupi krakowscy nie mają jeszcze tytułu arcybiskupów a baśń o arcybiskupstwie powstała dopiéro w pierwszéj połowie XIII wieku. Przy Aaronie znajduje się wprawdzie w katalogu III wiadomość, że go Papież Benedykt IX wyniósł do godności arcybiskupiéj, podany jest nawet tekst owego znanego, podrobionego breve papieskiego, Kętrzyński jednak uważa ten ustęp za wtręt

(1) Za poważny argument uważamy mianowicie spostrzeżenie, że katalogi do Gedeona włącznie używają wyrażenia *ordinatur*, później zaś przeważnie *assumitur, consecratur, postulatur* itp. *in episcopum.* Sądzimy tylko, że wydawca z tego spostrzeżenia nie wydobył właściwego wniosku. Wiadomo bowiem, że właśnie od początku XIII a może już od końca XII wieku zmienił się w Polsce sposób obsadzania stolic biskupich, a czasy Pełki są właśnie chwilą przełomu. Różnicy téj w wyrażaniu się możnaby więc przypisywać nietylko stylistyczne znaczenie, a właśnie w późniejszych czasach nie byłoby poczucia téj istotnéj różnicy.

późniejszy, ponieważ katalog IV, który z III czerpał, tego breve nie zawiera. Możnaby się na to zgodzić, gdyby przy następnym biskupie Lambercie nie było w obydwu katalogach fatalnego ustępu: „*Hic neglexit petere insignia archiepiscopatus, videli est pallium beati Petri et crucem ideo ab eo tempore cessavit archiepiscopatus in Cracovia.*" Według słusznéj metody, którą się p. K. w odróżnianiu pierwotnego tekstu katalogu III od późniejszych wtrętów posługuje, należałoby ten ustęp, jako znajdujący się w kat. III i IV, poczytać za tekst pierwotny. Wbrew téj metodzie uważa go jednak p. K. za interpolacyą, dodając tylko, że „skoro się znajduje również w katalogu IV i V, to dowodzi, iż ustęp ten we wszystkich trzech katalogach z jednego źródła pochodzi" (1). Każdy przyzna, że na takie, bardzo dowolne tłómaczenie trudno się zgodzić. Nierównie łatwiéj przypuścić, że były dwie wersye o arcybiskupstwie krakowskiém, jedna tylko Aaronowi przyznawała godność arcybiskupią, druga wszystkim siedmiu pierwszym aż do Aarona. Jeśli katalog III reprezentował pierwszą wersyą, to nie dziw, że zawierał pod Aaronem breve Benedykta IX, pod Lambertem zaś ustęp *Hic neglexit...*, niedziw również, że autor katalogu IV, przechylając się do drugiéj wersyi, dla sławy kościoła krakowskiego jeszcze zaszczytniejszéj, zostawił ten ustęp o Lambercie, ale opuścił breve, jako rzecz sprzeciwiającą się *pierwotnéj* arcybiskupiéj godności. Jedyny byłby tylko sposób, żeby katalog III bez naruszenia zasad krytyki uratować od ustępu *hic neglexit.* Wydawca przypuszcza, ale nie twierdzi stanowczo, że ustępy, zaczynające się od „huius tempore," nie należały do pierwotnego tekstu katalogu III, ale dostały się doń późniéj, jako noty marginesowe, w każdym razie jednak przedtém, nim kat. IV z niego korzystał. Jeśliby się z tém zgodzić i w ogóle wszystkie tego rodzaju dodatki uważać za dodatki późniejsze a jako pierwotny tekst katalogu III wyobrażać sobie mniéj więcéj suchy szkielet chronologiczny z samemi latami ordynacyi i panowania biskupów, w takim razie i ustęp *hic neglexit* mógłby uchodzić za wtręt późniejszy. Cokolwiek kto jednak sądził o tém, choćby katalog III był nawet tylko fragmentem na Gedeonie urwanym, w każdym razie jest starszym od katalogu IV, który z niego korzystał, w każdym razie zatém wydanie tekstu z użyciem odmiennego druku na odznaczenie różnorodnych ustępów jest zupełnie uzasadnione.

---

(1) Przytém cytuje wydawca żywot św. Stanisława Wincentego z Kielc. Z tego tak rozpowszechnionego u nas po r. 1253 dzieła ustęp ten nie pochodzi, tam bowiem czytamy: *Lambertus archiepiscopatus insignia petere noluit,* tekst zaś *neglexit petere insignia archiepiscopatus* właściwy jest rocznikom.

W katalogu IV rozróżnia wydawca trzy kontynuacye; pierwsza rozpoczyna się od Gedeona (t. j. tam, gdzie się katalog III kończy) i sięga mniéj więcéj do Pawła z Przemankowa, druga dochodzi do Wojciecha Jastrzębca, ostatni kontynuator, mnich jakiś świętokrzyski, dodaje żywoty Oleśnickiego i Strzępińskiego. Nie możemy się tylko zgodzić z rozróżnianiem osobnéj kontynuacyi od Pawła z Przemankowa. „Naprzód," mówi wydawca, „różnią się ustępy, które pierwszemu kontynuatorowi przypisujemy, rozmiarem swoim od następujących, które znacznie są krótsze i późniéj dopiéro znów większe przybierają rozmiary, co zawsze uważać można za dowód, że to jest dalsza kontynuacya późniejszego autora." Gdyby zaś wszystko od Pełki aż do Jastrzębca pisał jeden autor, „musiałby był korzystać ze źródeł a to ze źródeł nam znanych, do których liczymy mianowicie rocznik kapitulny i kalendarz krakowski, bo żywa tradycya i własna pamięć nie wystarczają, aby dokładnie objąć półtrzecia wieków dziejów. Wykazać jednak nie można, żeby autor był korzystał z pomienionych źródeł; a gdzie zachodzą pewne podobieństwa, tam zachodzą również takie różnice, iż powiedzieć trzeba, że jest samodzielném źródłem; pierwszy kontynuator więc żył zapewne w końcu XIII wieku." Wszystko to są względy, przemawiające może poniekąd za zdaniem wydawcy, ale nie są jeszcze dowodem przekonywającym. Natomiast przeciw niemu świadczy stosunek między katalogiem IV a rocznikiem świętokrzyskim, na który wydawca za mało zwraca uwagi. Katalog IV czerpał bowiem z rocznika świętokrzyskiego, jak to powyżéj staraliśmy się wykazać, a stosunek ten objawia się w całym ciągu katalogu i sięga do drugiéj połowy XIV wieku. Chcąc zatém utrzymać twierdzenie o trzech kontynuacyach, musielibyśmy chyba przypuścić, że drugi kontynuator poprzestał na dopisaniu żywotów od Pełki do Prandoty, trzeci zaś dopiéro zajął się nowém opracowaniem katalogu III, dopisując dodatki do niego a zarazem i do poprzedniéj kontynuacyi.

*Katalogi arcybiskupów gnieźnieńskich* opracowane z wielką również starannością przez prof. Liskego, nie nastręczały już przy wydaniu takich trudności. Wydawca wyjaśnia przedewszystkiém w sposób zupełnie przekonywający stosunek między katalogiem I a katalogiem Długosza, dowodząc, że kat. I powstał w czasach Długoszowych niezależnie od jego pracy i opierał się aż do Mikołaja Kurowskiego włącznie na tém samém źródle, z którego przeważnie czerpał także Długosz; wykazuje również, że początek tego katalogu przechował ślad jakiegoś starego spisu arcybiskupów, który się kończył na Jakóbie ze Żnina. Słusznie twierdzi następnie wydawca, że rękopis katalogu I jest autografem i że autor był zakonnikiem święto-

krzyskim. Systematyczne porównanie z katalogiem Długosza, podane w adnotacyach, daje dobre wyobrażenie o wspólném obu tych pomników źródle. Z równą troskliwością dokonane jest wydanie II katalogu (z XVI w. z kontynuacyą do połowy XVIII), którego części składowe wydawca starannie odróżnia.

Niedostatecznie jednak, zdaniem naszém, tłómaczy wydawca, w jaki sposób trzéj pierwsi niegnieźnieńscy arcybiskupi dostali się do tych katalogów. Rzecz jasna, że to są arcybiskupi moguncccy. Wydawca składa winę téj omyłki na pierwotne duchowieństwo polskie, z Czech pochodzące, sądząc, że czescy kapłanie, przywykli uważać arcybiskupów moguckich za swych zwierzchników, zapisywali zrazu daty ich śmierci w swych kalendarzach i nekrologach, lub téż nawet przywieźli z sobą kalendarze z takiemi zapiskami, z których późniéj, kiedy o tém pamięć zaginęła, wpisano imiona tych arcybiskupów jako gnieźnieńskich do roczników i katalogów. Przypuszcza wreszcie, że może przy tém nie obeszło się bez wyraźnego fałszerstwa, gdyż kościołowi gnieźnieńskiemu zależało na reputacyi starszeństwa w hierarchii duchownéj, zwłaszcza w stosunku do starszego istotnie biskupstwa poznańskiego. Wiadomości o tych trzech arcybiskupach moguckich nie dostały się jednak do polskich roczników z luźnych zapisek kalendarzowych, ale jak to Waitz wykazał, w tekście rocznika *moguckiego*, sięgającego od r. 730 do początku XI stólecia, który przez Pragę przybył do Polski i staremu rocznikowi krakowskiemu za fundament posłużył (1). O moguckiém pochodzeniu tego rocznika nigdy pewnie w Polsce nie wiedziano a o dacie założenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, odkąd żywa tradyca tego faktu zaginęła, z rodzimych źródeł trudno było się dowiedzieć. Znana jednak była dokładnie i we wszystkich rocznikach troskliwie zapisana data chrztu Mieszkowego, a więc przyjęcia chrześciaństwa w Polsce. Nic więc dziwnego, że arcybiskupów, zapisanych w roczniku krakowskim (lub jakimkolwiek pochodnym) po r. 1765, t. j. właśnie Willihalma, Hattona i Roberta, wzięto za arcybiskupów gnieźnieńskich i do katalogu wpisano; Fryderyka, poprzednika Willihalmowego († 953) już ten los nie spotkał.

Drugą, osobnym napisem zaopatrzoną połowę III tomu stanowią *źródła szląskie*. Materyałom tym, pochodzącym po większéj części z czasu, kiedy Szląsk od innych ziem polskich, Mazowsza, Kujaw lub Ziemi Krakowskiéj, niczém się nie różnił, tylko silniejszém już ciąże-

---

(1) Waitz, Verlorene Mainzer Annalen w Nachrichten von der Königl. Geseilschaft der Wissenschaften und der G. A. Universität zu Göttingen. 1873 str. 388.

niem ku niemczyźnie, słuszne w Monumentach naszych należało się miejsce. Jakoż, już od Sommersberga począwszy, który pierwszy wydał tyle ważnych naszych pomników dziejowych, niemało wyszło publikacyj szląskich uczonych, które dla dziejów naszych średniowiecznych miały pierwszorzędne znaczenie, i w ostatnich jeszcze czasach dobrze się nam zasłużyła chwalebna ruchliwość towarzystwa historycznego szląskiego. Dobrze więc, że raz i my szląskim uczonym możemy się czémś wywdzięczyć, wydając ich źródła, jeśli nie nowe i nieznane, to przynajmniéj, o co głównie chodzi, lepiéj wydane niźli w dotychczasowych publikacyach.

Najmniéj niezawodnie będzie uczonych szląskich zajmować wydanie najobszerniejszego pomiędzy temi źródłami pomnika, t. z. *kroniki książąt polskich* (str. 423—578), opracowanéj przez prof. Węclewskiego; jest to bowiem z bardzo małemi zmianami powtórzenie edycyi Stenzla z r. 1835 w I tomie Scriptores rerum Silesiacarum. Istotnie godziło się nawet zaznaczyć to w tytule, choćby tylko słowami *według wydania G. A. Stenzla.* Żaden téż pomnik nie jest w Monumentach wydany tak odmiennie od dobrych tradycyj założyciela tego wydawnictwa: Bielowski nieraz się mylił, bo i któż się nie myli, wielekroć nie zdołał się wznieść do stanowiska ścisłéj krytyki, ale z niezmordowaną pracowitością gromadził jak najobficiéj cały aparat rękopiśmienny i jeśli wydawał jakiś pomnik, który już dawniéj Niemcy byli wydali, to zawsze można było powiedzieć, że jego wydanie jest od niemieckiéj edycyi lepsze i staranniejsze.

Prof. Węclewski już w przedmowie reprodukuje przedmowę wydawcy niemieckiego, co prawda na każdéj stronnicy po kilkakroć powołując się na jego powagę. Czytając przedmowę Stenzla, poznaje się w niéj pióro wytrawnego pracownika niemieckiego z czasów pierwszych tomów Monumentów Pertzowskich, w polskich Monumentach jednak w r. 1878 wydanych dziwnie ta przedmowa wygląda, znać przecież, że pół wieku w nauce bez postępu nie mija. Ustęp o źródłach kroniki jest np., jak zresztą wszystko aż do samego zakończenia, prawie dosłownie przetłómaczony ze Stenzla, nie dziw więc, że w nim spotykamy między innemi *Marcina* Gallusa, nomenklaturę w r. 1835 bardzo modną, daléj *vita S. Adalberti*, jak gdybyśmy dziś kilku różnych żywotów św. Wojciecha nie znali, wreszcie także „*inne jakieś kroniki polskie nieznane*,“ przyczém wydawca powołuje się na trzy ustępy, z tych kronik pochodzące (1). Pierwszy

(1) Stenzel, cytując te same ustępy, wyraża się: *eine* unbekante alte polnische Chronik.

ustęp, o Popielu, jego wyrażenie się jakieś zawierający, istotnie nie wiadomo zkąd wyjęty. Drugi (str. 445), to baśń o poselstwie biskupa Lamberta do Rzymu, która w r. 1835 jeszcze zagadkowo wyglądała, dziś jednak z kroniki węgiersko-polskiéj i wielkiéj części roczników dobrze jest znana. O trzecim ustępie mógł był wydawca z naszego artykułu wiedzieć, że znajduje się w rękopisie królewieckim kroniki polskiéj (1); w każdym razie rzecz to dziwna, że na dalszych stronicach tego samego tomu Monumentów toczy się o ten ustęp żwawa polemika, a w przedmowie do wydania kroniki książąt polskich mamy i przy téj sposobności tylko reprodukcyą Stenzla. Rękopisy kroniki opisuje wydawca również ściśle według Stenzla a w końcu dodaje, że w swém „wydaniu, uskutecznioném na fundamencie tekstu Stenzlowego miał do pomocy jedynie:“ 1) kronikę Benedykta z Poznania z XVI w., która od r. 1242 prawie dosłownie kronikę książąt polskich wypisywała i 2) odmianki z kodeksu Sędziwoja (od rozdz. 17) dobrane przez Dr. Z. Celichowskiego; obydwu tych tekstów wartość ceni wydawca bardzo nisko. W opisie manuskryptów czytamy: „ósmy rękopis ma być w tajném archiwum królewieckiém, o czém Jan Voigt doniósł Stenzlowi po czasie, kiedy tenże już był opracował tom I wyżéj wzmiankowanego dzieła.“ Stenzel usprawiedliwia się z tego, że nie mógł już korzystać z królewieckiego manuskryptu, i nikt mu z tego nie mógł robić zarzutu, ale po latach 43, kiedy się przystępowało do nowego wydania, można się było przekonać, że manuskrypt archiwum królewieckiego Nr 18 (z XVI w.) zawiera istotnie kronikę książąt polskich i nie tak trudno było postarać się o kolacyą tego tekstu, skoro t. z. „Zdarzenia godne pamięci“ w tym samym tomie Monumentów, str. 296—313, wydane z tego samego rękopisu pochodzą.

Jakąkolwiek wartość miałby tekst rękopisu królewieckiego, w każdym razie śmiało twierdzić można, że z dwoma nowemi, dotychczas niezużytkowanemi rękopisami i z pomocą niezużytkowanéj również kroniki Benedykta z Poznania można było zdobyć się na samodzielne wydanie kroniki, nie poprzestając na przedruku edycyi Stenzla. P. W. podaje jednak tylko ten tekst, opuszcza jednak obfity przez wydawcę niemieckiego nagromadzony aparat krytyczny, gdzieniegdzie zaś tylko poprawia tekst według kroniki polskiéj a odkąd zaczyna się rękopis Sędziwoja i kronika Benedykta, także według

---

(1) Smolka, Ueber eine bisher unbenutzte Königsberger Handschrift des Chron. Polono-Silesiacum, w Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthümer Schlesiens XII. 454.

tych dwóch środków pomocniczych, których odmianki (oraz kilka obszerniejszych oryginalnych ustępów Benedykta) starannie zapisuje. Co do kroniki Benedykta, to zapewne w ten sposób najstosowniéj było ją zużytkować, gdyż osobne wydanie tego pomnika, które, o ile mi wiadomo, pierwotnie zamierzano w Monumentach umieścić, byłoby zupełnie zbyteczne. Zużytkowując kronikę Benedykta, staje się jednak wydawca znów wassalem niemieckiego autora, który pierwszy obszerniejszą o téj kronice podał wiadomość, Röpella. Jak gdyby Monumenta Dobnera były niedostępną jakąś rzadkością, przytacza spostrzeżenie Röpella o pochodzeniu niektórych ustępów Benedykta z kroniki Pulkawy, kiedy przecież tak łatwo było to sprawdzić. W każdym zaś razie należało przynajmniéj skorzystać sumiennie z pracy niemieckiego autora. Wydawca tymczasem powiada np. str. 559: „W kronice Benedykta na fol. 22—26 mieści się rozdział pod tytułem z De appellacione Joannis Huss heresiarche et eius citatione, który z drobnemi odmianami *ma brzmiéć jak dokument* umieszczony w Historia et Monumenta Joh. Hussi, Norimb. 1558. fol. 1. XVII (1) podług Röpella w: zur Quellenkunde“ i t. d. i przytacza następnie ten ustęp w całéj osnowie. Dość jednak uważnie przeczytać to miejsce w rozprawie Röpella, żeby się przekonać, że nie ten ustęp ma brzmiéć jak dokument, tylko że w ciągu tego ustępu znajduje się znana apelacya Husa z r. 1412, ogłoszona w przytoczoném dziele (2). Trudno również zrozumiéć, dla czego wydawca przy następnym ustępie o Husie i Hieronimie z Pragi nie korzystał z dokładnych wskazówek Röpella o źródłach kroniki Benedykta, podobnie jak przy ustępach na str. 492, 500 i 501, wyjętych z kroniki Jana Marignoli. W ogóle ani w przedmowie, ani w wydaniu tekstu nie wykazał źródeł, z których Benedykt obok kroniki książąt polskich czerpał, ani téż nie uwydatnił ustępów, polegających na źródłach nieznanych, a wszystko to bez własnych studyów mógł łatwo uczynić, gdyby był chciał tylko starannie wyzyskać rozprawę Röpella.

Z tém wszystkiém przyznać należy, że nowe to wydanie w skutek użycia rękopisu Sędziwoja i kroniki Benedykta pod pewnym względem większą ma wartość od edycyi Stenzla; mimo to dla aparatu krytycznego zawsze jeszcze trzeba będzie sięgać do dawnego wydania a z oryginalnych ustępów Benedykta trudno będzie bez rozprawy Röpella korzystać.

---

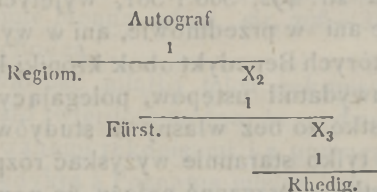
(1) W rozprawie Röpella jest w tém miejscu omyłka druku, zamiast „vol. I fol. XVII. v.“ „*fol.* etc.“ z czego wydawca zrobił fol. 1. XVII.

(2) Tekst téj apelacyi Husa od czasów téj rozprawy Röpella wydał poprawniéj Palacky w Documenta Mag. Joannis Hus vitam etc. illustrantiae. Pragae. 1869, str. 464.

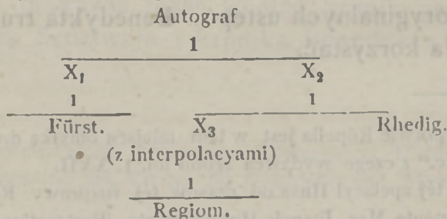
Zupełnie inne jest wydanie *kroniki polskiéj*, opracowane przez prof. Ćwiklińskiego; historycy szląscy powitają je niezawodnie z radością. W ogóle kronika ta miała nierównie większe szczęście od późniéjszéj kroniki książąt polskich, już bowiem w r. 1866 doczekała się nowéj od Stenzlowskiego wydania nierównie poprawniejszéj edycyi Arndta w Monum. Germ. hist., w któréj zużytkowano cenny rękopis Fürstensteinski, o ile zaś wydanie Arndta większą ma wartość od Stenzlowskiego, o tyle znów to nowe wydanie wyżéj stoi od edycyi ostatniego niemieckiego wydawcy. Główną zasługę nowego wydania stanowi zużytkowanie nieznanego dotychczas rękopisu królewieckiego. Wydawca nie poprzestał jednak na dodaniu odmianek tego rękopisu do tekstu Arndta, ale z wielką bystrością i starannością zbadał stosunek pomiędzy trzema rękopisami, na których wydanie swe oparł i obdarzył nas w skutek tego zupełnie samodzielném, ściśle umiejętném opracowaniem tekstu. Uznajemy to tém skwapliwiéj, ponieważ w ten sposób wydawca sprostował nasze dorywcze wnioski o stosunku tekstu królewieckiego do dwóch dawniéj znanych rękopisów, które przed kilku laty ogłosiliśmy w czasopiśmie szląskiego towarzystwa historycznego (1).

---

(1) Smolka, Ueber eine bisher unbenutzte Königsberger Handschrift der Chron. Polono-Silesiacum, Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens, XII 454. Wydawca niezupełnie jednak wiernie zdaje sprawę z naszych wniosków o genealogii rękopisów. Z porównania tekstów na str. 566 ed. Arndta i z oryginalnych ustępów kodeksu królewieckiego wysnuliśmy bowiem wnioski, które w ten sposób można graficznie wyrazić:




Sądziliśmy, że w $X_2$ nastąpiło opuszczenie owych kodeksowi królewieckiemu właściwych ustępów, co bynajmniéj nie przeszkadzało, żeby *cod. Fürst.* pod względem tekstu bliższym był *cod. Regiom.* aniżeli *cod. Rhedig.* Według wywodu Dr. Ćwiklińskiego zaś, którego słuszność uznajemy, inny między rękopisami zachodzi stosunek, a mianowicie:



Ogłaszając wówczas pierwszą wiadomość o rękopisie królewieckim, głównie dla wydania kilku oryginalnych jego ustępów, które się w innych rękopisach nie znajdują, zastanawialiśmy się nad tém, czy te ustępy są późniejszemi interpolacyami, czy téż znajdowały się w pierwotnym tekście kroniki i przychyliliśmy się do drugiego zdania. Skłoniło nas do tego widoczne pokrewieństwo tych ustępów z tekstem żywotu Piotra, które również w kilku innych ustępach kroniki niewątpliwie się objawia, żywot zaś Piotra a raczéj jego pierwowzór zaginiony, zaliczano wówczas ogólnie do źródeł kroniki polskiéj. Prof. Ćwikliński twierdzi przeciwnie, że te ustępy są późniejszemi interpolacyami i przytacza na to tak przekonywające dowody, że przed niemi bez oporu głowę schylić musimy. Nie zastanawia się jednak wydawca nad ich pochodzeniem, co już choćby z tego tylko powodu należało uczynić, że wszystkie te ustępy (z wyjątkiem ustępu na str. 628) znajdują się w skróceniu również i w kronice książąt polskich. Zachodzi zatém pytanie, czy kronika książąt polskich czerpała z interpolowanego rękopisu kroniki polskiéj, czy téż odwrotnie ustępy te nie były pierwotną własnością późniejszéj kroniki i czy z niéj dopiéro nie przeszły do rękopisu królewieckiego. Nad tém pytaniem tém bardziéj należało się zastanowić, ponieważ porównanie ustępu o oślepieniu Piotra w obydwu kronikach (str. 475 i 631) przemawia stanowczo za przyznaniem pierwotnéj własności kronice książąt polskich; interpolacya rękopisu królewieckiego zajmuje tam osobne zupełnie miejsce z napisem „de exoculatione Petri fertur taliter contigisse,“ ustęp zaś poprzedni zgadza się najzupełniéj z tekstem innych rękopisów kron. polskiéj, w którego środek klinem wbiła się interpolacya. Z tém wszystkiém, jeśli zważymy, że interpolacye rękopisu królewieckiego pełniejsze są od odpowiednich ustępów kroniki książąt polskich i pod każdym względem robią wrażenie tekstu wcześniejszego, że wreszcie odpisywacz, któryby tekst kroniki polskiéj wtrętami z kroniki książąt polskich chciał uzupełniać, byłby w niéj znalazł więcéj nierównie materyału do interpolacyi, zgodzić się na to musimy, że autor kroniki książąt polskich korzystał już z interpolowanego rękopisu kroniki polskiéj. Porównanie przytoczonego powyżéj ustępu w obydwu kronikach naprowadza nas jednak na domysł, że w rękopisie, z którego ten kronikarz korzystał, interpolacye

---

$X_3$ *(z interpolacyami)* wkładamy dla tego pomiędzy $X_2$ a *Regiom.* Ponieważ interpolacye dostały się prawdopodobnie nie wprost do kod. królewieckiego, ale już do jego pierwowzoru. Zresztą między $X_1$ i $X_2$ a autografem, oraz między $X_2$ a *Rhedig*, mogły być jeszcze ogniwa pośrednie.

musiały się chyba znajdować jeszcze na marginesach, niesplecione z właściwym tekstem kroniki.

Wtręty te nie dziwią zresztą bynajmniéj wydawcy, gdyż zdaniem jego „cała przecie kronika jest konglomeratem rozmaitych części składowych, wyjętych to ztąd to zowąd, i niepodobna przyjąć jednego jéj autora, chociaż wszyscy uczeni dotychczas o jednym autorze kroniki mówili.“ Twierdzenie to popiera wydawca uwagą, że ustęp „Non pretereundum sibi deberent“ (str. 630), znajdujący się we wszystkich trzech rękopisach, równie jest wtrętem późniejszym, a wreszcie, że cały rozdział końcowy (str. 644–656) „nie pochodzi od tego samego pisarza, co poprzednie rozdziały.“ W końcu przedmowy zaś znajdujemy twierdzenie, że pierwotna kronika powstała prawdopodobnie w ostatnim dziesiątku lat XIII wieku, „ale na początku wieku XIV ponownie opracowaną a mianowicie kilku nowemi dodatkami wzbogaconą została.“ Rękopis królewiecki świadczy wreszcie zdaniem wydawcy „o innéj jeszcze retraktacyi a raczéj augmentacyi naszéj kroniki,“ która w każdym razie odbyła się przed r. 1384 t. j. przed datą spisania kroniki książąt polskich.

Wszystkim tym twierdzeniom zarzucić musimy brak należytéj ścisłości. Jeśli wydawca twierdzi, że cała kronika jest konglomeratem rozmaitych części składowych, wyjętych to ztąd to zowąd, w takim razie powinien dokładnie te części składowe rozpoznać i wyróżnić, gdyż inaczéj pozostawia historyka w zupełnéj niepewności co do wartości źródłowéj każdego ustępu kroniki. Zdaniem naszém nie ma jednak potrzeby uciekać się do tak rozpaczliwego o kronice polskiéj sądu. Nie zdaje nam się najpiérw, żeby ustęp „Non pretereundum“ etc. był istotnie wtrętem. Jest to przecież właściwością nieudolnych kompilatorów średniowiecznych, że tę samę wiadomość po dwakroć powtarzają, znajdując ją w inném jakiémś źródle obszerniéj i dokładniéj opisaną. Choćbyśmy jednak przyznali nawet, że to jest wtręt późniejszy, jeszczeby się za to kronice epitet „konglomeratu“ nie należał.

Inaczéj ma się rzecz z owym „końcowym rozdziałem“ od str. 644—656, który prawie czwartą część całéj kroniki stanowi. Dr. Ćwikliński więcéj uwagi poświęcił temu „rozdziałowi,“ niż poprzedni wydawcy, ale na znaczeniu jego również zdaniem naszém się nie poznał. „Długi ten ustęp,“ mówi Dr. Ćwikliński, „opowiada nam dzieje Polski a głównie dzielnicy szląskiéj po podziale Krzywoustego a zatém to samo, o czém czytać możemy na czterech poprzednich stronicach wydania Arndtowskiego str. 561 w. 25 aż do str. 565 w. 23“ (t. j. w III tomie Monum. str. 620–644). Zestawiwszy zaś równobrzmiące ustępy rychlejszéj, jak ją nazywa, i późniejszéj opowieści

o Henryku Brodatym i Henryku II, powiada daléj: „Trudno przypuścić, aby *jeden i ten sam pisarz* w dwóch opracowaniach obok siebie w jedném dziełku zamieszczonych podawał dzieje jednéj epoki. Łatwiéj można pojąć, że późniejszy jaki czytelnik, mając nowe wieści z nowych źródeł, chętnie je dorzucił do pierwszego krótszego utworu. A chociaż źródło jego o Henryku I i Henryku II nie mieściło nic prawie oprócz tego, co i w pierwotnéj kronice polskiéj stało, nie pominął tego, chcąc dać całkowity obraz epoki od r. 1139 do r. 1300 i trzymając się ściśle źródła swego.“ Kronika polska zawiera zatém według Dr. Ćwiklińskiego dwa opracowania „półtorawiekowéj epoki od r. 1139:“ wcześniejsze na str. 630—644 i późniejsze od str. 644—656.

Przypatrzmy się najpiérw t. z. opracowaniu późniejszemu. Spostrzeżemy, że cały ten ustęp nie zawiera dziejów Polski a głównie dzielnicy szląskiéj po podziale Krzywoustego, ale od początku do końca zajmuje się wyłącznie Szląskiem. Od reszty kroniki tém szczególnie odróżnia się ten ustęp, że nie ma w nim najmniejszego śladu korzystania z jakiegokolwiek znanego źródła, niepodobna w nim dopatrzéć się ani jednego słowa z kroniki mistrza Wincentego, na któréj się kronika polska przeważnie opiera, słowem, jest to historya Szląska od osadzenia Władysławowiców, zupełnie samodzielnie opowiedziana, sięgająca do śmierci Bolesława Łysego w r. 1278.

Zupełnie inny charakter ma owo, przez wydawcę tak nazwane „rychlejsze opracowanie“ na str. 630—644. Do str. 640 w. 4, główną podstawą tego ustępu, jak i całéj kroniki polskiéj, jest kronika mistrza Wincentego od 26. rozdziału III księgi aż do końca. Z obfitego i rozwlekłego opowiadania mistrza Wincentego podaje tu kronikarz, jak zwykle, pobieżny i suchy wyciąg, który wzbogaca gdzieniegdzie dodatkami, zkądinąd wyjętemi. Wszystkie te dodatki, z wyjątkiem pierwszego (o Piotrze Włostowicu i o wygnaniu Władysława), pochodzą z owéj historyi szląskiéj, którą wydawca „późniejszém opracowaniem“ téj epoki nazywa, czyli innemi słowy cały ustęp kroniki od str. 633 do 640 w. 4. jest kompilacyą z kroniki Wincentego i owéj historyi szląskiéj (1). Kiedy kronikarzowi zabrakło kroniki Wincentego (od str. 640 w. 4.) pozostało mu jedno tylko źrodło: hi-

(1) Wyraźny ślad niezgrabnéj kompilacyi przechował się w dwukrotném opowiadaniu o wygnaniu Bolesława Wysokiego. Pierwszy raz wspomina o tém kronikarz według szląskiego źródła pod panowaniem Bolesława Kędzierzawego, drugi raz kombinuje wiadomości tegoż samego źródła i Wincentego (IV. 8.) i dla tego przenosi ten fakt w czasy Kazimierza Sprawiedliwego. Porównaj str. 645 jako źródła a str. 634 i 636 jako niezgrabne tego źródła zużytkowanie.

storya Szląska. Wiążąc więc wyciąg z kroniki Wincentego jedyną oryginalną wiadomością (t. j. kilkoma słowami ogólnemi o wojnach Leszka Białego z Rusią) z dalszym wyciągiem z historyi szląskiéj, wyjmuje z niéj tylko te ustępy, które według zasadniczego planu do kroniki *polskiéj* wciągnąć należało, t. j. wiadomości o zgonie Leszka Białego, o wojnach Henryka Brodatego z Konradem Mazowieckim i Odoniczem, a następnie o napadzie Tatarów za Henryka II. Z dalszego ciągu historyi szląskiéj nie mógł już korzystać, znajdując w niéj same specyalne *Silesiaca*, wypisał z niéj więc jeszcze tylko jedyną wiadomość, że Bolesław Łysy ziemię Lubuską „marchioni Brandenburgensi et archiepiscopo Magdeburgensi in suum ac suorum discrimen tradidit et Poloniam perdidit.“ Dodaje zatém oryginalne, samodzielne i wielce nieudolne zakończenie kroniki *polskiéj* t. j. kilka słów o następcach obydwóch Henryków na tronie krakowskim, t. j. o Bolesławie Wstydliwym i Leszku Czarnym i na tym, zapewne za panowania Leszka, pracę swą kończy.

Krótka kronika szląska jest zatém pomnikiem zupełnie odrębnym, źródłem pierwotném, źródłem kroniki polskiéj. Autor kroniki polskiéj przepisał ją sobie zapewne w jednym kodeksie po autografie własnéj kompilacyi i ztąd we wszystkich rękopisach znajdujemy te dwa odrębne pomniki w tak ścisłém zespoleniu. Co do czasu powstania obydwu tych kronik, również nie możemy się zgodzić z wydawcą. Właściwa kronika polska powstała zapewne za rządów Leszka Czarnego; inaczéj trudnoby przypuścić, żeby kronikarz zakończył swe dziełko wiadomością o zwycięstwie Leszka nad Konradem w r. 1285 a nie wpomniał już o jego śmierci, która w trzy lata późniéj nastąpiła. W takim razie, rzecz jasna, kronika szląska musiałaby być wcześniejszą. Nie przemawia przeciw temu zawarta w niéj wiadomość o śmierci Eufrozyny (czy Anny), córki Bolesława Łysego, ksieni Trzebnickiéj; wyrazy „tertia postabbatissa in Trebnicz defuncta est“ mogły bowiem łatwo dostać się późniéj do tekstu kroniki. Sama kronika kończy się jednak na roku 1278, w końcowym ustępie Henryk IV Wrocławski nazywany jest „puer“ i o dalszych jego losach żadnéj nie ma wzmianki, o nałożnicy Bolesława Łysego pisze kronikarz na samym końcu tak, jak gdyby o niéj wówczas jeszcze głośno na Szląsku; wszystkie te wskazówki świadczą, że kronika szląska powstała niedługo po r. 1278 i że między spisaniem obydwóch kronik bardzo krótki musiał być przedział. Ze źródeł pisanych kronikarz zapewne nie czerpał, jedyném źródłem jego musiała być ustna tradycya, czém np. legendarny charakter opowieści o Bolesławie Wysokim zupełnie się tłómaczy.

Żałujemy, że Dr. Ćwikliński tego stosunku między właściwą kroniką polską a kroniką szląską nie odgadł, gdyż byłby zapewne kronikę szląską jako rzecz odrębną wydał osobno, co dla korzystających z niéj w pracy historycznéj nie byłoby rzeczą obojętną, byłby zarazem mógł w kronice polskiéj odznaczyć miejsca, z tego źródła pochodzące. W ogóle możemy mieć o to żal do wydawcy, że źródeł kroniki starannie nie wykazuje; dwa czy trzy razy tylko powołuje się na marginesie na mistrza Wincentego, kilka razy znów czytamy na marginesie „por. Chr. Petri," w przedmowie zaś zajmuje się jedynie stosunkiem między kroniką polską a kroniką Pietra, o którym niżéj jeszcze będziemy mieli sposobność wspomnieć. W wydaniu tak staranném, pod względem ustalenia tekstu tak wzorowém, tyloma cennemi objaśnieniami zaopatrzoném, radzibyśmy widzieli przy każdym ustępie notatkę o jego pochodzeniu. Żałujemy również, że kronika polska następuje po kronice książąt polskich, w skutek czego Dr. Węclewski zmuszony był w swém wydaniu powoływać się nieustannie na edycyą Arndta.

Po tych dwóch kronikach następuje kilka roczników szląskich w wydaniu powtórzoném z Monum. Germ. hist., pierwszy tylko z nich (t. z. *Annales Silesiaci compilati)* wydany jest w nowém zupełnie, znakomitém opracowaniu p. Mieczysława Błażowskiego. W pracy naszéj o polskich rocznikach rozróżnialiśmy trzy odrębne, różnorodne części składowe tego rocznika: 1) początek do r. 1072, w którym dopatrywaliśmy się śladu starego jakiegoś, z r. kamienieckim spokrewnionego rocznika, 2) obszerny ustęp z kroniki pruskiéj Wawrzyńca Blumenau (z XV wieku) wypisany i 3) rocznik z XIII wieku. Sądziliśmy, że jakiś kopista XV wieku powiązał oba odrębne fragmenty rocznikarskie wyciągiem z kroniki pruskiéj, z bliskiego zaś pokrewieństwa ostatniéj części składowéj z historyą Długosza wnosiliśmy, że Długosz i ów kompilator z jednego, zaginionego źródła rocznikarskiego czerpali. P. Błażowski jednak, po dokładniejszém zbadaniu tego pomnika, rozpatrzywszy się zarazem w jego rękopisie, doszedł do innych cokolwiek wyników, na które najzupełniéj się zgadzamy. Dostrzegł mianowicie, że takie samo pokrewieństwo istnieje między pierwszą częścią rocznika a historyą Długosza, zkąd słusznie wnosi, że pierwsza i ostatnia część składowa *Ann. Sil. comp.* są fragmentami tego samego rocznika, którego środek (prawdopodobnie przez wypadnięcie karty) zaginął i przez kopistę XV wieku wyciągiem z kroniki pruskiéj wypełniony został. Z wielką bystrością stwierdził zarazem wydawca, że ustęp „Anno domini 1194 — ducis Slesie" (str. 673), znajdujący się na początku tego wyciągu, należał do pierwotne-

go rocznika, co dowodzi, że tylko lata 1072—1194 (a może i sam koniec rocznika) zaginęły.

Z wielką stanowczością zbija również p. Błażowski nasze zdanie o wspólném źródle rocznikarza i Długosza, twierdząc, że Długosz czerpał z rocznika, co jest właściwie próżnym sporem o słowa. Nie z kompilacyi bowiem dziś nam znanéj, jak sam p. B. przyznaje, czerpał Długosz, lecz z rocznika, którego tekst w téj kompilacyi prawie zupełnie wiernie się zachował, ostatecznie więc pierwotny rocznik był wspólném źródłem Długosza i kompilacyi. Sam wydawca przecież przyznaje również, że Długosz w dwóch miejscach wierniéj oddaje tekst pierwotnego rocznika i zawiera jeden ustęp („Ad cuius persuasionem — assiguat“ str. 673), który w kompilacyi z umysłu został opuszczony, nadto lata 1072 — 1194, których w kompilacyi brakuje, zachowały się prawdopodobnie w opracowaniu Długosza i słusznie mówi p. B., że kiedyś, gdy źródła Długosza lepiéj nam będą znane a liczba jego wiadomości z nieznanych zaczerpnięta źródeł nieco się zmniejszy, przedstawi się dla kogoś wdzięczne zadanie rekonstrukcyi całego rocznika z lat 1079—1194 a to właśnie na podstawie tych bezimiennych wiadomości w Długoszu.'' Zupełnie téż słusznie dla tego wydawca postąpił, zestawiając tekst rocznika z odpowiedniemi ustępami Długosza, żałujemy tylko, że te zestawienia urwał na str. 677 i na dwóch ostatnich stronicach ich nie podał.

„Zapiski historyczne odnoszące się do dziejów Polski, Szląska i Czech,“ opracowane przez Dr. Semkowicza a wyjęte z rękopisu biblioteki ks. Chigi w Rzymie Q. II. 51, zawierają trzy późniejsze pomniki: 1) kronikę szląską skróconą, opartą prawie wyłącznie na kronice książąt polskich i żywocie Piotra, rzecz raczéj pod względem literackim aniżeli historycznym ciekawą; 2) Spominki wrocławskie; 3) Rocznik wrocławski 1418—1517 i 4) zbierankę rozmaitych wiadomości od św. Wojciecha począwszy do r. 1384 zatytułowaną „Quaedam memorabilia.“ (1) Opracowanie wszystkich tych pomników jest bardzo staranne.

Koniec III tomu zajmuje *„kronika o Piotrze Właście,“* przed 14 laty po raz pierwszy przez Mosbacha wydana, którą w ostatnich właśnie czasach tak żywo się zajmowano (2). Zimny, zbyt nawet mro-

---

(1) Lepiéj było pozostawić ten tytuł łaciński niż tłómaczyć go na „Niektóre osobliwości.“ Wiadomość z r. 1460 dopisana jest widocznie późniéj.

(2) 1) *Mosbach, Piotr syn Włodzimierza.* Ostrów. 1865. 2) *Grünhagen, Die Vertreibung Wladislaws von Polen und die Blendung Peter Wlasts,* Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens, tom XII. zesz. I, str. 77—99. 3) *Smolka, Tradycya*

źny sceptycyzm ostro ścierał się z gorącą zaciekłością w wynajdywaniu prastarych, zaginionych pomników, z tą zaciekłością, która u nas w krytyce historyograficznéj nieraz tak wybitnie się objawiała; kilku autorów zabierało głos w téj sprawie, najwięcéj zaś słuszności temu podobno przyznać należy, który zdala całemu sporowi się przypatrując, spokojnie i trzeźwo całą rzecz rozważył i ostatni się o niéj odezwał. Słusznie twierdzi ten szczęśliwy rozjemca (Dr. Lewicki), że autorowie, w sporze tym udział biorący, przechodzili przez rozmaite studya, od zupełnego sceptycyzmu do korzystnego wyobrażenia o wartości źródłowéj pomnika. My sami najlepiéj tego doświadczyliśmy na sobie. Niegdyś wydawał się nam żywot Piotra lichym fabrykatem z XVI wieku (1), następnie po odkryciu królewieckiego rękopisu kroniki polskiéj i w skutek spostrzeżeń o stosunku genetycznym tekstu tego pomnika i kilku innych źródeł w opowieści o Kazimierzu Mnichu doszliśmy do przekonania, że nietylko sama opowieść o Piotrze, ale i wstęp, początkiem chrztu Mieszkowego sięgający, jest pozostałością starego pomnika z XIII wieku w XVI wieku przerobionego; zdawało nam się nawet, że czas powstania tego zaginionego pierwowzoru można jak najściśléj oznaczyć. Z tém zapatrywaniem naszém Dr. Semkowicz i Dr. Ćwikliński żwawą stoczyli polemikę. Najwięcéj zachwiał w nas przekonaniem o słuszności dawniejszego twierdzenia dowód Dr. Ćwiklińskiego o wtrętach królewieckiego rękopisu kroniki polskiéj. Nie zbito natomiast zapatrywania naszego o stosunku tekstów w źródłach tradycyi o Kazimierzu Mnichu, zarzuty Dr. Semkowicza odparliśmy bowiem w osobnéj odpowiedzi, któréj ani on, ani Dr. Ćwikliński w przedmowie do swych wydań nie uwzględnili (2). Przyznajemy nawet, że trudno nam wyjaśnić ten stosunek w inny sposób, zważywszy jednak rozmaite wątpliwości, które Dr. S. Dr. Ćw. poruszyli, przyszliśmy do przekonania, że zawiłość tę można wytłómaczyć bez stwierdzenia zależności

---

*o Kazimierzu Mnichu* w VI tomie Rozpraw i Sprawozdań wydz. fil. hist. Akademii Umiejętności str. 323—353. 4) *Semkowicz, Recenzya* téj rozprawy w Przeglądzie krytycznym z r. 1877 str. 411 nast. 5) *Smolka, Odpowiedź* na tę recenzyą w Archiwum komisyi hist. Akad. Umiejętności. I. 397 nast. 6) *Stadnicki, Przyczynek do heraldyki polskiéj w średnich wiekach.* Lwów. 1879. 7) *Lewicki, O najnowszych badaniach nad kroniką Piotra Własta* w Przewodniku naukowym i literackim VII. 561—576. Do téj literatury należy nadto jeszcze przedmowa Dr. Ćwiklińskiego do wydania kroniki polskiéj.

1) Przewodnik naukowy i literacki z r. 1873. 888.

2) Nie doszedł ich zapewne na czas I tom Archiwum komisyi historycznéj. Jeden argument, którego ci dwaj autorowie przeciw nam wzywali, był zupełnie nieuzasadniony, gdyż nigdy nie twierdziliśmy, jakoby cały ów pomnik zaginiony był poematem.

tekstu kroniki polskiéj od tekstu kroniki o Piotrze (1). Ustępujemy zatém, a pozbywszy się w tym względzie uprzedzeń, z próżności autorskiéj wynikających, tém spokojniéj będziemy mogli osądzić wyniki badań niedawnego naszego przeciwnika; cieszymy się tylko, że rozprawą naszą, w któréj zresztą było kilka słusznych spostrzeżeń, przyczyniliśmy się do rozbudzenia dyskusyi o tym przedmiocie, bardziéj zaś jeszcze, żeśmy błędami, w pracy téj popełnionemi, nie wyrządzili wielkiéj szkody, gdyż je dość rychło wykryto.

Dr. Semkowicz zajmuje w przedmowie do swego wydania znacznie odmienne, mniéj sceptyczne stanowisko, aniżeli w recenzyi naszéj rozprawy, zgadzając się w głównych przynajmniéj wynikach z Grünhagenem. Ostatecznie bowiem przyznaje, że najważniejsza część kroniki, zawierająca opis katastrofy Piotra i powstania przeciw Władysławowi nie jest bynajmniéj wymysłem autora XVI wieku, ale polega na zaginionym jakimś pomniku, przyznaje również, że niektóre ustępy kroniki i interpolacye rękopisu królewieckiego kroniki polskiéj pochodzą ze wspólnego źródła; stwierdza jednak stanowczo, że inne wiadomości o Piotrze w właściwym tekście kroniki polskiéj zawarte z tego wspólnego źródła nie pochodzą. Z wywodu tego nie wyciąga Dr. S. wniosku, jakoby te ustępy z interpolacyami rękopisu królewieckiego wspólne i główny ustęp o katastrofie pochodziły z tego samego źródła, wniosek ten jednak (który zresztą stanowi główny wynik pracy Dr. Lewickiego) sam się nasuwa.

O charakterze i czasie powstania zaginionego pomnika nie dozwala sobie Dr. S. żadnych domysłów, jest to skutek chwalebnéj może, ale do zbyt wielkiego stopnia posuniętéj, cechującéj go ostrożności, w skutek któréj wyniki całego tak starannego badania niedość jasno się grupują (2). Z kilku wierszy rytmicznych, przez Grünhagena jeszcze odkrytych, wnosi tylko D. S., że ów pomnik zaginiony był poematem, ową przez Benedykta z Poznania wspomnianą: „rhytmico contextu descripta tragoedia.“ Jest to zdaniem naszém błąd; sam Dr. S. ogłasza w dodatku ciekawe swoje późniejsze spostrzeżenie, że te wiersze wyjęte są z Wergilego, trudno zaś przypuścić, żeby autor XVI wieku tylko tę własność Wergilego nietkniętą pozostawił a resztę wierszowanego tekstu tak starannie na prozę przerobił. Trudno zaś osądzić, czy Benedykt z Poznania dla tych kilku wierszy mógł nazwać ów pomnik „rhytmico contextu descripta tragoedia.“

---

1) Skłania nas do tego przedewszystkiém własne nasze, powyżéj uzasadnione spostrzeżenie o czasie powstania rocznika świętokrzyskiego.

2) I tutaj niedopowiedziane przez Dr. S. wnioski uzupełnia Dr. Lewicki w swéj cennéj rozprawie.

Główną zasługą przedmowy Dr. S. stanowi ścisły i jasny dowód, że w żaden sposób nie może się ostać twierdzenie, jakoby żywot Piotra, a raczéj jego pierwowzór, był wspólném źródłem wszystkich wiadomości o téj zagadkowéj postaci, w źródłach naszych średniowiecznych porozrzucanych lub przynajmniéj ich przeważnéj części. Brak ścisłości w dotychczasowych twierdzeniach o naturze tego zaginionego pomnika, z którego autor kroniki o Piotrze korzystał, po większéj części ztąd, zdaniem naszém, wynikał, że nikt nie zajął się dokładném rozważeniem téj obecnie przez Dr. S. rozstrzygniętéj kwestyi. Samo wydanie tekstu niewiele nastręczało trudności. Nie możemy tylko odżałować, że wydawca nie odróżnił odmiennym drukiem i uwagami marginesowemi odrębnych części składowych późnéj kroniki i nie wykazał w wydaniu samego tekstu jéj źródeł, co dla poznania natury zaginionego pomnika było rzeczą niezmiernie ważną.

Staranny i praktycznie ułożony indext osobowo-miejscowy opracował Dr. Maurer, wydawca dopełnienia rocznika świętokrzyskiego.

Taki jest III tom naszych Monumentów. Zadziwia nas w nim brak tablic z podobiznami, które w takiéj obfitości i w tak piękném wykonaniu poprzednie tomy zdobiły. Czyżby względy oszczędności miały powstrzymać wydawców od załączenia tych bez wątpienia dość kosztownych tablic? Wątpimy, gdyż to, na co Bielowski mógł zdobyć się z prywatnéj szkatuły, nie powinno być dla Akademii rzeczą niedościgniona. Tablic takich zaś nie należy uważać za zbytek niepotrzebny. Do wydania roczników zwłaszcza katalogów biskupów krakowskich byłby bardzo pożądanym dodatkiem, z rocznika Krasińskich np. trudno sobie jasno zdać sprawę bez podobizny; ś. p. Bielowski miał z pewnością zamiar zaopatrzyć i ten tom, tak jak poprzednie, w tablice z podobiznami, jak o tém najlepiéj świadczy uwaga na str. 124.

Radzilibyśmy brakowi temu zapobiedz w następnym tomie, którego druk, jak słyszymy, niebawem ma się rozpocząć. Tom czwarty ma, według słów przedmowy, zakończyć wydawnictwo; pomiędzy materyałami, które będzie zawierał, wyszczególniają wydawcy (str. VII): „materyały pruskie,“ biografie i kronikę Jana z Komorowa. Ciekawi jesteśmy, jak sobie postąpią wydawcy z pomnikami obcemi. Według pierwotnego planu założyciela Monumentów miały obce źródła naszych dziejów wejść w skład tego wydawnictwa; pierwszy tom przeważnie nawet z nich się składał, podając bądź to wyciągi, jak z Thietmara lub rocznika hildesheimskiego i kwedlinburskiego, bądź téż całkowite edycye, jak np. Nestora; w drugim tomie obce pomniki mało już miejsca zajęły, trzeci zawiera wyłącznie źródła ro-

dzime. Skoro „materyały pruskie“ mają wejść w skład tomu czwartego, widzimy, że komitet redakcyjny nie porzuca zamiaru wydawania obcych źródeł, choćby tylko w wyciągach. Zupełnie się z tém zgadzamy, cokolwiek bowiem można przeciw metodzie wyciągów powiedzieć, w każdym razie jest to rzeczą bardzo praktyczną, mieć najważniejsze ustępy obcych źródeł, odnoszące się do naszych dziejów, zebrane w publikacyi podręcznéj, bez któréj żaden historyk u nas obejść się nie może. Przypominamy zaś w takim razie wydawcom kronikę Kozmasa Praskiego, któréj należałoby się równe jak Nestorowi prawo wstępu do naszych Monumentów, przedewszystkiém zaś dopominamy się o późniejsze kroniki ruskie, mianowicie kijowską i wołyńsko-halicką, ukryte dotychczas w tak niedostępnéj publikacyi petersburskiéj, przy których, tak jak przy Nestorze, przekład polski byłby bardzo pożądanym dodatkiem, wreszcie kroniki rusko-litewskie, wydane przez Daniłłowicza i Narbutta. Monumenta Poloniae bez tych materyałów musielibyśmy uważać za wydawnictwo nieukończone; nie wątpimy zatém, że komitet redakcyjny, który już tyle zasług zdobył sobie wykończeniem III tomu, życzeniom tym zadość uczyni i monumentalne to wydawnictwo, przez ś. p. Bielowskiego rozpoczęte, w niedługim czasie zaszczytnie ukończy.

*Stanisław Smolka.*

---

# Towarzystwo Pedagogiczne w Galicyi.

(Krótki pogląd na działanie dziesięcioletnie Towarzystwa Pedagogicznego (1868—1878) z polecenia zarządu głównego zestawił Dr. Teofil Gerlstman, str. 88. Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Pedagogicznego za czas od 10 Lipca 1877 do 10 Lipca 1878, podane przez Zarząd Główny do wiadomości członków na XII Wolném Zgromadzeniu tegoż Towarzystwa, odbytém w Nowym Sączu, dnia 18, 19, 20 Lipca 1878, str. XI, 31 i 8 kart „alfabetycznego spisu członków").

Sto lat temu z górą, jak austryaccy statyści zredagowali za Maryi Teressy w roku 1774, *pawszechną Ustawę Szkolną*, mającą na celu jednostajność w sposobie myślenia, w pojęciach o ojczyznie i obowiązkach względem niéj, które stanowić mają najściślejszy węzeł między władzą monarszą i spokojną powolnością poddanych,—utrzymanie nienaruszonéj harmonii, politycznéj zgody między narodami monarchii różnemi pod względem obyczajów, zwyczajów, klimatu itp.

Dziś inaczéj rzeczy rozumiemy:

Naród każdy może się prawidłowo rozwijać tylko na przyrodzonych prawach swoich; wiedza jego, moralność i cnota obywatelska mogą się tylko opiérać na podstawie indywidualnéj świadomości, na odczuciu sił narodowych, na czci cnót i pracy przodków. Pominięcie tych względów, zaprowadzenie u wszystkich narodów, składających państwo, jednostajnych podręczników, kursów, nauczycieli wytwarza atmosferę sztuczną, zamienia szkołę w wielką fabrykę, a nauczycieli w robotników kręcących automatycznie korbą machiny pedagogicznéj.

Zasada owa z końca XVIII wieku, znakomita może na swoje czasy, jest w gruncie rzeczy czysto teoretyczniéj natury, a w obec dzisiejszych poglądów na życie społeczne, na psychologią ludów, na zasady pedagogiczne i dydaktyczne jest już rażącym anachronizmem. Mimo to panowała ona w organizacyi wychowawczéj w Austryi przez długie lata; i chociaż dzisiaj „polityczna ustawa szkolna" (politische Schulverfassung) została osławioną, to przecież ślady jéj jeszcze w szkolnictwie ludowém spotykamy.

Wprawdzie w roku 1848, Austrya doczekała się stanowczéj reformy w szkole; reforma ta wszakże nie sięgnęła do głębi szkół ludowych i pozostawiła wiele do zrobienia w latach następnych. Galicyjskie przyznajmniéj szkolnictwo ludowe długo jeszcze w opłakanym było stanie; aż wreszcie i jemu szczęśliwsza zaświeciła gwiazda. Nastąpiła zmiana na lepsze; a jéj wyrazem, zdaniem zbiorowém pedagogów galicyjskich, może być dzieło Dietla: „O reformie szkół krajowych," wydane r. 1865 z godłem, „dobrze urządzone szkoły, są niewyczerpaném bogactwem kraju." Wykazana tam jest konieczność ojczystego języka wykładowego, ważność szkoły ludowéj i potrzeba Rady Szkolnéj Krajowéj. Projekta reformy szkół Dietl przeprowadził na sejmie r. 1865. Sprawa ta jednak przejść musiała swoje koleje powodzenia i niepowodzenia. Godzi się tu wspomnieć hr. Adama Potockiego, dzielnego orędownika téj sprawy, jak niemniéj Dr. Maurycego Kabata. Usiłowania posłów galicyjskich w Radzie Państwa i okoliczności polityczne wywołały w końcu szczęśliwy zwrot na polu szkolnictwa galicyjskiego.

## I.

Lata 1866 i 1867 uważać należy jako przygotowawcze; w nich wyjaśniły się opinie i projekta, wypracowały reformy, wyszły ustawy, podręczniki, cały wzrost późniejszéj sprawy szkolnictwa galicyjskiego, w te czasy sięga zaczątkiem swoim. Wszystkie siły umysłowe Galicyi budziły się z letargu i biegły podźwignąć ważną sprawę krajową.

Pod koniec roku 1866 (w Październiku) utworzył się we Lwowie Komitet redakcyjny, który postanowił od Stycznia r. 1868 wydawać czasopismo pedagogiczne p. t. „Szkoła." Pierwszymi jego członkami byli: K. Maszkowski (redaktor), Chlebowski, Kozłowski, Samolewicz, Munk, Żmurko, Baranowski, Szaraniewicz i wielu innych.

Z początkiem roku następnego wystąpił w „Czasie" (Kwiecień 1867) Bronisław Trzaskowski, znany filolog, obecnie dyrektor gi-

mnazyum w Tarnowie, z inicyatywą założenia „Towarzystwa Pedagogicznego.“ Odezwał się „w imieniu kilku“ do nauczycieli szkół średnich i niższych, aby się zgromadzili podczas feryj letnich w r. 1867 we Lwowie dla naradzenia się w kwestyach szkolnictwa w chwili oczekiwanéj reformy szkół krajowych. Mimo chętnego poparcia téj odezwy przez gazety, mimo żywego zajęcia, jakie w łonie nauczycieli obudziła, zjazd proponowany nie mógł przyjść do skutku w obec ówczesnych stosunków.

Dopiéro pod koniec tegoż roku 1867 po ogłoszeniu liberalnéj *ustawy o stowarzyszeniach*, Towarzystwo pedagogiczne mogło liczyć na rozszczepienie się za pomocą filij po całym kraju.

Wyszły nareszcie tak niecierpliwie oczekiwane ustawy szkolne: *1) Statut organizacyjny, tyczący się ustanowienia Rady Szkolnéj krajowéj* (22 Lipca 1867 r.) i *ustawa o języku (polskim) wykładowym w szkołach ludowych i średnich* (28 Sierpnia t. r.).

Ustawy te ogłosiły język polski jako wykładowy i miały wejść zaraz w wykonanie. Potrzeba więc było na gwałt tworzyć podręczniki szkolne w ojczystym języku; to znowu podnieciło ruch pomiędzy zdolniejszymi pedagogami i zbliżyło ich do siebie. Zasłużony księgarz lwoski Karol Wild, który już podjął się był nakładu „Szkoły,“ teraz z wielką energią zajął się wydawnictwem potrzebniejszych podręczników.

Komitet rodakcyjny „Szkoły“ ożywił się i szersze sobie nakreślił granice; podjął on myśl Trzaskowskiego i przy pomocy nauczycieli lwowskich dokonał prac przygotowawczych; z początkiem zaś roku następnego 1868 mógł już zwołać pierwszy zjazd nauczycieli i przedstawić im szeroki projekt statutu Towarzystwa, opracowany w duchu nowéj *ustawy o stowarzyszeniach.*

Faktyczna reforma szkolnictwa liczy się od początku roku 1868. Rok ten zapowiadał wielką przyszłość Galicyi. Z jego początkiem Rada szkolna krajowa obejmuje ster wychowania; zaczyna wychodzić czasopismo pedagogiczne „Szkoła“; zawiązuje się Towarzystwo Pedagogiczne na pierwszym wolnym zjeździe we Lwowie.

Otwarcie Rady Szkolnéj krajowéj odbyło się nader uroczyście we Lwowie 24 Stycznia przy ogólnéj radości. Rada zaczęła od ogłoszenia słynnéj swéj odezwy. Brzmiały po dziennikach niektóre z niéj wyjątki:

Niejednéj wskazówki pod względem wychowania narodowego dostarczy nam wiekopomna ustawa *Komisyi Edukacyjnéj*, téj skarbnicy zdrowych i rozumnych postanowień... Głównie zaś zwrócimy uwagę na oświatę ludu wiejskiego i na stan szkół elementar-

nych, a przeto zajmiemy się usilnie i niezwłocznie urządzeniem seminaryów w celu kształcenia zdolnych i powołaniu swemu odpowiadających nauczycieli...

„Jeżeli każdy mieszkaniec kraju poczuje się do obowiązku współdziałania w téj najżywotniejszéj sprawie publicznéj; jeżeli się będzie przyczyniał do tego, aby ożywcze światło wiedzy, zgodne z duchem religii i moralności, przedzierało się w każdy zakątek kraju, pod strzechę każdéj lepianki;—natenczas śmiało będziemy mogli oczekiwać dobroczynnych skutków téj wzajemnéj pracy.“

Żałować wypada, że Rada Szkolna, która miała być autonomiczną władzą wychowawczą w kraju, z każdym rokiem traciła swoje atrybucye, tak że dzisiaj jest cieniem zaledwie tego, czém pierwotnie być miała. Autonomiczne nadania cesarskie dla Galicyi. będące wyrazem szczególnych okoliczności, do ustaw państwowych nie zostały wciągnięte; ciągłym więc ulegają ściśnieniom, zależnym od ministeryów wiedeńskich a nawet i od Namiestnictwa. Skutkiem tego Rada Szkolna nie wydała takich owoców, na jakie się pierwotnie zanosiło.

Mówiąc to, mamy na myśli szkoły średnie; dla szkół bowiem niższych, ludowych, Rada Szkolna wiele zdziałała i czynnie się niemi zajmuje.

O podręcznikach opracowanych z polecenia Rady (Elementarz, Pierwsza, Druga, Trzecia książka do czytania i inne) nie wspominamy jako o zasłudze; było to poniekąd obowiązkiem téj instytucyi; natomiast zaznaczamy ciągłe reformy „Szkoły,“ podnoszenie jéj i rozszerzenie. Coroczne sprawozdania Rady przedstawiają nam coraz pomyślniejszy stan szkół. W roku 1873, Rada wyjednała u Władzy dwie ważne ustawy szkolne z 2 Maja:

1$^{0}$) *O zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół ludowych i obowiązku posyłania do nich dzieci.*

2$^{0}$) *O stosunkach prawnych stanu nauczycielskiego w publicznych szkołach ludowych.*

i 3-cio z 25 *Czerwca o Władzach nadzorczych okręgowych i miejscowych.*

Ustawy te a zwłaszcza ostatnia, napotkały w praktyczném zastosowaniu niejakie trudności.

W tymże roku Rada wyjednała od sejmu krajowego 150.000 złr. z tych 45.000 przeznaczono na polepszenie płac nauczycielskich, a 105.000 na subwencye dla gmin, a głównie na budynki szkolne, które, nawiasem mówiąc, najsłabszą były stroną szkół galicyjskich.

Szczegóły organizacyi szkół galicyjskich leżą po za zakresem naszego założenia;—znaléźć je można w pomienionych ustawach i sprawozdaniach Rady. Ograniczymy się na podaniu cyfr kilku.

W r. 1868 było zaledwie 120.000 dzieci uczęszczających do szkół ludowych, co w stosunku do liczby dzieci w kraju, wiek szkolny mających, wynosiło 15,48%. W roku 1877 uczęszczało ich więcéj, niż 241.000 co wynosiło 31,17%, a zatém więcéj o 15,69%, z czego wypada, że frekwentacya szkolna w ciągu lat dziewięciu wzrosła więcéj niż o drugie tyle. Taki postęp nie zadawalnia Galicyi, ten 31% nie wystarcza, ona ciągle pamięta o tém, że na 100 dzieci w wieku szkolnym, jeszcze 69 nie korzysta z nauki; ona pamięta, że nie wytrzymuje porównania w tym względzie z innemi prowincyami Austryi (oprócz Bukowiny i Dalmacyi), w których frekwentacya szkolna doszła do 42%, a miejscami do 98%.

Nie od rzeczy tu będzie nadmienić, że w Królestwie Polskiém w roku 1877 liczono 168 549 uczących się; w stosunku do ludności w wieku szkolnym (od lat 7—14) wynosi to 16%. Liczba szkół w stosunku do ludności kraju jest prawie ta sama w Królestwie co i w Galicyi. Tu i tam 1 szkoła przypada przeciętnie na 2.000 mieszkańców.

Kwestya oświaty ludowéj w ostatnich latach nabrała palącego znaczenia; przyczyniły się do tego wystawy powszechne.

Już na drugiéj wystawie paryskiéj (1867) zwracała na siebie uwagę mapa Francuza Maniera, przedstawiająca ustopniowany stan oświaty ludowéj w Europie. Wiadomo, jak bogato szkolnictwo było reprezentowane na ostatnich dwóch wystawach (wiedeńskiéj 1873 i paryskiéj 1878) i jak widoczne były wyścigi narodów na tém polu.

## II.

Odezwa Rady Szkolnéj powołała wszystkich obywateli do współudziału w najżywotniejszéj sprawie; projekt Trzaskowskiego i przygotowania pod kierunkiem redakcyi Szkoły dokonane doczekały się swojego czasu. W skutek odezwy Szkoły zebrało się około 300 nauczycieli z różnych stron kraju na 24 Lutego r. (1868) do Lwowa. Zjazd ten miał się stać *konstytuantą* Towarzystwa Pedagogicznego. Zgromadzenie na wniosek Maszkowskiego zaprosiło na Prezydującego Prof. Dra. Ant. Małeckiego. wówczas członka Rady Szkolnéj. Pierwszemu temu zgromadzeniu znaczne oddali usługi: Jan Dobrzański, redaktor Gazety Narodowéj i Dr. Fr. Nowakowski.

Między wieloma innemi przyjęto wśród hucznych oklasków wniosek, aby „kij i rózgę“ wyrugowano odtąd z pomiędzy pomocniczych środków pedagogicznych. Liczne uchwały tego zjazdu zostały przekazane zarządowi Towarzystwa, a następnie podane Radzie Szkolnéj w obszernym memoryale. Wszystkie ważniejsze kwestye szkolnictwa tam zostały poruszone, a więc seminarya nauczycielskie, reforma w metodzie początkowego nauczania, organizacya szkół żeńskich, niska płaca nauczycieli tudzież ich prawa służbowe i emerytalne, przymus szkolny, jednolitość pisowni i wiele innych.

Sumaryczny ten memoryał dowodzi najzacniejszych dążeń Towarzystwa, ale świadczy zarazem o młodzieńczych jego porywach. Refomy nie wprowadzają się *wszystkie*, *odrazu*. Wiele przytém projektowanych rzeczy przechodziło możność i siły Rady Szkolnéj.

Drugie walne zgromadzenie zebrało się w roku następnym (1869) we Lwowie w Lutym. Na tym zjeździe obok spraw regulaminu i administracyi ważną była sprawa wykładu gramatyki, w szkole początkowéj; po odczytaniu trzech rozpraw w téj materyi, wywiązala się żywa bardzo i długa dyskusya. Nauczyciele dawnéj daty gorszyli się zbyt śmiałą reformą w téj rzeczy; jeden z nich zaklinał zgromadzenie aby gramatyki języka polskiego nie rugowano ze szkoły ludowéj. Stanęła uchwała, że gramatyka nie ma być w szkole ludowéj osobnym przedmiotem, lecz uczyć jéj należy przy rozbieraniu ustępów czytanych, w sposób praktyczny, z pominięciem abstrakcyjnych definicyj. Zaznaczamy ten szczegół głównie dla tych osób uczących, które naukę języka ograniczają na pytaniach i odpowiedziach, „wykuwanych“ z gramatyki Kamockiéj, albo Maleczyńskiéj. Bakałarze galicyjscy już od lat dziewięciu pożegnali się z tą niepedagogiczną praktyką.

Trzecie walne zgromadzenie odbyło się w tymże roku (1869) w Krakowie w Lipcu. Były odczyty i debaty nad metodami nauczania w szkołach; najgłówniejszym atoli jest ten fakt, że zgromadzenie podało petycyą do sejmu krajowego, ujmując się za samoistném stanowiskiem Rady Szkolnéj. Wtenczas to członkowie Towarzystwa rozwinęli jak najusilniejszą agitacyą w granicach legalnych w ważnéj téj sprawie, samodzielności najwyższéj władzy wychowawczéj w kraju.

Czwarte walne zgromadzenie odbyło się w Kołomyi r. 1870. Uczestnicy doznali tu po raz pierwszy żywéj sympatyi publiczności; oprócz odczytów, debatów, urządzono tu pierwszą wystawę rzeczy szkolnych.

Piąte zebranie we Lwowie r. 1871. Po zajmujących odczytach Nowakowskiego, Benoniego, Wachmianina, Wandasiewicza, Samo-

lewicza,—po załatwieniu spraw formalnych uchwalono memoryał do sejmu krajowego i projekt ustawy szkolnéj w Galicyi.

Rezultatem tego było wyjednanie w r. 1873 przez Radę Szkolną tych ustaw, o których mówiliśmy powyżéj.

Nie będziemy tu daléj wyszczególniać kolejnych zjazdów Towarzystwa; zaznaczymy rozwój i zasługi jego w ogólnych tylko zarysach. Co się zaś tyczy ważniejszych odczytów i rozpraw na tych zjazdach, to były one drukowane w „Szkole,“ a także w osobnych broszurach, o których powiemy poniżéj.

Zjazdy te, odbywane w różnych stronach kraju, największy mają wpływ na samych nauczycieli. Nie jednego tam się nauczyć i dowiedzieć można; najważniejsze są atoli owe moralne względy, wywierające na uczestników wpływ, nie dający się obliczyć. Niejeden nauczyciel, pracując na partykularzu, w zakątku deskami zabitym, pracując na gruncie obojętnym, lub nieprzyjaznym sobie, pozostaje odcięty od wszelkiego ruchu i postępu, zniechęca się i obojętnieje, a parę lat może wystarczyć, aby go w lichą, zardziewiałą maszynę do uczenia zamienić. Ale on przyjeżdża na zgromadzenie; podejmują go uroczyście obywatele miasta, witają koledzy, ożywiają mowy i dyskusye; on się otrząsa z przygnębienia i zniechęcenia do swego stanu, odświeża umysł, nabiera energii i otuchy na przyszłość;—powraca na swe stanowisko innym człowiekiem, powraca podniesiony moralnie, zachęcony do pracy, przejęty ważnością swego stanowiska nauczycielskiego.

Nauczyciele, powracając na swoje stanowisko, przywożą zawsze z sobą wskazówki, które jak z jednéj strony ulepszają metodę wykładu, tak z drugiéj—przyczyniają się do jéj ujednostajnienia w kraju.

Przy trzech zjazdach urządzono wystawę rzeczy szkolnych; w Kołomyi, r. 1870 (ogólna wystawa rzeczy szkolnych),—w Tarnowie, r. 1872 (wystawa rzeczy szkoły ludowéj);—w Stanisławowie, r. 1875 (wystawa rzeczy szkół żeńskich). Ów zjazd w Stanisławowie odbył się z taką ostentacyą, jakiéj może nigdy jeszcze pedagogowie nie odbierali. Uroczystość tę urządziło miasto za wpływem burmistrza Dr. J. Kamińskiego. Przy muzyce i huku moździerzy wjechali goście przez pięć bram tryumfalnych do miasta we flagi przybranego. Choćbyśmy spory procent z tego odcięli na przesadę galicyjską, to zawsze pozostanie dosyć, aby poniewieranego dotąd nauczyciela przejąć ważnością jego zadania, aby stanowisko jego podnieść do godności obywatelskiéj.

Warto, aby wzięli do serca nasi panowie kierownicy, naczelnicy, dyrektorowie, inspektorowie, że nie poniżanie, nie maltretowanie, nie demoralizowanie podwładnych, ale przeciwnie: podnoszenie ich,

budzenie ich ambicyi i wewnętrznego poczucia obowiązku, jest jedynym środkiem ku zapewnieniu chętnéj, energicznéj, skutecznéj pracy w danym kierunku. *Et fecit nos reges*, mówi Apokalipsa.

## III.

Niech sobie mówią złośliwi, że Rada Szkolna jest „od siedmiu boleści", niech chłop *koramizuje* (1) kwity płacy nauczycielowi ludowemu, niech sobie Szach Perski podziwia (podług kroniki Lama) tego nauczyciela jako okaz, który z głodu nie umiera, niech nam przytaczają takich pedagogów, jak: Zarański, Seredyński Władysław, których Rada Szkolna, ani Towarzystwo, nie raczy aprobować; my jednakowoż patrzymy na rezultaty. A rezultaty są świetne. Ogólna sprawa wychowania poszła naprzód, dzięki obywatelskiemu duchowi, ożywiającemu Radę Szkolną i podnoszącemu nauczycieli, dzięki Towarzystwu Pedagogicznemu, które przejęło się tą sprawą i dzielnie ją rozwijało i rozwija. Postanowiło ono sobie za cel popierać wszelkie sprawy wychowania publicznego i domowego, według zdrowych zasad pedagogiki, tudzież udzielać wzajemnéj pomocy stowarzyszonym, tak moralnéj, jak i materyalnéj.

„Z owoców ich poznacie je." Dzisiaj widzimy jak na dłoni, że Towarzystwo podniosło stan materyalny i moralny nauczycieli ludowych, zreformowało metodę nauczania; posunęło naprzód wyższe wykształcenie kobiét w Galicyi. Zasługi jego tém są większe, że to są zasługi towarzystwa galicyjskiego, a my wiemy, że każde niemal towarzystwo galicyjskie, po obiorze prezesa i wice-prezesa upada zazwyczaj. Zasługi jego tém są większe, że położone w społeczeństwie, którego ogół słynął dotąd przynajmniéj z obojętności na wszelki ruch umysłowy i literacki.

Po dziesięciu latach swego istnienia, Towarzystwo liczy obecnie półtrzecia tysiąca członków, przeważnie z nauczycieli ludowych, składając się z Zarządu Głównego we Lwowie, z 40 oddziałów (filij) po znaczniejszych miastach kraju, które to oddziały dzielą się na 75 kółek.

Do osiągnięcia celów Towarzystwa, służą następujące środki: a) konferencye członków zarządzane przez oddziały, wykłady, od-

---

(1) Wyrażenie miejscowe; pochodzi od wyrazów coram me, któremu najbliższa władza poświadcza na pokwitowaniu z odbioru pensyi, że nauczyciel wypełnia obowiązki na miejscu.

czyty, rozprawy i dyskusye treści pedagogicznéj i umiejętnéj; b) podawanie memoryałów i petycyj do władz właściwych w przedmiotach publicznego wychowania, tudzież udzielanie opinii władzom, gdy tego zażądają; c) wydawnictwa t. j. czasopismo jako organ Towarzystwa i książki treści pedagogicznéj.

Wkłady uczestników Towarzystwa są niskie, zastosowane do ich możności; mimo to, dotychczasowe wpływy Towarzystwa wynoszą 146.509 złr., w téj liczbie mieści się tylko 20.000 złr. zasiłków od sejmu i wydziału krajowego. Majątek towarzystwa wynosi 24.431 złr. Od lat pięciu jest stale wybierany na prezesa Zyg. Sawczyński, dyrektor seminaryum nauczycielskiego męskiego we Lwowie, radca szkolny i poseł na sejm krajowy, cieszący się wielką powagą pedagogiczną; człowiek energiczny, stanowczy, obywatel, mówca niepośledni.

Towarzystwo Pedagogiczne jest prywatną instytucyą, wpływ jego jednak jest daleko większy, niżby się to na pozór wydawać mogło. Wyrobiło ono sobie powagę. Wiele memoryałów, petycyj i projektów, uchwalonych i podanych wyżéj przez Towarzystwo, weszło w wykonanie. Tym sposobem ogół pedagogów wpływa na reformy szkolnictwa krajowego.

Kwestya płacy nauczycieli ludowych stanowiła istotnie hamletowskie: być albo nie być; dziś stoi ona inaczéj, dzięki staraniom Towarzystwa, które ciągłe wnosiło do władzy petycye w téj palącéj sprawie. Podług ostatniéj uchwały rządowéj nauczyciel nie może pobierać mniéj niż 300 złr. rocznéj płacy.

Mowa tu jednak o nauczycielach etatowych; nauczyciele *młodsi* i teraz jeszcze pobierają po 200 złr. Praktykują się podobno i niższe jeszcze płace. Gdy jednak weźmiemy pod uwagę pięcioletnie dodatki, dogodne prawo emerytalne i inne okoliczności, przyznać musimy, że płaca ta o wiele jest lepsza niż dawniéj była i wpływa niewątpliwie na podniesienie stanu nauczycieli ludowych w Galicyi.

Obecny silny ruch umysłowy kobiét w Galicyi, obudziło Towarzystwo Pedagogiczne. Zaraz w pierwszym roku swego istnienia Towarzystwo urządziło we Lwowie odczyty dla kobiét; musiały one bardzo odpowiadać rzeczywistéj potrzebie, skoro odrazu zyskały ogromne powodzenie, skoro przez lat 10, t. j. dotychczas się utrzymują. Wpłynąć to musiało na szkoły żeńskie. Pensye prywatne nie wystarczały, nie były zresztą dostępne mniéj zamożnéj ludności. Towarzystwo przy subwencyi sejmu i miast założyło 6 wyższych szkół żeńskich. W roku 1870, w Stanisławowie (cztero-klasową) i w Tarnowie (pięcio-klasową),—następnych lat w Rzeszowie, w Jarosławiu, w Kołomyi i w Stryju. Szkoły te wykształciły 1.267 uczennic, pochła-

niając połowę dochodów Towarzystwa. Nie dosyć na tém Zarząd Towarzystwa wypracował w r. 1870 plan kursów pedagogicznych, we Lwowie dla przyszłych nauczycielek prywatnych i publicznych. Wprawdzie plan ten nie zyskał aprobaty, ale zaraz w roku następnym założono w Galicyi, kosztem rządu, trzy seminarya nauczycielskie; czegoż więcéj było potrzeba?

Nadmieniamy tu nawiasem, że w Galicyi jest sześć seminaryów męzkich (we Lwowie, w Krakowie w Nowym Sączu, w Rzeszowie, w Tarnopolu i Stanisławowie) i trzy seminarya żeńskie (we Lwowie, w Krakowie, w Przemyślu) Seminarya żeńskie, a zwłaszcza Lwowskie i Krakowskie przepełnione. Jest do przewidzenia, że nadmiar nauczycielek galicyjskich sprawić może z czasem niebezpieczną konkurencyą w nauczaniu domowém naszym nauczycielkom, obejmującym obowiązki bez fachowego uzdolnienia się do swego zawodu; dopiéro długa praktyka i własna praca obznajmia je z trudną sztuką nauczania, to proces za długi. Zmieniają się czasy, zmieniają się i wymagania.

Obawy nasze jednak przedwczesne są jeszcze na dzisiaj. Kandydatki nauczycielskie, oszołomione nauką, pełne zarozumiałości i wygórowanych żądań, czują się powołane do wyższych celów niż nauczycielstwo wiejskie lub domowe; koncentrują się przeto w miastach a głównie we Lwowie, gdzie wiele z nich, nie mogąc znaléźć zarobku, zniechęca się wkrótce do swego zawodu.

O ile ruch umysłowy rozwinął się pomiędzy nauczycielami, dosyć wnosić z samych odczytów, których odbyło się pomiędzy nimi, w różnych miejscowościach kraju 1.936. Ta cyfra nie potrzebuje komentarzy. Chociażby nawet połowa tych odczytów była bez wartości, to i ta połowa bez wartości świadczy o pracy umysłowéj, o wyrabianiu się nauczycieli, to i ta właśnie połowa chociażby słuchaczów niczego nie nauczyła, nauczyła wiele prelegentów samych, zmuszając ich do studyów, do łamania się z trudnościami na tém polu.

Na wystawie galicyjskiéj, która miała miejsce zaprzeszłego roku (1877) we Lwowie, dział szkolny świetnie się przedstawił i świadczył o znakomitym postępie w nauczaniu początkowém. Zwracały na siebie szczególną uwagę *globus i liczydło ułamkowe* Żulińskiego, a także tanie drewniane teluryum ks. Głodkiewicza.

Do wyrobienia specyalności nauczycieli przyczyniło się wielce rozpowszechnienie instrukcyi metodycznéj za pomocą „Szkoły,“ jak niemniéj za pośrednictwem broszur i podręczników szkolnych, których liczy się przeszło 60. Godzi się tu także wspomnieć o rozpoczętéj bibliotece podręczników szkolnych dla nauczyciel. Dziesięć

dotychczasowych roczników „Szkoły“ (600 arkuszy druku) choćby nie zawierało „potężnéj sumy wiedzy,“ jak brzmi sprawozdanie urzędowe, to jednak mieści w sobie wiele pożywnéj treści, a z obszernie traktowanego działu metodycznego każdy nauczyciel ciągnąć może doraźne korzyści.

„Szkoła“ jako organ Towarzystwa Pedagogicznego jest wyrazem jego ruchu i działalności; sprawy więc formalne, sprawozdania z posiedzeń ogólnych, sekcyjnych i filialnych, ważniejsze odczyty i rozprawy, na tych posiedzeniach odbywane, znajdują tam przedewszystkiém pomieszczenie.

Byliśmy świadkami żywych sporów pomiędzy podagogami galicyjskimi w przedmiocie „Szkoły.“ Jedni dowodzili, że powinna się zająć wyłącznie sprawami szkoły ludowéj; inni przeciwnie, że nie powinna pomijać szkół średnich, jak to było w r. 1869, gdy wychodził dodatek do tego czasopisma poświęcony sprawom szkół średnich. Sypały się różne zarzuty; stanęło na tém, że „Szkoła“ nie jest wprawdzie doskonałą, ale jest lepszą od wielu podobnych czasopism niemieckich.

„Szkoła“ przechodziła różne koleje, grożące nieraz zawieszeniem pisma; zaznaczylibyśmy trzy zwroty w tém wydawnictwie. Pierwsze trzy roczniki posiadają program szeroki, traktując sprawy szkolnictwa z rozległego punktu widzenia, zarówno teoretycznego jak i praktycznego, w odniesieniu do ogólnych zadań społecznych. Spostrzeżono, że „Szkoła“ nie spełnia najważniejszego swego zadania t. j. nie rozpowszechnia się pomiędzy nauczycielami ludowymi; nastąpiło więc ścieśnienie programu i zniżenie prenumeraty. Odtąd „Szkoła“ przybiera kierunek praktyczny, ściśléj z potrzebami nauczycieli ludowych związany; do nich bezpośrednio przemawia, informując ich w kwestyach metodycznych.

W ostatnich latach „Szkoła“ przybrała jeszcze praktyczniejszy kierunek; daje bowiem nietylko już wskazówki metodyczne i lekcye wzorowe, ale całe kursa początkowe obrabia, ilustrując je drzeworytami.

Wspominaliśmy powyżéj o podręcznikach szkolnych i broszurach, wydawanych przez Towarzystwo Pedagogiczne. Liczba ich wprawdzie dość pokaźna; są to jednak po większéj części broszurki cienkie, zazwyczaj odbitki ze „Szkoły;“ mniejsza przeto tylko liczba tych wydawnictw może zainteresować zajmujących się literaturą pedagogiczną ze względu bądź to na ważność przedmiotów, bądź to na szersze obrobienie.

Oprócz prac ogólniejszego zakresu, jak: Józefczyka, Kawczyńskiego, Sawczyńskiego, Rybowskiego, Samolewicza, zasługują na uwagę niektóre rozprawki specyalne.

Wykład geografii najpracowiciéj obrobiono. Odznaczyli się tutaj: Tatomir, Benoni i Selingerowa. W szeregu wydawnictwa Tow. Ped. mieszczą się *Obrazki geograficzne* Tatomira (Lwów 1878), następnie 3 prace Benoniego: *O nauce geografii na podstawie kartografii* (Lwów 1873), *Atlas geograficzny Cz. I. Galicya* (Lwów 1873), *Zeszyty ćwiczeń kartograficznych Cz. I. Galicya*; wreszcie dwie prace Selingerowéj, odznaczające się wielu zaletami *Lekcye Geografii* zeszyt I, (Lwów 1876), a zwłaszcza *Lekcye geografii. Ziemie polskie w połączeniu z etnografią* (Lwów 1876, 8-ka więk. str. 124). J. Żuliński zasłużył się wielce w ułatwieniu wykładu początków matematyki; zaznaczamy dwie jego prace: *O znaczeniu astronomii w wychowaniu* (Lwów 1874), *Rachunek nowemi miarami i liczbami dziesiętnemi* (Lwów 1877).

Starannie bardzo zajmowano się pierwszemi krokami dziecka w szkole; rzecz to bardzo ważna, któréj w ostatnich zwłaszcza czasach żaden pedagog nie lekceważy. Najwięcéj prac w téj materyi wydał Zarański; w sprawie téj zabiérał nieraz głos energiczny Fr. Nowakowski, zasłużył się niemniéj Sobieski i inni. Między wydawnictwami Tow. Ped. znajdujemy:

*O nauce dostrzegania* p. Sobieskiego (Lwów 1872), *O elementarzu komisyi edukacyjnéj* przez Dr. F. Nowakowskiego (Lwów 1872), *Jak izba edukacyjna poleciła przygotowywać dzieci do nauki czytania?* przez tegoż (Lwów 1872), *Jak niemieccy pedagogowie polecają przygotowywać dzieci do nauki czytania i pisania?* przez tegoż (Lwów 1874). Nie wypada nam pominąć jednéj jeszcze pracy, jest to: *Nauka przygotowawcza w klasie I szkoły ludowéj przed użyciem elementarza.* Część ogólna, przez J. Chmielewskiego (Lwów 1877) (1).

## IV.

Zeszłoroczne zgromadzenie „Tow. Ped." odbyło się w Nowym Sączu, w czasie feryj letnich. Zjechało się przeszło 400 członków, między którymi liczono około 80 kobiét. Był to zjazd najliczniejszy z dotychczasowych; na nim obchodziło Towarzystwo dziesięcioletni jubileusz swego istnienia.

---

(1) Dokładny spis wydawnictw „Tow. Ped." podaje „Krótki pogląd" na str. 82 i 83. Wraz z rocznikami „Szkoły," spis ten obejmuje 71 pozycyj.

Połowę czasu przeznaczonego na obrady, zajęły kwestye bieżące i sprawy wewnętrzne Towarzystwa; co się tyczy spraw ogólniejszych, debatowano na posiedzeniach sekcyjnych o wyższém wykształceniu kobiét, o przeciążeniu uczniów w gimnazyach, o zniesieniu podziału szkół na humanitarne i realne, o zjednostajnieniu wykładu w szkołach ludowych i rzemieślniczych. Zgromadzenie zobowiązało Zarząd Towarzystwa do poczynienia odpowiednich wniosków do władzy.

Zajmującą była bardzo kwestya ogródków froeblowskich, które towarzystwo i rada szkolna oddawna popierają; które, podobnie jak w Poznańskiém, rozwinęły się po ważniejszych miastach Galicyi i przy seminaryach nauczycielskich.

Doktor Anatol Lewicki w długim, gruntownym (lubo z teoretycznéj tylko strony opracowanym) referacie, postawił zasadę, że pierwsze wychowanie powinno być wyłącznie w domu i przez samych rodziców i téj dowodził wyczerpująco. Przekonywał, że i sam Froebel jako znakomity pedagog nie inaczéj sądził; pierwotną jego myślą było stworzyć zakłady dla kobiét (dla matek i piastunek), z którychby rozniosły się po rodzinach umiejętne sposoby kierowania pierwszemi krokami umysłowości dziecka. Nie Froebel, lecz baronowa Berta Bülow jest matką dzisiejszych ogródków. Wczesne odrywanie dziecka od rodziny jest szkodliwe dla społeczeństwa, osłabia powagę rodziców, zaciera indywidualność dziecka, zaszczepia indyferentyzm. Rodzina i dziecko, mówi Froebel, tworzą nierozłączną jedność; rodzina jest świątynią ludzkości, jest to więcéj niż szkoła i kościół. Froebel, który głosi głębokie zasady, nie może być sam z sobą w sprzeczności. Całe przeszłe życie ma źródło w okresie dziecinnym; jeżeli dziecko nie przesiąknie w rodzinie duchem cnoty, to jéj już późniéj nie nabędzie. Szkoła nie potrafi wpoić w dziecko tego, czego mu rodzina nie dała, szkoła doprowadza tylko do świadomości zarody cnoty; nie powiastki, nie rozumowania, ale życie rodzinne, cnoty rodzinne dają podwalinę moralnéj stronie dziecka, przysposabiają grunt dla cnót społecznych. Umysłowa zresztą strona dziecięcia wymaga do pewnego czasu jednostajności, prostoty w otoczeniu; przeniesione zbyt wcześnie do zakładu, poczuje zgubny chaos wrażeń. Pierwsze wrażenia powinny być czyste i jasne, a przedewszystkiém prawdziwe; powinniśmy postępować od wyobrażeń i stosunków prostych do wyobrażeń i stosunków złożonych; pierwsze przedstawia rodzina, drugie—szkoła. Szkoła, to już świat dla dziecka, to już społeczność; tu otaczają je stosunki i obowiązki pochodne, społeczne. Jeżeli nie ustalimy najpiérw pierwszego zakresu wyobrażeń i pojęć dziecka w rodzinie, to dalszy widnokrąg jego będzie zamąco-

ny i powierzchowny. Niech się dzieci wychowują podług metody Froebla, ale w domu. Rodzice, nauczycielki, panny, niańki niech się zapoznają z tą metodą. Rodzina ma być wszystkiém dla dziecka, ale rodzina wzorowa, nawskróś moralna. Dziecko, pozbawione takiéj rodziny, jest sierotą moralną i dla niego właśnie jest ogródek froeblowski. Kobiéty obstają za ogródkami, bo one, zdając wychowanie dziecięcia w obce ręce, odpowiadają widokom emancypacyjnym.

Rezolucya p. Lewickiego brzmi jak następuje: Szkółki froeblowskie są tylko dobrze urządzonemi ochronkami; należy więc posyłać do tych szkółek tylko dzieci zupełnie zaniedbane, nie mające należytéj opieki ze strony rodziców. Dzieci zaś, nie znajdujące się w tak nieszczęśliwych warunkach, nie powinny być wysyłane do takich zakładów, lecz powinny kształcić się pod opieką i nadzorem bezpośrednim rodziców, głównie zaś matek, aż do téj chwili życia, w któréj pójdą do zakładów publicznych. Z drugiéj zaś strony byłoby rzeczą nader pożądaną, ażeby rodzice, opiekunowie i piastunki zaznajamiały się z systemem Froebla.

Przeciwko téj rezolucyi zaoponowała energicznie panna Zielonczanka, przełożona wzorowéj szkółki froeblowskiéj przy seminaryum pedagogiczném żeńskiém we Lwowie, opierając się na praktycznéj stronie rzeczy.

Oto niektóre wyjątki jéj przemówienia:

„Rodzina jest podstawą społeczeństwa, życie rodzinne źródłem wszelkich cnót społecznych i narodowych; nikt nie zaprzeczy, że życie rodzinne daje podwalinę wszystkich cnót człowieka. Froebel, człowiek pełen cnót, zacny obywatel kraju, uczony a zarazem najpraktyczniejszy pedagog naszego wieku, był również tychże przekonań; tylko że geniusz jego twórczy był zarazem głęboko wtajemniczony w praktyczną stronę codziennego życia, odsłaniającą mu gwałtowne potrzeby zaradzenia smutnemu zaniedbaniu wychowania dzieci z klasy średniéj, po miastach szczególniéj, mówimy tu najpierw o dziatkach osieroconych, późniéj z domu urzędników, nauczycieli, kupców, rzemieślników.

„Nie mówimy tu naturalnie o biednych wyrobnikach, którzy są w konieczności oddawania dzieci na cały dzień do ochronek, które to ochronki w obecnych warunkach nigdy ogródkami zwane być nie mogą; pożądanémby tylko było, aby głębokie w zadaniu, a praktyczne w przeprowadzeniu pomysły Froebla i tam wprowadzone były, dla przeszkodzenia pracy czysto mechanicznéj, a podania tym biednym istotkom właściwego pokarmu. Ale mówimy tu tylko o ogró-

dkach froeblowskich, które przyjmują dzieci na 4 lub 5 godzin dziennie.

„Przypatrzmy, jak w braku takiego ogródka dziecko szkodliwie bywa odrywane od rodziny i to nie na 4 godziny, ale na cały dzień lub popołudnie; ile ten brak sprawia niepokoju kochającemu ojcu, ile trosk wrażliwéj matce! Wiemy bowiem, że każdy ojciec stanu średniego śpieszyć musi do szkoły, biura, sklepu lub pracowni, ażeby zapewnić utrzymanie rodzinie i chociażby w całéj pełni pojmował obowiązki wychowania swego dziecka, twarda konieczność odrywa go od rodziny, zostawiając czas zaledwie na wspólny z nią obiad, wieczorną przechadzkę. Matka zaś albo nie umié zająć się dziatkami (co często się zdarza), albo, obarczona kilkorgiem dzieci przy jednéj słudze (lub żadnéj), bierze na siebie obowiązek gospodyni, przyrządzić ma śniadanie, ubrać dzieci, urządzić cały ład w domu, wyjść do miasta; w najlepszym razie wyszle dziecko na kilka godzin lub pół dnia na świéże powietrze do publicznego ogrodu z niańką, które u nas wybierają z warstwy służebnéj najbardziéj zaniedbanéj. Pomijamy złe przykłady tamże nasuwające się i wyuczane wyrazy, baśnie o strachach, zaszczepianie pojęć fałszywych w tak ważnéj chwili rozwoju dziecka, kiedy wyobraźnia w całéj duchowéj atmosferze wychowanka wszechwładną jest panią; pomijamy dni szczęśliwe, w których dzieci bez wypadku uderzenia lub rozbicia do domu wracają. Jeżeli zaś dla braku niańki nie wychodzą na przechadzkę, to bawiąc się na dziedzińcu z zaniedbaną dziatwą, pewnie nie lepsze wynoszą ztamtąd korzyści. Wejdźmy teraz w troskę matki pojmującéj swoje głębokie zadanie, lecz przy szerszych obowiązkach względem dzieci nie mogącéj zaradzić złemu, szczególnie gdy młodsze dziecięta nieustannéj opieki jéj potrzebują, téj matki, która pewnie byłaby najszczęśliwszą, gdyby mogła w zupełności zaspokoić moralne wymaganie dziecka.

„Właśnie w téj gwałtownéj potrzebie przychodzą w pomoc matkom w godzinach ich zajęcia ogródki froeblowskie z wytkniętym celem, aby przedewszystkiém rozwijać ustawicznie miłość i wdzięczność ku rodzicom i Bogu; daléj, zadowolnić każde dziecka pytanie, zbyt wybujałą fantazyą sprowadzić na pole realne, nie zaniedbując wrodzonego mu popędu do czynności przez podsuwanie zabawek odpowiednich jego naturze, a przytém przez gimnastykę i maszerowanie na wolném powietrzu rozwijać siły fizyczne.

„Niepodobna obok tego nie wspomnieć o korzyściach towarzyskiego obcowania w tych kilku godzinach, ile dziecko pozbywa się egoizmu, przyzwyczaja się wcześnie do porządku, punktualności, do ustępstwa, zgody; zaciera się zbytnia bojaźliwość, stają się dzieci swo-

bodne w obejściu ze starszymi, bo ogródek nie jest dla nich obcém miejscem, tylko szerszą ścianą domu rodzicielskiego, o czém przekonać się można zajrzawszy tam, jaka swoboda i wesołość panuje, gdzie ciocia (ogrodniczki tak się tytułują), nie wdzierając się bynajmniéj w prawa matki, staje się jéj chwilową pomocnicą, a czasową towarzyszką moralną, biorąc żywy udział w każdém zajęciu dziecka, tytułem zaś cioci kochającéj rozumié swoje wychowanki, wnika w ich indywidualne potrzeby, wyczytując je w ich oczach i sercach. Czy zakłady z takiemi zasadami mogą przynieść szkodę rodzinie i społeczeństwu?

„Nikt nie zaprzeczy, że głównemi naszemi wadami są brak wytrwałości w pracy podjętéj, brak jedności i zgody w myślach i zamiarach. Ogródki froeblowskie również pojmują obowiązki narodowe i starają się przeciwdziałać wadom ogólnym przez przyzwyczajenie dzieci wcześnie do pracy, przez wpajanie w nie zamiłowania do czynności tak fizycznéj jak i umysłowéj, bo jak Froebel powiada: „każdy popęd do czynności wstrzymany, zdolność nieużyta, tak samo u dzieci jak i u dorosłych sprowadza ociężałość i wyradza pierwsze zarody lenistwa, które zawsze było zgubą narodów.

„Lecz wspomniałam również o braku jedności. Otóż ogródki zgromadzają już trzechletnią dziatwę w jedno kółko, tworzące wielką rodzinę, w któréj nazywając się braciszkami i siostrzyczkami, zaszczepiają wcześnie tę miłość zgody, ustępstwa wzajemnego, ofiarności; poddając się prawom ogródka, dziś już stanowią tę spójnię i pożądaną jedność.“

Przemówienie p. Zielonczanki pełne było polemicznych zwrotów i rozdmuchało pewne drażliwości w zebraniu. Mówcy przemawiali jeden po drugim coraz namiętniéj, bijąc w to głównie, że ogródki są surrogatem, malum necessarium; że są cykoryą, ale nie kawą; że są dla tych dzieci, które za życia rodziców stały się sierotami. A gdy jeszcze jeden z mówców oświadczył się za ogródkami, ale nie dla tego, żeby one miały być pożądane, tylko dla tego, że nasza rodzina upada, że kobiéta nie potrafi już w zupełności odpowiedzieć obowiązkom macierzyńskim; zgromadzenie, podsycane obecnością kilkudziesięciu manifestujących się kobiét, zaczęło przybierać charakter burzliwy.

Dzięki głosom takich poważnych ludzi jak Strzelecki, Trzaskowski i Jabłoński — burza dała się zażegnać. Rezolucyą przyjęto bez zmiany. Patrzyliśmy na to wszystko zimno, zdaleka i nie możemy téj uchwały przyjąć za ostateczny wyraz opinii pedagogów galicyjskich. Stało się zadość formom parlamentarnym, ale nie istocie rzeczy. Rozumiemy tych mówców, występujących stanowczo w obronie

kobiéty, w obronie świętości rodziny, w obronie tego wszystkiego, co swojskie; ale rozumiemy i to także, że na tym gruncie, przy takiém rozszerzaniu granic dyskusyi, kwestya roztrzyganą być nie powinna. Dowcipnie odezwało się było któreś z pism galicyjskich, że pedagogowie na koniku narodowości zajechali sprawę Froebla.

Froebel to nie ogródek dziecięcy; Froebel sformułował zasady, froebliści stworzyli ogródki, stworzyli je pod naciskiem potrzeb chwili, wynikających ze zmian w dynamice społecznéj. Niezbyt dawne czasy, przysparzające szybko proletaryatu miejskiego, wywołały konieczność ochronek dla dzieci tego proletaryatu; bliższe nas czasy, przysparzając szybko ludności fabrycznéj, kupieckiéj, przemysłowéj, w któréj kobiéta zarówno jak mężczyzna gorączkowo na chléb zarabia, gasząc w wielu domach ognisko na dzień cały, wywołały konieczność ogródków dziecięcych. Co pomogą teoretyczne zarzuty przeciw ogródkom, kiedy są one faktycznie dobrodziejstwem dla dzieci średniéj zamożności; ogródek zresztą nie absorbuje dziecka, przyjmuje i zajmuje je przez parę godzin i powraca rodzinie. A przytém, co najważniejsza, przeważna jest liczba matek, które przy licznych obowiązkach domowych, przy licznéj rodzinie, nie mogą wystarczyć każdemu dziecku. Największa jest liczba takich, które przy najlepszych chęciach, choćby może i czas na to znalazły, nie potrafią się zająć dziećmi tak, jakby dziś należało; czy mają się one wyrzec pomocy ogródka, specyalną prowadzonego ręką?

Dziś wszystko tak szybko postępuje, korzystamy wszyscy z wynalazków, ulepszeń, ułatwień; czyż tylko dziecko, to maleństwo, przed którém stoi szkoła z całym ciężarem tylu i tak różnorodnych nauk, przed którém stoi życie z całym ogromem obowiązków wielkich i ciężkich, czyż tylko to maleństwo, ten skarb i pociecha rodziców, ta nadzieja kraju, ma się wychowywać omackiem, ma wyrastać jak wierzba przy drodze, ma nie korzystać z genialnych ulepszeń i ułatwień, na polu wychowawczém poczynionych?... Do drugorzędnych nawet robót używamy dziś *specyalistów*, czyż tylko w wychowaniu specyalność nie potrzebna?... Przytoczcie mi wszystkie przeciw froeblowskie argumenta, a ja wam jedno tylko postawię pytanie: czy nie wierzycie w specyalność? Rzecz cała przedstawia nam się jasno: zasady Froebla są dla wszystkich, ogródki zaś są pomocą i ucieczką dla tych dzieci, których rodzice z jakichbądź przyczyn, nie stanąwszy na wysokości ważnych obowiązków względem dzieci, nie spełniają możliwie najlepiéj swego zadania.

V.

Trzynaste, a jak dotychczas, ostatnie walne zgromadzenie Towarzystwa Pedagogicznego odbyło się w Brodach w dniach 21, 22 i 23 Lipca roku bieżącego. Czynności jego nie ograniczyły się na sprawach wewnętrznych, administracyjnych albo obradach, dotyczących tylko szkoły ludowéj; owszem, sięgały one szerzéj przez obrady nad sprawami szkół średnich i jeszcze szerzéj zarówno przez oddanie hołdu jubilatowi Kraszewskiemu, jak i przez uczczenie pamięci Korzeniowskiego.

Przyjrzyjmy się najpierw, jak uroczyście przyjmowano nauczycieli w Brodach, w owém mieście handlowém, żydosko-niemieckiém.

Cały dworzec kolei żelaznéj przyozdobiła Dyrekcya kolei Karola Ludwika w zielone festony i liczne flagi o barwach narodowych. U wjazdu na drogę, prowadzącą do miasta, wznosiła się pierwsza brama tryumfalna, gustownie ustawiona z zieleni flag różnobarwnych i sygnałów kolejowych; całą zaś ulicę aż do miasta wysadzono młodemi świerkami. Tu stoi druga brama z napisem:

Witajcie, mili goście, u bram tego grodu,
Witajcie, krzewiciele oświaty narodu.

Ratusz przyozdobiono bardzo bogato, na gmachu gimnazyum wywieszono napis łaciński:

*Cordibus unitis virtutum foedere junctis,*
*Grato gens animo socia optat mente salutem.*

Ze wszystkich przyległych domów powiewają flagi z napisami w języku polskim, rusińskim, niemieckim i hebrajskim.

Na ulicę, wiodącą do gmachu Towarzystwa Muzycznego, przeznaczonego na posiedzenia, wchodziło się znowu przez wspaniałą bramę tryumfalną; na jedném z jéj skrzydeł był napis:

Nie przestajcie, wy, uczeni
Siać ziarno mądrości;
Choć się teraz nie rozpleni,
Zejdzie w potomności!

Na drugiém zaś skrzydle:

Nie budujcie dla swéj chwały,
Jak inni śmiertelni;
Niechaj będzie naród cały
Celem waszéj kielni!

Pociąg, wiozący pierwszą partyą przeszło 200 członków około 5-éj (20 Lipca) zatrzymał się wśród huku moździerzy i dźwięków

muzyki. Na peronie straż pożarna w galowych mundurach wyciągnęła szpaler. Burmisrz miasta, p. Witosławski, przywitał gości w imieniu obywateli. Wielki był natłok ludności miejscowéj i okolicznéj; wszystkie okna, a nawet dachy i dymniki obsadzone były widzami. W całém mieście zapanował ruch niezwykły. Goście znaleźli pomieszczenie w prywatnych mieszkaniach, inteligencya izraelska podejmowała także przybyłych z uprzejmą gościnnością.

A teraz zobaczmy jakie były czynności tego zgromadzenia.

Pierwsze posiedzenie 21 Lipca rozpoczęło się, jak zwykle w takich razach, solenném nabożeństwem. Poczém powitał zgromadzenie w sali obrad burmistrz, następnie prezes Sawczyński, podziękowawszy serdecznie i zręcznie burmistrzowi i miastu (w którém się stykają „dwa prądy cywilizacyjne"), otworzył obrady. Po załatwieniu formalności, sprawozdań, rachunków, wyborów, nastąpił odczyt B. Baranowskiego o *Kraszewskim*. Odczyt ten wydrukowano późniéj w książce pamiątkowéj, poprzedzonéj adresem Towarzystwa p. t. *Józef Ignacy Kraszewski, jego życie i zasługi; skreślił Bol. Baranowski, Książka pamiątkowa, wydana w pięćdziesiątą rocznicę pracy literackiéj J. I. Kraszewskiego przez Towarzystwo Pedagogiczne. Lwów 1879.*

Dnia następnego (22 Lipca) nauczyciel gimnazyalny Harwot czytał „*o szkolnych kasach oszczędności ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznéj*". W gruntowny sposób przedstawił dzieje powstania kas szkolnych za granicą, podnosząc zasługę ich wynalazcy, profesora Laurenta z Gandawy, który za tę myśl uzyskał nagrody 10.000 franków, jako za najlepszy środek podniesienia bytu materyalnego i moralnego klasy robotniczéj. Było to w r. 1866. Wkrótce kasy podobne znakomicie rozwinęły się w Belgii; przed kilku laty (r. 1875) liczyły już one przeszło pół miliona wkładów. W prowadzono je wkrótce we Francyi, Anglii, Włoszech, Niemczech, Danii, Szwajcaryi, Szwecyi i Holandyi. Istnieją one w Austryi (279 kas) a najlepiéj rozwinęły się w Węgrzech; w Galicyi jest zaledwie 12 takich kas. Prelegent gorąco przemawia za kasami szkolnemi, widzi błogi ich wpływ na rozwój cnót domowych ucznia, widzi potężny środek przeciwko żebractwu, kradzieży i innym występkom, z nieporadnego ubóstwa wynikającym.

Za kasami przemawiają więc względy pedagogiczne i ekonomiczne; kasy takie odpowiadają pomysłom najznakomiszych ekonomistów jak Franklin, Say, Supiński i in.

Ważna ta sprawa wywołała żywe zajęcie i gorące rozprawy. Prezes Sawczyński wystąpił przeciw kasom niemniéj energicznie jak ubiegłego roku przeciw ogródkom froeblowskim. Ferwor retoryczny podawał mu szumne i ogłuszające wprawdzie, ale mniéj gruntowne

argumenty. Zapisało się bardzo wielu do głosu, przemawiali tylko mówcy generalni; sprawy nie rozstrzygnięto.

Pomijając wiele szczegółów i uchwał ważnych, ale miejscowe mających znaczenie, nie możemy zapomnieć o pracy nauczycielów gimnazyalnych na posiedzeniach sekcyjnych w sprawie szkół średnich, które tém więcéj były na czasie, że w Galicyi przygotowuje się reforma gimnazyalna. Przedstawiono rezultaty długich poprzednich już obrad, rozprawiano obszernie o przeciążeniu uczniów, o zmianach w programie nauk i o innych kwestyach dydaktycznych; w rezultacie pokazało się, że wszelkie plany reorganizacyi, wszelkie nowe programy nie doprowadzą do niczego, dopóki nie rozstrzygnie się kwestya *bifurkacyi* szkół średnich tj. podziału ich na gimnazyalne i realne. Już od kilku lat nauczyciele oświadczają się przeciw bifurkacyi, a są za zjednostajnieniem wszystkich szkół średnich, podobnie jak było w Królestwie po reorganizacyi Wielopolskiego w r. 1862. Rozprawiano także szeroko nad umundurowaniem uczniów, zdania były podzielone.

Uroczyste poświęcenie pomnika, wzniesionego kosztem składkowym na miejscu urodzenia Józefa Korzeniowskiego, jest pięknym czynem ze strony Towarzystwa.

Dom rodzinny Korzeniowskiego już nie istnieje, zniknęła nawet tradycya o nim. Po wielu poszukiwaniach w archiwum magistratu, któremi się zajął p. Małaczyński, prezes oddziału pedagogicznego w Brodach, pokazało się, że dom ten znajdował się na Starych Brodach, w pobliżu wjazdu do dzisiejszego dworca kolei żelaznéj. Tam więc w ogródku, przed oknami dworku stojącego w miejscu dawnéj zagrody Korzeniowskich, wzniesiono prosty słup murowany, powleczono go cementem, a na nim położono metalową tablicę.

W pierwszym zaraz dniu posiedzeń odbyła się po południu uroczystość odsłonięcia pomnika Korzeniowskiego, który obok literackich ma także i pedagogiczne zasługi, jako nauczyciel i kierownik oświaty.

Tłumy zaległy wcześnie miejsca i dachy okoliczne; tablicę zasłonięto portretem Korzeniowskiego, otoczywszy go wieńcem wawrzynowym. Obok pomnika wzniesiono mownicę, a całe otoczenie domek stojący w głębi przyozdobiono festonami i flagami; sprowadzono ze Lwowa muzykę.

Zabrał głos profesor i znany literat, Lucyan Tatomir, zaczynając od słów: „Naród, oddający cześć należną znakomitym pracownikom swoim na polu piśmiennictwa, czci w nich samego siebie.“ W dalszym ciągu w wymownych słowach skreślił zasługi Korzeniowskiego w literaturze i w zawodzie nauczycielskim. Piękne były ustę-

py, pod koniec zwłaszcza mowy, piękny jest ten, który przytaczamy.

„Ci wybrańcy Boży z piętnem geniuszu na czole rozłączają się z nami tylko ciałem a lepszą cząstką swoją, dziełami swego twórczego ducha żyją wiecznie między nami; prowadzą stare pokolenie do grobu, wychowują młode, sami wiecznie młodzi, nieśmiertelni.

Korzeniowski jest więc między nami. Jest w wypisach na szkolnych ławach, z których uczą się dzieci nasze myśléć i czuć; jest na scenie teatrów naszych, jest w świetnych salonach pańskich, w dworkach szlacheckich i w domach mieszczańskich;—a kiedyś za staraniem zacnego nauczycielstwa ludowego, da Bóg, będzie i pod strzechą chat wieśniaczych. Jest więc wszędzie, jak daleko sięga język polski; owszem jest i daléj,—żyje w tłómaczeniach swoich arcydzieł i na scenach i w literaturze niemieckiéj, czeskiéj, rosyjskiéj.“

Potém przemówił w słowach krótkich, lecz rzewnych towarzysz młodości Korzeniowskiego, kolega szkolny z liceum krzemienieckiego, Fr. Nowakowski i przy odgłosie muzyki i grzmocie oklasków drżącą ręką odsłonił tablicę z napisem: *Miejsce urodzenia Józefa Korzeniowskiego, polskiego pisarza powieści i dramaturga, ur. dnia 8 Wrześ. r. 1797 uroczyście zaznacza Galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne dnia 21 Lipca 1879 r.*

* *
*

Kończąc sprawozdanie nasze, zauważymy, że Towarzystwo Pedagogiczne galicyjskie rozwinęło się najlepiéj może ze wszystkich podobnych towarzystw w całéj monarchii Austryacko-Węgierskiéj. Nie ograniczając się wyłącznością, ogarnęło wszystkie sfery w kraju; członkami jego są zarówno nauczyciele ludowi jak i profesorowie uniwersyteccy, wielcy dygnitarze państwa jak i ubodzy mieszczanie. Ma téż Towarzystwo wziętość, wpływy i poparcie. Ale nietylko moralną swoją stroną Towarzystwo wzniosło się wysoko, stoi ono znakomicie i liczbą. A właśnie przekonywają nas o tém cyfry statystyczne, zamieszczone w tegoroczném publikacyi wiedeńskiéj stowarzyszenia pedagogicznego p. n. *Paedagogisches Jahrbuch 1878.* Tylko parę najliczniejszych towarzystw pedagogicznych w prowincyach Austryi mają po 800 do 1.000 członków; zaledwie jedno Deutscher Landeslehrerverein in Böhmen posiada 1.980 członków, gdy tymczasem Towarzystwo Galicyjskie liczy ich około 2.500.

*Władysław Nowicki.*

# KRONIKA.

Co się w ciągu roku działo.

Społeczeństwo cywilizujące się jest organizmem, którego części składowe t. j. jednostki mają potrzeby fizyczne i duchowe i dążą wspólnie do ich zaspokojenia. O ile potrzeby są zadowolone lub niezadowolone, o tyle jednostki są szczęśliwe lub przeciwnie. O ile przy zaspakajaniu potrzeb jednostka zużywa mniéj sił, napotyka mniéj przeszkód, a więcéj pomocy, o ile nadto, mogą w niéj rozwinąć się potrzeby wyższe i znowu zostać zaspokojonemi, słowem, o ile uzdolnienia ludzkie, siły natury i praca nagromadzona przez generacye dawniejsze znajdują się w odpowiednim stosunku, o tyle organizm społeczny jest doskonalszy.

Zupełnie doskonałego społeczeństwa nie ma na naszéj planecie. W każdym kraju są jakieś braki, cierpienia, klęski, zawiści i walki. Wszędzie jednak jaśniéj lub mniéj jasno zdają sobie sprawę z faktycznego stanu rzeczy i starają się zmniejszyć złe, a spotęgować dobre.

Przyjrzenie się pewnemu peryodowi ubiegłego czasu może wskazać: jakie w społeczeństwie były potrzeby, jakie siły do ich zaspokojenia, jakie przeszkody do zwalczenia, które złe osłabło, a które wzrosło, jakie dobro zmężniało lub przeciwnie. O ile obraz taki będzie dokładnym, o tyle wyrozumiéć zaś będzie można przyszły kierunek cywilizacyjnego pochodu, a umysły przedniejsze w narodzie drogę tę wyraźniéj określą.

Dokładny wszelako obraz przeszłości, choćby kilkanaście miesięcy obejmującéj opierać się musi na porządnie prowadzonéj statystyce.

Przykłady rzecz wyjaśnią.

Człowiek średnio zużywa na rok 274 kilogramów pokarmów tak zwanych węglowych i 183 kilogr. azotowych. Gdyby w jakimś

kraju w pewnym czasie na głowę wypadało 2.000 kilogr. zboża, a tylko 50 kilogr. mięsa, wnieśćby ztąd należało, że kraj ten za wiele uprawia zbóż a za mało roślin pastewnych i że system gospodarstwa zmienić musi, gdyż inaczéj pomimo nadmiaru zboża, grozić mu mogą w przyszłości niebezpieczeństwa związane z drożyzną, o ile stosunki handlowe usunąć ich nie potrafią.

Jeżeli gdzieś 60% ludności zajmuje się rolnictwem, a 20% rzemiosłem, lecz w pewnym roku z ogólnéj cyfry dzieci 80% uczy się zajęć rolnych, a tylko 5% rzemiosł, ostrzedz należy, że równowaga między zajęciami może być zerwaną i że dla utrzymania jéj wypada zwrócić więcéj sił do nauki rzemiosł.

Nie będziemy mnożyć przykładów, które, jak każda teorya w porównaniu z praktyką, zbyt jaskrawo ilustrują myśl naczelną. Ściśle rzeczy biorąc, ludzkości daleko jeszcze do tego, aby mogła *obrachowywać* zjawiska społeczne, jak się to dzieje np. z astronomicznemi. Nie chodzi nam więc dzisiaj o przepowiednie dokładne, ale raczéj o wykazanie tego, że jeżeli kiedyś roczny sprawozdawca będzie mógł udzielać ogółowi prawdopodobnych wskazówek, co do zjawisk społecznych w latach następnych, zrobi to, tylko na podstawie drobiazgowéj statystyki lat upłynionych.

Do *wskazywania* więc przyszłych kierunków społeczeństwu, trzeba mieć wystarczające dane z przeszłości. Do *korzystania* zaś z tych wskazówek, do stosowania ich w życiu, trzeba mieć niemało rozumu, poczucia obowiązków społecznych, woli ich spełniania i możności wpływania na tego rodzaju fakta. U nas każdy z tych warunków pozostawia wiele, bardzo wiele do życzenia, i z tego powodu praktyczny użytek sprawozdań miesięcznych, rocznych a nawet kilkoletnich jest i musi być nader ograniczonym.

Jakoż pretensye nasze ograniczamy do tego, aby na podstawie szczuplutkich, niedokładnych i raczej powierzchownych niż gruntownych materyałów, jakie mamy pod ręką, dać czytelnikowi choć do pewnego stopnia wyrozumieć stan kraju i społeczeństwa i obudzić chęć do myślenia o jego mnogich, a bynajmniej niezaspokojonych potrzebach.

Poczynając od terytoryum, nie jesteśmy w stanie określić: w jakim stopniu w r. b. zwiększyła się użyteczna powierzchnia gruntu, a powtóre, w jakim stopniu zmniejszyła się, albo wzrosła płodność ziemi już uprawianéj? Wiemy, że tu i owdzie dokonano osuszenia błot, zaprowadzono płodozmian, wycięto las i zaorano, że nawet, poddawano grunta rozbiorowi chemicznemu. Cyfr przecie nie znamy i wnosimy tylko z niejakich wskazówek, że ilość ziemi ornéj zwiększa się w kraju. O wypłodności jednak gruntów nie możemy tego powie-

dziéć i skłaniamy się do przypuszczenia, że raczéj zmniejsza się ona w nieznacznym stosunku, aniżeli powiększa.

Wśród własności mniejszéj trwa system trzypolowy gospodarstwa, wśród większéj, przeważa płodozmienny. Rachunków dokładnych ani ci, ani tamci nie prowadzą; nawozów jedni mają za mało, a drudzy nie szanują ich, nieznaczne zubożenie ziemi składa się na karb złych warunków klimatycznych i niewiadoma pozostaje niewiadomą.

Że jednak kwestya ta wchodzi na porządek dzienny, świadczy o tém powszechne upominanie się o fundusze melioracyjne. Wynalezieniem ich ma kiedyś zająć się Tow. Kred. Ziem., które, aby nie działać na oślep, uprosiło p. Tadeusza Kowalskiego, b. profesora Inst. Rol. w Puławach, o zebranie dat z majątków już meliorowanych. Istotnie p. Kowalski obejrzał takie majątki i stosowny memoryał złożył już Towarzystwu.

Nieco bardziéj naprzód posunęła się kwestya leśna. W Warszawie mamy komitet leśny, opracowujący wnioski w téj sprawie. Wyższe władze mają zamiar rozciągnąć nad lasami pieczołowitą opiekę, osobliwie nad temi, od których zależéć może obfitość wód w rzekach. Porządne gospodarstwo leśne ma także być nakazane z urzędu, zresztą, gdzie niegdzie wprowadza się z dobréj woli.

Ceny zbóż na rynku warszawskim, w porównaniu z rokiem poprzednim, są następujące:

| Listopad. | 1878 | 1879. |
|---|---|---|
| Pszenica | 8—12 | 10—37 |
| Żyto | 5—85 | 6—87 |
| Jęczmień | 4—25 | 5—25. |

Widzimy więc podniesienie się cen, do czego zapewne przyczyniły się małe urodzaje w całéj Europie i rok wilgotny.

Ceny inwentarza także wzrosły; panujący w wielu okolicach księgosusz wpłynie z czasem jeszcze bardziéj na podrożenie bydła.

Co do komunikacyi nadmienić warto, że szosy od kilku lat są poprawiane. W r. b. miano wydać na ten cel 516 tys. rs. Prócz tego wyszedł z ministeryum rozkaz, zalecający opiekę nad drzewami przydrożnemi. Szosy istotnie w niektórych okolicach są lepsze, nie można tego jednak powiedziéć o komunikacyi wodnéj. Na uregulowanie Wisły i Sanu wydano w r. b. 145.000 rs., pomimo to Wisła po dawnemu nie nadaje się do żeglugi parostatkami i wczasie wylewów zrządza szkody. W tym roku zalała zimą w nizinie Moczydłowskiéj 25 wsi, a w lecie również na pewnéj szerokości zniszczyła posiewy nadbrzeżne.

Za to przybyła Wiśle nowa ryba, a mianowicie łosoś, którego kilka tysięcy załążków puścił dr. Nowicki w rzekę pod Krakowem.

Kolei nowych nie zbudowano, choć czuje się ich potrzebę. Natomiast wiele mówiono o długiéj linii: Iwangród-Dąbrowa, którąby przecięła gubernie, Radomską i Kielecką, tudzież o kilkunastu liniach drugorzędnych ogólnéj długości 473 wiorst; na robienie studyów na jednéj z tych ostatnich (Chełm-Hrubieszów), uzyskał p. Świeżawski koncesyą. Godzi się przy sposobności wspomnieć o komisyi, która badała znaczenie naszych dróg żelaznych pod względem ekonomicznym, politycznym i strategicznym. Rezultaty jéj prac nie są znane. Natomiast zdaje się być pewną, reforma mundurów służby kolejowéj, wedle wzorów istniejących na drogach Cesarstwa.

Zasługuje na pochwałę zamiar kolei: obsadzania plantów wierzbą koszykarską.

Na kartach roku tego zapisała się dość długa serya planów i usiłowań, skierowanych do poprawienia stanu zdrowia mieszkańców. Dzięki dbałości P. Prezydenta miasta Warszawy, największa część tego przypada na nasze miasto. Mamy komitet sanitarny, który szczegółowo i wszechstronnie badał sposoby oczyszczenia Warszawy, zaopatrzenia jéj w wodę studzienną, dostarczania wiślanéj w większéj ilości. Taż sama korporacya starannie rozpatrywała projekt kanalizacyi Lindleya, ustanowiła komisyą rewizyjną mieszkań, która zamknęła 147 lokalów złych i zabroniła wsypywać nieczystości do Wisły.

Niezależnie od tego, władze zajęły się badaniem fabryk, mogących zanieczyszczać wodę i powietrze, utworzyły dozór budowlany w Warszawie, poleciły na cegłach wybijać stemple fabryczne. Ma téż być utworzoną w mieście naszém stała komisya sanitarna, czuwająca nad porządkiem ulic, placów i domów. Nareszcie zalecono lekarzom powiatowym rewidować szkoły wiejskie pod względem hygienicznym.

Godnym wspomnienia jest urządzony w tym roku, wśród lasów, szpital w Mieni dla chorych piersiowych.

Liczba budowli w Warszawie wzrasta. Od pięciu lat przybywa średnio po 150 domów i 50 oficyn lub pięter wyższych. Przyrost ten jednak nie odpowiada zwiększaniu się ludności; to téż gdy w r. 1868 na jeden dom przypadało średnio 73$^1/_4$ mieszkańców, w r. 1878 było ich 77$^1/_4$. W całym kraju zresztą budowle mnożą się, na rozwój ten jednak bardzo szkodliwie oddziaływają pożary, niszczące co roku około 5 milionów rubli wartości, jeżeli nie więcéj.

W dziennikach dużo miejsca poświęca się wynalezieniu środków przeciwko pożarom. Jakiś nawet dobroczyńca zobowiązał się

w „Gazecie Polskiéj“ ofiarować dwie nagrody pieniężne, jednę temu, kto poda najracyonalniejsze przepisy, dążące do zmniejszenia pożarów, drugą temu, kto dla przepisów owych uzyska zatwierdzenie na drodze prawodawczéj. Środki takie znaléźćby niewątpliwie można, zastosowanie ich jednak utrudni ubóstwo i ciemnota ludzi, najczęściéj stających się ofiarami ognia.

Innéj jednak klęsce, mianowicie wilgoci w mieszkaniach, zaradza podobno *antyhigrazma*, substancya wynaleziona przez p. Topolnickiego, technika ze Lwowa. W lokalach, których ściany pokryto *antyhigrazmą*, wilgoć zmniejszyła się o kilka stopni, a ciepło wzrosło. Próby robiono w wielu gmachach w Warszawie, czas jest jednak zbyt krótki, aby można było orzec coś o stanowczéj skuteczności wynalazku.

Warunki budowy tramwayów w Warszawie już zostały ogłoszone, a może i wkrótce zostaną wykonane.

Nagłe wybuchy drożyzny artykułów spożywczych w różnych miejscach kraju zwróciły uwagę władz na handlarzy i wywołały szereg przepisów. W Warszawie zabroniono wykupywać produkta przed rogatkami, w innych miastach ustanowiono taksy i nie pilnującym się ich handlarzom wytaczano procesy. Istotnie byłby pożądanym pilniejszy dozór, osobliwie nad handlarzami bydła, którzy monopolizując tę gałąź handlu dopuszczają się nadużyć i współzawodników swoich umieją zręcznie usuwać. Przytém służba ich tyranizuje bydło, w skutek czego wyszły nawet rozporządzenia, aby na stacyach dróg żelaznych woły były pojone, a na Pradze karmione i pojone. Zajmowano się też przeniesieniem na inne miejsce targu wołowego, który zasługuje raczéj na nazwę katowni.

Złe kursa pieniędzy w ciągu paru lat ostatnich skłoniły wiele osób do przepędzania letnich miesięcy w kraju. Ogół w skutek tego przywyka do przyglądania się pięknościom i pamiątkom miejscowym, a przeto szerzy się znajomość kraju. I w roku bieżącym odwiedzano okolice Ojcowa, Puław i im podobne i utyskiwano na marniejące zabytki dawnéj architektury, których nie ma kto dźwignąć z upadku. Nie jest to wprawdzie rzecz łatwa, dobrze jednak, że ludzie zaczynają o niéj myśléć. Może z czasem utworzy się jakieś towarzystwo, które nietylko nie dopuści ostatecznéj zagłady śladów dawnéj cywilizacyi, ale także postara się o ściąganie licznych gości w okolice piękne, lecz opuszczone, ubogie i zapomniane, a tym sposobem przyczyni się do podniesienia ich.

Otóż w kierunku upiększania terytoryum i konserwowania zabytków, zasługują na wzmiankę dwa fakta. Ś. p. Kicki, który pozostawił znaczną posiadłość ziemską i fundusze, pod opieką Towarzy-

stwa Osad Rolnych, zastrzegł w testamencie pewną sumę na „przyozdobienie“ téj posiadłości, a nawet wskazał sposób, w jaki to robić wypada. Z drugiéj zaś strony p. Epstein, właściciel Pilicy, odnowił stojący tam stary zamek, zrobił go mieszkalnym i nawet portrety dawniejszych posiadaczy w jednéj sali zgromadził.

Nie myślimy bynajmniéj koniecznie zachęcać do odnawiania wszystkich starych zamków jakie są w kraju, ani bezwarunkowo potępiać tych, którzy rozsypujące się cegły zużywają na dobro pokolenia żyjącego. Nie mniéj jednak upiększanie okolic i konserwowanie pamiątek uważamy za czyny obywatelskie, byle jedno i drugie nie robiło uszczerbku potrzebom pilniejszym!

Eksploatacya węgla kamiennego w r. 1878 dosięgła 56 mil. pudów. W ciągu roku bieżącego znaleziono jeszcze w paru miejscowościach węgiel, tudzież galman.

W stosunkach rolniczych od kilku lat przejawia się pewien ruch postępowy. Jest on świadomy i wypracowany w klasie właścicieli większych, bezświadomy i mimowolny—w klasie właścicieli mniejszych.

Na pierwszych kraj przywykł patrzéć jako na inteligencyą rolniczą. Ponieważ jednak klasa ta znalazła się w warunkach bardzo trudnych, w których nawet istnienie jéj było zakwestyonowane, przez pewien więc czas nie widzieliśmy śladów jéj społecznéj działalności. Ztąd robiono na szczęście zbyt pośpieszne wnioski, że ostatecznie zacofała się, wykoleiła, że nie pasuje do nowych warunków i że zbliża się do upadku, rozkłada się.

Na szczęście, powtarzamy, tak nie jest. Żywotne siły inteligencyi wiejskiéj nie wygasły, ale wprost pochłaniane były przez walkę z bardzo trudnemi okolicznościami, przeważnie ekonomicznéj natury. Dziś więc, o ile zabezpieczyła sobie byt materyalny, o tyle wstępuje znowu na stanowisko przodujące, staje się tém, czém być powinna: myślą i uczuciem społecznėm. Towarzyszy jéj tu żywioł nowy, a mianowicie oświecone i uspołecznione klasy mieszczańskie.

Wprawdzie czynów jest niewiele, walka bowiem z trudnościami ekonomicznemi trwa wciąż. Widać jednak pewne budzenie się myśli, pewne zacne usiłowania, które z czasem niewątpliwie spotęgują się i rozszerzą.

Niemało tego rodzaju objawów dostrzegamy w Lubelskiém. Tam pp. Łempicki, Przanowski i Piasecki myślą o wyjednaniu dla sąsiadów swoich pożyczek w Towarzystwie Wzajemnego Kredytu.

Tam mówią o utrzymywaniu inspektora leśnego i buchaltera wspólnie przez kilka majątków. Tam pp. Kowalski i Wierciński zapowiadają utworzenie prywatnéj spółki melioracyjnéj. Ztamtąd wyszedł pierwszy projekt założenia kasy emerytalnéj dla wiejskiéj służby i oficyalistów. Tam jeden z obywateli ziemskich każe uczyć córki swoje krawiectwa, a inny koszykarstwa. Jeszcze inny każe robić na przyszłoroczną wystawę plastyczny model swego majątku.

Po lewéj stronie Wisły, p. Łuszczewski zwraca uwagę na potrzebę podniesienia owczarstwa i porozumienia się między sobą właścicieli owczarń, a to w tym celu, aby jedni od drugich nabywali rasy poprawne a nie sprowadzali ich z zagranicy, gdzie one nie dają dostatecznych gwarancyj pewności.

Tu i owdzie zdarzają się wybryki. Butelka i karty poczynają znowu bawić ludzi. Współcześnie jednak tworzą się kółka czytelnicze, zakupujące wspólnie książki, a w pewnéj okolicy pojawia się projekt „kodeksu towarzyskiego“ w celu hamowania kiełkujących na nowo zbytków.

Wszędzie budzi się chęć wiedzy, zwiększa się praca, solidarność, a zbytek i próżność słabną. Ludzie już nie uważają się za stworzonych z lepszéj gliny i więcéj mówią o zasługach niż o rodowodach.

Warunki ekonomiczne téż polepszają się. Cena ziemi idzie wciąż w górę, tak samo cena zbóż i bydła. Dzięki żniwiarkom, opłacającym się niekiedy w ciągu jednego roku, brak robotnika stał się mniéj dotkliwym. Rasy zwierząt poprawiają się ciągle, choć może system karmienia ich nie jest jeszcze najdoskonalszy. Uprawa ziemi jest w ogóle bez porównania' lepsza. Ułatwićby ją jeszcze bardziéj winien „pośpiesznik“ p. Ławickiego, przy którym oranie i bronowanie zużywać ma jakoby o 30% mniéj czasu.

Muzeum Przemysłu ogłasza wciąż gotowość do robienia rozbiorów gruntów i nawozów, choć (może z powodu wysokiéj ceny tych prac) rolnicy korzystają z nich mało. Chodzą téż wieści o wydaniu przez rząd ogólnéj ustawy dla Towarzystw Rolniczych, nawet połączonych z instytucyami kredytowemi, coby podnieciło niezmiernie rozwój krajowego gospodarstwa.

Postępy gospodarstw mniejszych są do pewnego stopnia innéj natury. Podstawę ich stanowią dwa stosunkowo nowe czynniki: własność i niezależność. Włościanie z każdym rokiem stają się zamożniejsi, a ich indywidualność rozwija się coraz szerzéj i określa wyraźniéj. Ponieważ jednak umysły są słabe, dużo więc swobody zużywa się w karczmie i na jarmarkach. Pessymista powiedziałby,

że poczucie godności osobistéj wieśniak objawia przedewszystkiém w licznych procesach, a budzącą się w nim siłę indywidualności— w bójkach nieraz krwawych; wszakże pieszczone dzieci lubią niekiedy próbować bacików na głowach rodzeństwa.

Z czasem samo życie udzieli im zbawiennych nauk, ustatkuje ich i zrobi potężną siłą produkcyjną kraju. Włościanie nie wystąpili jeszcze na scenę szerszą, nie wznoszą się oni do pojmowania interesów społecznych, bo im jeszcze własny zagon, chata i gmina wystarcza. Ale już dziś mieszka w chatach 10 do 12 osób, niebawem więc trzeba będzie mniéj czasu trwonić, umiejętniéj pracować, zmienić system gospodarki, a nareszcie—przejść do innych zajęć. Niebawem zrozumieją, że służebności i dla nich nie są zbawieniem, a zagony rozrzucone kawałkami po całym obszarze wsi—dokuczą. Trzeba będzie zamienić serwitut dający paszę dla bydła, na pole dające pokarm dla człowieka, i całą rozrzuconą posiadłość skupić w jednym kawale przy domu.

Zniesienie służebności i szachownic, zrobione w porę, będzie wielkiém dobrodziejstwem dla włościan.

Ludność wiejska zajmuje się nietylko rolnictwem. Znane są wśród niéj rzemiosła, jak tkactwo, mularstwo, ciesiołka itd. Gdy znajdują się w pobliżu fabryki, część ludności szuka w nich zarobku, wykonywając przytém najpodrzędniejsze prace, z powodu braku ukształcenia fachowego. Dorywcza ta praca fabryczna w dzisiejszych warunkach w ogóle nie zabezpiecza jeszcze wyżywienia wieśniakom. Dają im bowiem w czasie zajęć lepszą płacę niż na folwarkach, ale za to po ukończeniu robót płaca się urywa. Ponieważ zaś chłopak nasz nie umié oszczędzać, nierzadko więc prosto z fabryki idzie na żebraninę.

Po lewéj stronie Wisły, gdzie przemysł jest silniéj rozwinięty, istnieje już podobno proletaryat na pół wiejski, na pół fabryczny.

W roku bieżącym chodziły wieści o utworzeniu kas wkładowo-zaliczkowych dla włościan we wszystkich gminach, a nadto, o udzielaniu pogorzelcom przez rząd bezzwrotnych zapomóg do wysokości 100 rs. Pomimo to rok obecny źle się zapowiada. Na Szlązku górnym już dziś słychać o głodzie między ludnością wiejską. Pisma nasze podały o tém z gazet niemieckich zaczerpnięte niepokojące wiadomości, wzywając do niesienia pomocy zapomnianym u nas Polakom na Szląsku. Należałoby poczerpnąć na miejscu wiadomości o prawdziwych rozmiarach grożącéj klęski i usiłować wprost na miejsce przesłać zebrane tu pieniądze w rozporządzenie ludzi miejscowych. Kto wié jednak czy u nas przednówek nie będzie ciężkim. Należałoby też o tém pomyśléć wcześniéj.

Szkół elementarnych mieliśmy w roku zeszłym 3.184, a w nich 114.000 chłopców i 55.000 dziewcząt, razem 169.000 czyli na jednę szkołę 53 dzieci. Z ogólnéj cyfry ukończyło kurs 10.164 dzieci czyli niecały 9%. Stosunek ten okaże się jeszcze mniéj korzystnym, gdy pomyślimy, że ukończenie szkoły niekoniecznie daje rozum, i że dzieci w wieku szkolnym musi być w kraju około 500 tysięcy. Ledwie zatém 50-ta część ich uznaną została w roku bieżącym przez szkołę, za poduczoną.

Wyższa władza naukowa w rzeczach dotyczących szkół elementarnych wydała kilka rozporządzeń. Nauczycielom wiejskim, z Rosyi przybywającym, nadano prawa jakie przysługują u nas urzędnikom rosyjskim. Zwrócono téż uwagę na stan szkół pod względem hygienicznym. Nakazano urzędom gminnym, aby pensye nauczycielom wypłacane były co 1-go. Chodzą téż wieści, że pensye mają być podniesione o 6% i że z dodatków tych tworzyć się będzie fundusz emerytalny.

Wyszło rozporządzenie, aby tworzyć przy szkołach urzędy nietylko „opiekunów" ale i „opiekunek" z pośród obywatelstwa. Na nieszczęście zbawienny projekt ten nie wykonywa się faktycznie, zapewne więc ludność wiejska nie została o nim zawiadomioną.

W ogóle stan oświaty elementarnéj bardzo wiele pozostawia do życzenia, a nie zmieni się on dopóty, dopóki nie zajmie się nim ogół, a więc właściciele mniejsi i więksi pospołu, obywatele i obywatelki. Do ostatnich czasów było to prawie niemożliwe, dziś jednak rząd, o ile się zdaje, otworzył dla działalności publicznéj dwie bramy. Pierwszą są owe urzędy „opiekunów" i „opiekunek", które inteligencyi zapewniają niejaki wpływ na szkoły elementarne i nauczycieli. Drugą jest prawo zakładania „ochronek wiejskich." O ile wiemy, mieszkańcy kilkunastu wsi powiatu Janowskiego (gub. Lubelska) oświadczyli chęć otworzenia tych instytucyj, niezbędnych dla zmniejszenia nieszczęśliwych wypadków między dziećmi, pozbawionemi w czasie robót polnych wszelkiéj opieki.

Przypuściwszy jednak, że szkoły elementarne jak najlepiéj rozwiną się wedle przepisanego programu, to i tak dadzą one dzieciom ledwie znajomość czytania i pisania w języku urzędowym. Tymczasem zaś gęstniejąca ludność potrzebuje całego zastępu umysłów rozwiniętych i jednostek zdolnych do zdobycia sobie utrzymania, o które będzie coraz trudniéj. Temi zapewne względami powodowana władza poleciła organom niższym, aby nakłaniały ludność do zaprowadzania nauki rzemiosł przy szkołach elementarnych. Sądzimy, że obok rzemiosł powinienby się znaléźć i wykład rolnictwa, przynajmniéj w formie najogólniejszéj.

Najbardziéj jednak pocieszającym jest fakt, że uwaga publiczna poczyna zajmować się sprawą oświaty ludowéj. Dr. Dobrzycki miał w r. b. odczyt, zachęcający do utworzenia Towarzystwa Pomocy Naukowéj, w którémby jak najwięcéj osób przyjęło udział. P. Bystrzyński radził zawiązać Tow. Wydawnicze, popularyzowanie wiedzy mające na celu. Jakiś dobroczynny obywatel z Opoczyńskiego ogłosił konkurs na napisanie książki, któraby streszczała najpotrzebniejsze wiadomości dla włościan. Panowie Jeleński i Tarczyński wydali kilka książeczek ludowych pod tytułami: „Kto jest Kraszewski?“ „Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach?“ „Smok we wsi“ (rzecz wymierzona przeciw przesądom). *Zygm.* Gloger: „Dumy i Pieśni,“ „Krakowiaki“ i t. d.

Największe jednak usługi w ruchu tym oddał Kazimierz Promyk (Konrad Prószyński). Jest on autorem i nakładcą, i w tym podwójnym charakterze wydał już kilka elementarzy i książeczek do czytania, odznaczających się zarówno wartością wewnętrzną, jak taniością i małemi rozmiarami.

Ostatnią jego, znakomitą pod względem pomysłu pracą, jest „Elementarz dla samouków.“ W dziełku tém, złożoném z dwu części, które gorąco polecamy miłośnikom oświaty, cały szereg trafnie wybranych rycin ułatwia samoukom proces kojarzenia kształtów liter z ich dźwiękiem. W taki sam sposób ułożona jest nauka pisania, dzięki czemu uczący się niewielu ze strony nauczyciela potrzebuje objaśnień.

Projekt założenia „Macierzy Polskiéj“, powstały na jubileuszu Kraszewskiego, przyczynićby się z czasem powinien do rozmnożenia środków szerzących oświatę początkową.

Instytut rolniczo-leśny wydał w r. b. patenta 18 gospodarzom i 10 leśnikom. Na potrzeby kraju cyfry te są za małe, tém bardziéj, że w instytucie kształci się prawie połowa studentów z Cesarstwa. Cóżkolwiek bądź posiadamy wyższy zakład agronomiczny, przygotowujący szczupły kontyngiens pracowników dla gospodarstw większych. Szkoda więc, że obok niego nie posiada kraj szkół rolniczych dla gospodarstw mniejszych, a także szkół oficyalistów i parobków.

Szczęściem i w tym kierunku zaczyna się pewien ruch. W Warszawie założono szkołę ogrodniczą dwuklasową z czteroletnim kursem. Oprócz ogrodnictwa i nauk z niém związanych wykładać tam będą nauki ogólne. Etat roczny szkoły wynosi 7.500 rs., z téj sumy 4.500 rs. na utrzymanie 30 stypendystów. Kończący pierwszą klasę otrzymają stopień ogrodników niższych, obie—wyższych. Szkoła ta zawdzięcza istnienie składkom; 17 osób zobowiązało się przez 3 lata

wnosić po 25o rs., 11 zaś po 15o. Trzeba mieć nadzieję, że tak pożytecznéj instytucyi ani uczniów, ani ofiarodawców nie zabraknie.

Pocieszający fakt stanowi zaprowadzony w tym roku wykład pszczelnictwa, w warszawskiém seminaryum duchowném. Godzi się téż wspomnieć, że w roku bieżącym ukończono druk „Encyklopedyi Rolnictwa,“ dzieła dużego i wiele cennych artykułów obejmującego. Mogą w niém być braki, swoją drogą jednak stanowi ono fundament, na którym łatwiéj będzie wznosić piętra wyższe, a choćby i dopełnić to czego niedostaje.

Dla upowszechnienia pojęć hygienicznych między ludem postanowiło ministeryum wydać i po gminach rozsyłać zwięzły traktat hygieny. Wydawnictwo to niezawodnie będzie miało z góry przewidziane powodzenie, wątpimy jednak, aby wywołało jaki skutek. Dwutygodnik „Zdrowie“ wydrukował na próbę na 4 stronicach „Rady dla matek“ co do sposobu pielęgnowania niemowląt. Wykład był jasny, cena 1 kop. a pomimo to redakcya na jednéj próbie skończyła popularyzowanie hygieny, któréj potrzeba nieprędko jeszcze stanie się dla ogółu zrozumiałą.

Piękny przykład jeżeli nie praktycznéj działalności, to najlepszych prawdziwie obywatelskich chęci i zrozumienia ducha czasu dał śp. Kicki, który w testamencie między innemi zalecił, aby z dochodów pozostałego majątku założono szkołę rolniczą, ochronkę, bibliotekę, szpital, muzeum sztuki, aby urządzano odczyty dla włościan, obmyślano rozrywki, nagradzano czyny dobre. Czy na to wszystko wystarczy funduszów?.. wielkie pytanie. Sam jednak pomysł godny jest zacnego obywatela, który myśli o jutrze i rozumie, w jakim kierunku wytężać trzeba siły.

Idee podobne budzą się w całym kraju, choć początkowe w szczupłych rozmiarach. Słyszymy, że jeden z obywateli ma zamiar wysłać kilku chłopców wiejskich do Galicyi na naukę koszykarstwa. Ks. Zaborowski z gub. Kieleckiéj przywiózł do Warszawy chłopczynę, zdradzającego talent rzeźbiarski i prędko znalazł dla niego opiekunów. W dobrach Opole z wielką czcią pogrzebano cnotliwego parobka Jana Zająca, który zginął na robocie, a pozostałéj rodzinie zapewniono byt. W inném znowu miejscu włościanin, umierając nagle, fundusik swój przekazał dziedzicowi wsi, jako swemu najlepszemu przyjacielowi. Te i tym podobne drobiazgi stanowią najpiękniejsze fakta historyi roku.

Nie będzie też zapewne pozbawioną interesu wiadomość, że w kraju naszym 28.400 żydów zajmuje się rolnictwem. Stanowi to około $3\frac{1}{2}\%$ ogólnéj ich cyfry. Nareszcie z rzeczy ogólniejszych do-

tyczących rolnictwa, wspominamy o wystawie w Szawlach i o projekcie urządzenia większéj wystawy rolniczéj w roku przyszłym, nad czém obecnie toczą się narady.

W sprawach przemysłu pierwsze miejsce zajmują naturalnie właściciele wielkich fabryk. Zaszczytnie występują pomiędzy nimi krajowcy, a chociaż nie jeden z nich nosi nazwisko niemieckie, tak jak w ogóle niemało mieszczan warszawskich, firmy ich, znane oddawna, mogą stanowić chlubę przemysłu krajowego. Koło nich też grupują się naturalnym pociągiem ci z cudzoziemców, którzy dawniéj w kraju osiedli, uważają siebie za jego obywateli, mówią po polsku, a przynajmniéj nie lekceważą naszego języka i dla żywiołu miejscowego, z którym się zleli, okazują uczucia braterskie. Ludzie ci odznaczają się jednocześnie nietylko sumiennością w wykonywaniu obstalunków, lecz i dbałością o los robotników. Oni razem z fabrykantami Polakami podjęli myśl utworzenia kasy emerytalnéj dla pracujących, wyłącznie z funduszów złożonych przez pracodawców. Lata służby wymagane są od 10 do 40, emerytura od rs. 100 do 240, przyczém robotnicy, którzy służyli ciągle w jednéj fabryce, otrzymują pensyą emerytalną większą niż ci, którzy zmieniali służbę. Firmy o których mówimy przykładają szczodrą rękę do każdéj sprawy, dobro publiczne mającéj na celu.

Ogół za zasługi ich płaci im szacunkiem i sympatyą. Dowodem tego jest srebrne wesele a zarazem jubileusz 25letniéj pracy właściciela fabryki tkanin w Łodzi—Szajblera. Uroczystość ta, w któréj przyjęło udział 8 tysięcy robotników, znalazła odgłos w prasie, a przez nią w całym kraju.

Inni znowu fabrykanci, cudzoziemcy, rozsądni i taktowni kosmopolici, nie kochają nas, ale i nie lekceważą. Wolą sprowadzać robotników z Niemiec, lecz dają pracę i uzdolnionym krajowcom. W stosunkach handlowych i fabrycznych wychodzą z ludźmi uczciwie, dobrze rozumiejąc, że trzeba być prawym i uprzejmym bez względu na narodowość.

Osobny zaś rodzaj stanowią ludzie, których nazwiemy osobliwymi. Od dziesiątków lat mieszkając wśród nas bez ceremonii głoszą swoję nienawiść do wszystkiego co polskie. Dla nich robotnicy krajowi są bydlętami roboczemi, nad któremi stać musi Niemiec z batem, a cały kraj puszczą, którą trzeba eksploatować na wszelki sposób. Ludzie ci tak daleko posuwają swoję arogancyą, że nawet z miejscowymi kupcami korespondują po niemiecku. Chełpliwie tytułują się oni Niemcami, choć zaprawdę robią tém ujmę jednemu z przodujących w cywilizacyi narodów i podają go w lekceważenie i niechęć.

Miejmy nadzieję, że lepsze zrozumienie własnego interesu i taktowne postępowanie z nimi publiczności otworzy oczy tym ludziom i nauczy ich, że postępując w podobny sposób nie spełniają oni żadnéj misyi cywilizacyjnéj; ale manifestują tylko ukryte pod pokostem kultury instynkta nieogładzonego kulturą egoizmu.

Wszystkim w ogóle fabrykantom dzieje się dobrze. Ze smutkiem jednak zanotować musimy, że w ciągu roku słyszéć się dały nieraz skargi, na zniżenie zalet wyrobów krajowych, i na to, że zachwiano ich dobrą opinią między kupiectwem rosyjskiém.

Przemysł jednak, przeważnie z powodu ceł ochronnych, silnie się rozwija. Dla przykładu tylko wymienimy kilka nowo powstałych fabryk, jako to szyn stalowych, machin rolniczych, sztyftów do obówia, filców, grzebieni, guzików rogowych, tkanin, żelaza lano-kutego, kuchenek naftowych itd. Słabą stronę tego rozwoju stanowi brak dostatecznéj ilości średnio ukształconych robotników krajowców, w skutek czego napływają cudzoziemcy.

Natomiast mamy sporą liczbę inżynierów i technologów Polaków, którzy czy to z powodu nadmiernéj ich liczby w stosunku do fabryk, czy z powodu dość silnego napływu cudzoziemców, pobierają płacę nieodpowiednią swemu wykształceniu, a przynajmniéj znacznie mniejszą od tej na jaką rachowaćby mogli. Sądzimy jednak, że gdy pomnożą się kapitały krajowe a zatém i przedsiębierczość wśród Polaków silniéj się rozwinie, stanowisko tych ludzi zmieni się na lepsze i dadzą oni początek nowéj epoce w przemyśle krajowym.

Warsztaty rzemieślnicze znajdują się przeważnie w ręku krajowców i również prosperują. Naczelnicy ich mniéj mają kapitału i mniéj ukształcenia niż fabrykanci. Głównem źródłem kredytu dla nich w Warszawie jest „Kasa Przemysłowców," która w r. 1878 liczyła 5.459 członków i udzieliła 2.700,000 rs. pożyczek. Między rzemieślnikami niemało jest ludzi rozumnych i ożywionych obywatelskiemi uczuciami. Teraz właśnie obraduje w ratuszu komitet, pragnący zapewnić kredyt, pomoc w razie nieszczęścia i emeryturę, wyłącznie czeladzi rzemieślniczéj, nie fabrycznéj. Warszawscy krawcy zastanawiali się nad tém, aby założyć szkołę krawiecką i spółkę do produkowania garderoby w wielkich ilościach celem wyparcia wyrobów zagranicznych. P. Gułowski, brązownik, urządził dla czeladzi swéj podręczną biblioteczkę, to samo kilku innych pryncypałów zrobiło dawniéj.

Byt robotników stopniowo poprawia się. Nie oni szukają roboty, ale na nich czeka robota. Dochody ich w zestawieniu z drożyzną warszawską nie są wprawdzie świetne, wystarczałyby jednak,

gdyby nie za mała może chęć do pracy, niski stopień oświaty i popęd do trwonienia czasu i pieniędzy. Zwracamy jednak uwagę, że wady te nie są nabytkiem nowym, nie wzrastają, ale zmniejszają się, co stanowi rzeczywisty postęp.

Poprawieniem bytu robotników zajmują się ludzie gorliwiéj niż kiedy. Dawna instytucya tanich kuchen trwa wciąż, choć robotnicy niewiele z niéj korzystają. Zarząd miasta zwraca uwagę na ich lokale i przemyśliwa o szkołach dla dzieci pracowników fabrycznych. W kwestyi zabezpieczenia przyszłości za pomocą emerytur zrodziło się aż trzy projekta. Wedle jednego, sami fabrykanci chcą płacić składki, wedle drugiego, składki samych robotników mają wystarczyć, trzeci łączy oba projekta. Nie czekając na skutek obrad, Zakłady Strachowickie ubezpieczyły robotników w jedném z towarzystw asekuracyjnych i płacą składkę pospołu z nimi. Jednocześnie Tow. Dobroczynności obrabia (podobno ostateczny) projekt zużytkowania funduszu Staszica na dom zarobkowy dla robotników kalek, starców lub pozbawionych pracy. Mówią téż o budowie tanich mieszkań, których znaczną ilość ma wznieść hr. Krasiński na terytoryum między ulicą Ordynacką i Wróblą, zajętém dziś przez liche drewniane domy.

Wśród społeczeństwa uczucie potrzeby oświaty budzi się coraz bardziéj. Warszawa w ruchu tym przoduje. Posiadamy kilkanaście ochron, w których pobierają edukacyą początkową dzieci klas najuboższych, a więc przeważnie wyrobników. Przy ochronach znajdują się czytelnie bezpłatne, pomnażające się co roku. Niezmiernie pożyteczną nowość stanowią karty oszczędności, za pomocą których zachęca się wychowańców ochronek do składania drobnych sum. Że zresztą oszczędność między ludnością wzrasta, dowodem kasa główna oszczędności, w któréj znajduje się obecnie 31.225 uczestników i 1.158.000 rs. kapitału.

Początków rzemiosł niektórych, naturalnie łatwiejszych, uczą się już dzieci w ochronkach. Terminatorzy rzemieślniczy mają w Warszawie 12 szkół niedzielnych, w których wykładają się im nauki ogólne w zakresie dwuklasowym. Wszystko to jednak nie wystarcza. Szczęściem, rok bieżący doczekał się nowego zjawiska na tém polu.

W początkach roku tego dr. Ludwik Natanson wypowiedział odczyt o systemie uczenia rzemiosł u nas i potrzebie reformy. Dotychczas dziecko nabywało wiadomości fachowych w warsztacie, z uszczerbkiem dla rozwoju umysłowego i moralnego. Otóż dr. Natanson zaproponował zakładanie szkół, w którychby nauki ogólne wykładały się równolegle z fachowemi, a co więcéj, przy pomocy in-

nych dobrze myślących obywateli pierwszą szkołę taką otworzył. Jest w niéj trzy klasy, każda z kursem dwuletnim. Zrana wykładają się nauki ogólne, a po południu: kowalstwo, ślusarstwo, stolarstwo, tokarstwo na drzewie i metalu, szewctwo, kuśnierstwo, krawiectwo i rymarstwo. Zaprowadzenie warsztatów kosztowało 10.000 rs. Naszém zdaniem, szkoła ta jest jednym z najważniejszych faktów roku bieżącego. Dodać należy, iż za sprawą dra Natansona zaprowadzają się wykłady rzemiosł przy szkółkach elementarnych dla dzieci wyznania mojżeszowego.

Jest to dopiéro początek, gdyż chodzą pogłoski, że zapis śp. Konarskiego ma być zużytkowany na otworzenie rzemieślniczéj szkoły bezpłatnéj o dwu klasach, że ministeryum roztrząsa pytanie: czyby nie należało uczyć rzemiosł przy szkołach rządowych i że z inicyatywy p. J. Blocha ma powstać w Warszawie Szkoła Politechniczna. Inni jednak zmniejszają doniosłość téj wieści, twierdząc, że nie będzie to szkoła politechniczna w Warszawie, ale szkoła mechaniczna w Łęcznéj. W każdym razie zamiar p. Blocha, bez względu na jego zakres, zasługuje na uznanie publiczne.

Kobiétom téż przybył nowy zakład nauki rzemiosł pod firmą p. Świniarskiéj.

Muzeum przemysłu obdarowane zostało w r. b. ofiarami pp. Handkiego, Krasińskiego i Zamoyskiego. Pierwszy złożył 283 nowych narzędzi stolarskich z wystawy paryskiéj, szkoda tylko, że przedmioty te nie są zbyt oglądane, a przynajmniéj nie słychać o tém. Natomiast jednak istnieje przy muzeum biblioteka rzemieślnicza, wykład rysunków dla 105 osób i wyborne odczyty, z fizyki p. Boguskiego, z chemii—p. Milicera.

Nasz handel i rozmaite operacye finansowe obsługiwane są głównie przez żydów, sądzimy więc, że stosowném będzie poświęcić kilka słów rozwojowi kwestyi żydowskiéj u nas.

Wyznawców religii mojżeszowéj podzielić można na dwie wybitne grupy: ogromną większość ludzi ubogich, fanatycznych lub przesądnych i w obec nowożytnéj cywilizacyi zacofanych, i mniejszość majętną i na sposób europejski wychowaną i wykształconą.

Pierwsi, po przodkach swoich zarówno bliższych jak dalszych, prócz wiary, tradycyi, żargonu, zdolności i biegłości w obrotach handlowych, nie oddziedziczyli nic więcéj. Handel stanowi dla nich niemal jedyne pole działalności, spryt i solidarność, jedyne narzędzia. Handlują więc wszystkiém i posługują się sprytem gdzie tylko można. Z tego powodu wielki procent ich zarobków mieści w sobie czynniki zwane w mowie potocznéj oszustwem i wyzyskiwaniem.

Zbyt niesłusznemi są jednak twierdzenia, że cała egzystencya ich polega na oszustwie i wyzyskiwaniu, niejednemu czynności ich prawdziwą korzyść materyalną przynoszą, a obok tego, przy wszelkich wadach swoich, żydzi bronią nas od zalewu germańskiego na polu handlu.

Ze zbitéj masy téj nieledwie co tydzień i miesiąc odrywają się liczne jednostki, które, dzięki lepszemu bytowi, zetknąwszy się raz z nowożytną cywilizacyą, wsiąkają w nią na zawsze. Potomkowie zaś ich, przeciętnie biorąc, stają się zwykle obywatelami społeczeństwa i służą mu w ogóle dobrze.

Majętni, ukształceni i starannie wychowani wyznawcy religii Mojżeszowéj, są to już w całém znaczeniu mieszczanie tego kraju. Językiem, ubiorem, sferą myśli i uczuć są oni już zbratani z resztą ogółu. Posiadają zalety ludzi zdolnych i majętnych, pomięszane z wadami dorobkowiczów. Na liście ofiar dla wszelkich ubogich i kościołów, między twórcami instytucyj użytecznych, na tablicach w muzeum Kopernika, na jubileuszu Kraszewskiego, na balach, widowiskach, zebraniach, słowem, wszędzie spotykamy się z ich nazwiskami i hojnością. Ściśle rzeczy biorąc, oni przodują dzisiejszéj epoce, nie zapominając (co jest bardzo naturalne) o swoich interesach i nie gardząc reklamą. Zlewając się coraz ściśléj z ludnością polską, szczątkami krwi i wspólnym wykształceniem wyrosną z czasem na mieszczaństwo, które nie ulęknie się porównania z podobnąż klasą społeczeństwa angielskiego.

Zresztą na całéj linii między chrześciańską i mojżeszową częścią ludności widać tak częste oznaki zbliżenia się, że zapewne po upływie paru pokoleń dzisiejszy „żyd“ stanie się etnograficzną osobliwością. Żydzi wyprawiający pogrzeb d-rowi Stankiewiczowi, tłum Chrześcian na pogrzebie b. p. Zeliga Natansona, składki na kościół w Warszawie i dzwon w Kaliszu, proboszcz ratujący na czele parafian bóżnicę, stosunki towarzyskie, małżeństwa, żydzi dobrze sprawiający się na najrozmaitszych stanowiskach, jakiż to kontrast w obec choćby ligi antisemickiéj i głosów domagających się uciskania żydów w Niemczech!

Nie przesadzamy zatém twierdząc, że jedna z najdokuczliwszych spraw naszych: kwestya żydowska z przyśpieszoną prędkością zbliża się do ostatecznego rozwiązania w duchu sprawiedliwości i wszechstronnego pożytku. Ten bieg dwu całkiem różnych strumieni, które pomimo przesądów i swarów niepowstrzymanie dążą do jakiegoś wspólnego łożyska, stanowi jedno z najciekawszych zjawisk społecznych naszego czasu.

Handel nasz ciągle rozwija się. Na dowód tego przytoczymy dochód z wiorsty w różnych epokach na drodze Warszawsko-Wiedeńskiéj. Wynosił on:

| | | |
|---|---|---|
| w roku | 1858 | 3.348 rs. |
| „ | 1868 | 8.515 rs. |
| „ | 1878 | 19.680 rs. |

Wiele z tego odchodzi na *transit*, ale i reszta jest dość pokaźna. Zkądinąd wiemy, że gdy w Warszawie w r. 1878 wykupiono świadectw handlowych 19.700, to już w r. 1879 cyfra ich przeszła 20.000 we Wrześniu.

Giełda produktowa dość energicznie stara się zwalczać tranzakcye pokątne i, jak obecnie, stała się wygodném polem sprzedaży prawie wszystkich ważniejszych produktów surowych, a więc: zbóż, wełny, lnu, nafty i t. d. W każdym razie nie przyzwyczajono się jeszcze do niéj, i wiele umów zawiera się po za nią, w szynkach, lub na placach targowych.

Nowo obrany starszy zgromadzenia kupców ofiarował 3.000 rs. na utworzenie biblioteki dla kupców, po 1.000 rs. rocznie przez lat trzy na biuro statystyczne przemysłowo-handlowe, którego projekt sam podał i 2.000 rs. na otworzenie kursów wieczornych w szkole handlowéj niedzielnéj. Lekcye wieczorne odbywać się mają dwa razy tygodniowo i obejmą: naukę rachunków tudzież korespondencyi handlowéj w językach: polskim, rosyjskim i niemieckim.

Cały rok wiele mówiono o utworzeniu towarzystwa kredytowego dla miast prowincyonalnych, które powinnoby przyczynić się do zmniejszenia stopy procentowéj przy pożyczkach na nieruchomości miejskie. Mówiono téż, że władze wyższe miały udzielić pozwolenie na prywatne kasy, udzielające pożyczek na zastawy, co zmniejszy może nadużycia lichwy. Tymczasem, kazano kantorom stręczenia guwernerów i guwernantek opłacać patenta gildyjne i zezwolono na otworzenie dwu sal licytacyjnych. Te ostatnie powinnyby wyrugować zbyt kosztowne pośrednictwo handlarzy drobnych.

Stan urzędników i oficyalistów handlowych i innych wiele pozostawia do życzenia. Kandydatów na posady powyższe jest mnóstwo, samych posad znacznie mniéj, zkąd pensye są nader skromne i raczéj nie dochodzą, aniżeli przekraczają cyfrę 1.000 rs. Tymczasem p. Jeleński w artykułach „Budżety rodzinne“ (Kuryer Warszawski za Lipiec) wykazał, że rodzina urzędnicza w Warszawie potrzebuje na roczne utrzymanie 1.060 do 1.860 rs. O ile więc urzędnik jakiś dochodów podobnych nie posiada, o tyle musi albo nad siły pracować, albo długi zaciągać, a w końcu popełniać nadużycia. W ogóle los téj klasy ludzi, należących do stanu średniego i stano-

wiących znaczną część średniéj inteligencyi kraju, jest bardzo smutny, a w życiu ich nie brak podobno dramatycznych sytuacyj. Z tego powodu z gorącém uznaniem przyjąć należy projekt czcigodnego prezydenta miasta, który chce u władz wyjednać podwyżkę o 50% pensyi dla urzędników magistratu. Koleje żelazne, w ciągu paru lat ostatnich również ofiarowywały urzędnikom swym pewne naddatki.

Stowarzyszenie spożywcze „Merkury" obchodziło w r. b. rocznicę 10-cio letniego istnienia. Ze sprawozdań dowiadujemy się, że towarzystwo to liczyło w I-em półroczu 945, w XX-tem 1.484 członków; że posiada 4.300 rs. kapitału zapasowego; że sprzedało towarów w ogóle za 1½ milionów rubli; że roczny obrót wynosił 10—14 tysięcy rs. a dywidenda 1—3%. Przeżyło ono chwile przesilenia, stanęło zaś pewniéj za rządów p. Aleksandra Makowieckiego.

Kurs piéniędzy wśród ciągłych zmian w ogóle poprawił się. W początkach roku płacono za 300 marek od 152 do 156 rs., około Września i Października 139 rs., obecnie 141½ rs.

W roku bieżącym 221 uczniów gimnazyum stawało do egzaminów dojrzałości, a 190 osób (w tém pewien procent mieszkańców Cesarstwa) zapisało się na uniwersytet, który w roku zeszłym liczył w końcu 561 słuchaczy. Zasługuje na wzmiankę „Rocznik prac naukowych" studentów uniwersytetu, obejmujący ośm rozpraw z zakresu ekonomii, prawoznawstwa, pedagogiki, filologii, fizyologii i matematyki, wydany nakładem młodzieży. Niemniéj godną wspomnienia jest ofiara 300 rs., złożona przez studentów polskich w Petersburgu na szerzenie oświaty na Szlązku.

Prócz dawniejszych czytelni p. Jeleńskiego przybyło Warszawie dwie nowe: pani Kulikowskiéj i p. Olszewskiego. Przybyło téż nowe pismo fachowe p. t. „Ogrodnik Polski." P. Sulimierski Filip, redaktor „Wędrowca," zapewniwszy sobie licznych współpracowników, przystąpił do wydawnictwa: „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i krajów przyległych," a p. Plenkiewicz zaprojektował nowe wydanie dzieł Kochanowskiego na rok 1884 jako 300-tną rocznicę śmierci poety. Oprócz naukowych odczytów w Muzeum Przemysłu, mieliśmy jeszcze kilka seryj odczytów popularnych na rzecz różnych instytucyj; odbywały się téż takowe i w niektórych miastach prowincyonalnych. Na konkurs Bluszczu p. t. „Wychowanie macierzyńskie" nadesłano ośm prac, zaś redakcya pisma: „Architektura i Budownictwo" ogłosiła konkurs na najlepszy system wentylacyi. Kilka dzienników zbiera składki na wydanie Gramatyki sanskryckiéj ks. Malinowskiego, i rzucono projekt utworzenia biblioteki dzieł dotyczących historyi żydów (przeważnie w języku polskim i w językach nowożytnych wydanych) przy nowéj synagodze w Warszawie.

Na rzecz oświaty i cele filantropijne przybyły nowe fundusze z zapisów dobroczyńców, zmarłych w ciągu roku. Oto ich czcigodne nazwiska: Konstancya z Balbogów Giejsztor, Rutkowska, ks. Lipiński, August Popławski. Z żyjących p. Tymiński, obywatel Lublina, ofiarował znaczną sumę na stypendyum dla uczniów i dom przytułku w swém mieście. Prócz tego na domy przytułku miasto Kalisz przyznało 12.000 rs. i Łęczyca 1.000 rs. Wiele też mówiono o utworzeniu w Warszawie nowéj instytucyi dla podrzutków, i zaprowadzono kilka ulepszeń w oddziale dzieci opuszczonych, przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Wyszło też rozporządzenie rządu, na mocy którego kuratorowie szpitali mają być wybierani przez towarzystwa dobroczynności.

Pism polskich wychodzi w Warszawie i w miastach prowincyonalnych Królestwa około 60-ciu, a ilość prenumeratorów oznaczyć można na 100—120 tysięcy; zdaje się więc, że około 300 tysięcy osób korzysta ze strawy dziennikarskiéj. Książek i broszur polskich w r. 1878 wyszło 438, z których 114 naukowych, 197 belletrystycznych, 83 religijnych, 44 dla ludu i dzieci. W Królestwie Polskiém wydano z tego 276, w Galicyi 134 i w Poznańskiém 28. Połowę cyfry ogólnéj stanowią przekłady.

Wspomnieć należy w tém miejscu o maszynie drukującéj p. Liwczaka, która może wyrugować z użycia dzisiejsze czcionki ruchome i któréj znawcy rokują przyszłość.

Przedstawiwszy szereg faktów, mniéj lub więcéj zwracających uwagę, mamyż na zakończenie objąć jednym rzutem oka całą tę pstrą mozaikę, przez zbliżający się ku schyłkowi rok ułożoną, i ocenić czy wskazuje ona ruch postępowy ku lepszéj przyszłości i jak szybkim krokiem mianowicie?

Polepszenie się lub pogorszenie stanu społecznego są to zjawiska zbyt rozległe, aby je w szczupłych granicach jednego roku można było stanowczo zaznaczyć. Chwilowe wznoszenie się fali nie koniecznie zapowiada stałe wzbieranie wód, ani też o ich ubytku z opadania linii falistéj wnioskować wolno. Falowanie powierzchni bywa rezultatem wiatrów przemijających i spostrzeżenia na wodoskazie nieraz utrudnia. Zamiast więc smucić czytelnika lub cieszyć wnioskami, opartemi na indywidualnych wrażeniach naszych, w ciągu roku bieżącego doznanych, wolimy wspomnieć o tém, czego praca zbiorowa w społeczeństwie naszém głównie potrzebuje.

Wiadomo w jaki sposób dokonywają się rozmaite prace, wymagające współdziałania wielu jednostek; czy to będzie gospodarstwo rolnicze, czy wznoszenie domu, czy budowanie machiny, czy wreszcie choćby czynność biurowa. W każdéj z nich widzimy trzy gru-

py pracowników: na czele stoi głowa przedsięwzięcia, ten, który kreśli projekta, obmyśla środki, kieruje naczelnie ogółem roboty; daléj idą zwierzchnicy drugorzędni, nadzorcy, majstrowie, którzy zawiadują pewnym jéj działem, wglądając w każdy szczegół, bacząc na to, by drobne cząstki pracy harmonizowały z sobą i myśli zasadnicznéj planu ogólnego nie skrzywiły; trzecią nakoniec grupę stanowią robotnicy, którzy te cząstki pracy wykonywują. Robotników drobiazgowych bywa najwięcéj, dozorca niższy przypada jeden na kilkudziesięciu, a ów kreślący projekta zwierzchnik, jeden na kilkuset robotników. Wszyscy oni, mimo różności stanowisk, zmierzają do jednego celu, wspólnie wyrabiają jakąś całość i przy pracy téj pokonywać muszą różnorodne przeszkody. Im przeszkód więcéj, tém praca idzie powolniéj a zamierzony cel tém bardziéj się oddala. Świadomy swego zadania kierownik naczelny przeszkodami niełatwo się zrazi: przewidywał je, doniosłość ocenił, środki przezwyciężenia ich obmyślił, przedsięwzięcia więc nie porzuci. Jego pomocnicy drugorzędni nie oczekiwali może przeszkód, lecz w świadomości celu znaléść mogą pobudkę do ich przezwyciężenia. Ale masę robotników, nie mającą wyobrażenia ani o celu, ani o trudnościach, cóż zdoła obronić od zwątpienia? Jak skłonić ją, by dla przełamania trudności, działała w myśl wskazówek dozorców, zamiast w odosobionych i niweczących się wzajemnie wysiłkach nużyć się nadaremnie?

Światła! światła! — wołał konający Goethe. Wykrzyk ten, powtarzamy obecnie przy każdéj sposobności, stał się jednym z najpospolitszych komunałów. W tém spospolitowaniu onego objawia się wszakże zbawienny instynkt społeczeństw nowożytnych. Tędy i dla nas droga.

Oświata uczyni pracę robotników płodniejszą, przekona ich, że pracując zgodnie, oszczędzają czasu i sił, że pomagając towarzyszowi, przyspieszą wykonanie całości, że między dolą jednostki i ogółu zachodzi organiczny związek, że ład i posłuszeństwo są konieczne, że spełniający pracę cząstkową winien pragnąć powodzenia całego przedsięwzięcia a więc zrozumiéć je i ze wszystkich sił mu pomagać.

Prawdziwa oświata wskaże kierownikom przedsiębierstw, że we własnym interesie winien się starać o to, aby podwładni im robotnicy nie błąkali się w ciemnościach i byli zadowoleni.

Obejrzawszy się wstecz na dzieje ostatnich lat kilkudziesięciu, przyznać musimy, że pod tym względem widoczny jest u nas postęp. Promienie cywilizacyi przenikają różnemi szczelinami do najniższych warstw ludności, szczelin tych przybyło, a pojęcie solidarności społecznéj wszczepia się w coraz większą liczbę umysłów. Przeszliśmy rozmaite kataklizmy: obraz przedstwia niby okolicę nawiedzoną

trzęsieniem ziemi. Wierzchołki gór upadły, głębsze wąwozy zarównały się, tu i ówdzie stoją budowle w gruzach. Ale na tém polu zniszczenia widać oznaki młodego życia, starodrzew pokrywa się nowym liściem i wyrastają nowe, nieznane dawniéj roślinki. Patrzysz na nie, żałujesz ich wątłości, niecierpliwisz się, że tak powoli kiełkują, ale w końcu mówisz z otuchą:

Tu jeszcze będzie urodzaj, jeżeli każdy spełni swój obowiązek.

---

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

---



---

# NOWE KSIĄŻKI,

## nadesłane do redakcyi „Ateneum“

*w ciągu Listopada r. 1879.*

---

1. **Herman Hettner.** Historya literatury angielskiéj od czasu przywrócenia królestwa aż do drugiéj połowy XVIII wieku. Z trzeciego wydania przekład *Piotra Chmielowskiego* i *Edwarda Grabowskiego.* Warszawa. Nakład S. Lewenthala, 1879 (Osobna odbitka z „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“).
2. **Mózg i jego czynności** przez J. Luys'a lekarza w szpitalu Salpetrière. Przełożył Dr. *Teodor Dunin*, asystent kliniki teraupetycznéj. Warszawa, Spółka nakładowa. 1879.
3. **Obrazki dziejowe dla młodzieży** przez *Teressę Jadwigę.* Z 6-ma rycinami i rysunku *Juliusza Kossaka.* Warszawa i Kraków, Ge[illegible]ner i Wolff, 1879.
4. **Chronologia dziejów Królestwa Polskiego** dla młodego pokolenia ułożył i wydał *Szymon Konopacki.* Edycya druga z poprawą i dodatkami z tegoczesnych autorów czerpanemi. Tom I i II. Poznań, Żupański, 1878.
5. **Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku**, przez *Maurycego Carriere'a.* (Ciąg dalszy). Hipoteza Stanów Zjednoczonych przez *Edwarda Laboulaye'a* (Ciąg dalszy). Warszawa, wydawnictwo Michała Glücksberga, 1879.
6. **Prawo własności**, rzecz ekonomiczno-prawna dla nieprawników, przez *Karola Dunina.* Warszawa, J. Noskowski, 1879.
7. **Obrazkowa nauka pisania i czytania**, oraz elementarz dla samouków. Obmyślił i ułożył *Kazimierz Promyk.* Część 1-sza i część 2-a i 3-cia. Warszawa. Wydawnictwo księgarni Konrada Prószyńskiego, 1879. Cena części 1-éj kop. 10, w okładce kop. 12½; części 2-iéj i 3-ciéj cena taż sama.
8. **Pisma Henryka Sienkiewicza**. Tom I. Stary sługa. Hania. Szkice węglem. Janko muzykant. Warszawa Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1879.

Дозв. Цензурою, Варшава, 17 Ноября 1879 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.